

OD TŁUMACZA

Minęło wiele dziesiątków lat od chwili ukazania się „Przygód Alicji” w druku, nim zaczęto rozumieć, że jest to nie tylko wspaniała bajka dla dzieci, ale także arcydzieło opisu działania ludzkiej podświadomości. Jest to zapewne jedyny wypadek w dziejach piśmiennictwa, gdzie jeden tekst zawiera dwie zupełnie różne książki: jedną dla dzieci i drugą dla bardzo dorosłych.

„Alicja” dla dorosłych jest drugim, obok „Finnegans Wake” Joyce’a, arcydziełem, którego myślą przewodnią jest analiza umysłu ludzkiego pogrążonego we śnie. I tak jak język „Finnegans Wake”, język „Alicji” rządzony jest gramatyką snu i rytmem snu: przenikanie, zwalnianie, powtórzenia, nagłe zmiany tempa, monotonia i następujące tuż po niej porwane strzępki widzenia: wszystko to dotyczy w jednakowym stopniu struktury akcji i języka. Lecz owa inność w stosunku do świata na jawie nie ogranicza się, oczywiście, do spraw tak zewnętrznych.

Każdy, kto śnił (a śniliśmy wszyscy), wie, że niemal wszystkie sny składają się z niejasnego ciągu wydarzeń mających własną logikę senną, łańcuch przyczyn i skutków, które częściowo wymykają się śpiącemu, choć wie on, że są z nim związane, i dlatego często stara się je rozpaczliwie uporządkować przed przebudzeniem. Mówiąc słowami Alicji: „Trochę to trudno zrozumieć... nasuwa jakieś myśli... ale nie wiem dokładnie jakie!” Jednym z podstawowych praw snu jest to, że może on łączyć z sobą ludzi, którzy nigdy się nie spotkali, i fragmenty rzeczywistości, które nigdy nie mogłyby sąsiadować z sobą na jawie. Podświadomość wyrzuca na powierzchnię fragmenty filmu, a sen jest zdumiewającym, choć podległym prawom, montażystą, sklejającym je w całość, na którą śpiący nie ma pozornie wpływu, choć cały materiał pochodzi wyłącznie od niego. W sferze języka klasycznym przykładem owego sennego montażu są sławne już dziś słowa-walizki z poematu „Dżabbersmok”, których znaczenie Humpty-Dumpty wyjaśnia Alicji. Zatrzymam się na chwilę przy nich, gdyż są one kluczem do konstrukcji „Przygód Alicji w Krainie Czarów”. Sprawa jest pozornie bardzo prosta: połówki dwu różnych słów, złożone z sobą, tworzą trzecie słowo, które natychmiast zaczyna żyć autonomicznym, pełnym, choć nie znanym dotąd życiem. To spajanie, przenikanie i mieszanie strzępków jawy uznał Carroll za podstawowe prawo snu. Nawiasem mówiąc, myślę, że nie będzie wiele przesady w twierdzeniu, że bez tego krótkiego, zabawnego poemaciku książka „Finnegans Wake”, najbardziej enigmatyczne dzieło naszych czasów, nigdy nie mogła by powstać w tej postaci, w jakiej ją znamy. Oczywiście, Joyce zwielokrotnił dla swoich celów wynalazek Carrolla, ale choć sen Alicji w krainie Czarów jest krótkim snem małej dziewczynki, a sen w „Finnegans Wake” ogromnym snem całej ludzkości wirującej w nieskończonym cyklicznie między śmiercią a zmartwychwstaniem, nie umiałbym powiedzieć, którego z nich uważam za lepszego pisarza. Bo choć bronimy się przed tego rodzaju cenzurkami, zawsze dokonujemy klasyfikacji na swój prywatny użytek.

To co napisałem powyżej, napisałem po to, żeby przyznać się Czytelnikowi do ogromnych trudności związanych z przekładem tej pozornie prostej książeczki. Chciałem, żeby zawierała ona to samo, co zawiera oryginał: owe dwie nałożone na siebie książeczki — dla dzieci i dla dorosłych. A poza tym, aby była napisana językiem snu, gramatyką snu, prześnionego w wiktoriańskiej Anglii. Zapewne żądałem od siebie zbyt wiele. Najprawdopodobniej, chcąc przenieść wszystko, musiałem wiele pogubić na drodze. Na pewno książka ta nie jest pisana „najpiękniejszą polszczyzną”. Lecz jest to język, który wydawał mi się najdokładniej przylegający do mojego zamiaru.

Maciej Słomczyński

Lewis Carroll



Przygody Alicji w krainie czarów

przełożył
Maciej Słomczyński

hyperreal team
<http://hyperreal.info>

pdf złożył peyotl 2004

Część 1

Przygody Alicji w Krainie Czarów

Pośród złotego popołudnia
Łódź się nie ślizga prawie
Gdyż oba wiosła w małych rączkach
Pracują mało wprawnie
A małe dłonie nadaremnie
Ster dzierża w tej wyprawie
Trójko okrutna! Pragnąć bajek
Wśród sennej tak pogody,
Od tchu słabego tak, że piórka
Nie zdmuchnąłby bez szkody!
Lecz jakże przeciw trzem językom
Jednemu iść w zawody?

„Zaczynać!” Prima niecierpliwa
Wygłaszać swe orędzie;
Secunda grzeczna ma nadzieję
Że „Bzdur w tym wiele będzie!”,
Tertia przerywać chce opowieść
Co chwila, lecz *nie częściej*.

I oto cichną. W wyobraźni
Dziecko ze snu się zjawia;
Wchodzą wraz z nim w Krainę Czarów
Przedziwnych, gdzie rozmawia
Wesoło z ptakiem i zwierzęciem...
I już w to wierzą prawie.

Lecz gdy ofiara udręczona
Wreszcie do dna osuszy
Fantazji studnię i powiada
Dość mając tych katuszy:
„Dokończę później...”

„Już jest później!”

Słyszają zmęczone uszy.
Tak bajka o Krainie Czarów
Z wolna jak gmach urosła,
Pełen postaci osobliwych...
Załogo, chwyć za wiosła,
By nas pod słońcem zachodzącym
Łódź ku domowi niosła.

Alicjo! Wsuń łagodną dłonią
Dziecinna tę bajeczkę
Tam, gdzie Dzieciństwa sny związałaś:
Pod Pamięci wstążeczkę.
Jak pielgrzym niesie z obcych krain
Zwiędłych kwiatów wiązeczkę.

POZDROWIENIA
W DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA

(OD WRÓZKI DLA DZIECKA)

Droga Panno, nawet Wróżki
Chwila owa też odmienia;
Idą w kąt psoty i sztuczki
W dzień Bożego Narodzenia.

Wróżki wiedzą ze słyszenia...
Wiedzą to od dzieci miłych:
W dzień Bożego Narodzenia
Słowa z Niebios tu zstąpiły.

W Dzień Świąteczny, jak co roku,
Słowa te usłyszysz wszędzie:
„Ludziom dobrej woli — Pokój!”
„Niech na ziemi Pokój będzie!”
Lecz tylko do serc dziecięcych
Wejdzie Gość ów, pełen chwały,
Tam radości jest najwięcej,
Tam Dzień Święty trwa rok cały.

Tak więc, moja Panno miła,
Bez psot, życzę, i wyskoków,
Byś szczęśliwa w Święta była
I w całym tym Nowym Roku!

Boże Narodzenie, 1867

Spis treści

1	Przygody Alicji w Krainie Czarów	3
I	W głąb króliczej nory	7
II	Kałuża łez	12
III	Wyścig kumotrów i ogonopowieść	17
IV	Królik wysyła małego Billa	22
V	Rada Gąsienicy	28
VI	Prosiak i pieprz	35
VII	Obląkana herbatka	43
VIII	Królewskie tereny do gry w krokieta	49
IX	Opowiadanie Żółwiciela	56
X	Kadryl z homarami	62
XI	Któż ciastka skradł?	68
XII	Świadectwo Alicji	73
2	O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra	79
I	Dom po Drugiej Stronie Lustra	82
II	Ogród o Żywych Kwiatkach	91
III	Lustrzane Owady	98
IV	Tweedledum i Tweedledee	105
V	Wełna i Woda	114
VI	Humpty Dumpty	123
VII	Lew i Jednorożec	132
VIII	„To mój Własny Wynalazek”	140
IX	Królowa Alicja	150
X	Potrząsanie	161
XI	Przebudzenie	162
XII	Komu się to śniło?	163

Rozdział I

W głąb króliczej nory



Alicja siedziała na brzegu obok siostry i była już bardzo znużona tym, że zupełnie nie ma co robić: raz czy dwa razy zajrzała do książki czytanej przez siostrę, ale nie było tam ilustracji, ani konwersacji. „A jaki może być pożytek z książki — pomyślała Alicja — w której nie ma ani ilustracji, ani konwersacji?”

Zaczęła więc rozważać w myśli (to znaczy, próbowała rozważać, bo upalny dzień sprawił, że stała się bardzo senna i niemądra), czy przyjemność uplecenia wianka ze stokrotek będzie większa niż wysiłek związany z wstawaniem i zrywaniem tych stokrotek, gdy niespodziewanie przebiegł obok niej Biały Królik o różowych oczach.

Nie było w tym niczego, aż tak bardzo godnego uwagi, ani też Alicja nie pomyślała, że to coś bardzo niezwykłego usłyszeć Królika mówiącego do siebie: — Och, mili moi! Och, mili moi! Spóźnię się! — (kiedy rozmyślała nad tym później, przyszło jej do głowy, że powinno było ją to zdziwić, lecz w owej chwili wszystko wydawało się zupełnie naturalne); ale kiedy

Królik naprawdę wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i spojrzawszy nań pobiegł dalej, Alicja zerwała się, bo błysnęła jej myśl, że nigdy jeszcze nie widziała Królika mającego kieszonkę kamizelki i zegarek, który mógłby z niej wyjąć; więc płonąc z ciekawości przebiegła łąkę w pościgu za nim, w sam czas, żeby zauważyć, że wskoczył do wielkiej nory króliczej na skraju żywopłotu.

Już w następnej chwili Alice wpadła tam za nim, nie zastanawiając się w ogóle, jakim cudem uda jej się stamtąd wydostać.

Nora królicza biegła przez pewien czas prościuteńko jak tunel, ale później niepodziwianie zanurkowała w dół; tak niespodziewanie, że Alicja nie zdążyła nawet pomyśleć o tym, jak by się zatrzymać, i spostrzegła, że spada w głąb czegoś, co było, jak się wydawało, bardzo głęboką studnią.

Albo ta studnia była bardzo głęboka, albo może Alicja opadała tak powoli, bo lecąc w dół miała masę czasu, żeby się rozejrzeć i pomyśleć ze zdumieniem o tym, co ją może czekać za chwilę. Najpierw spróbowała spojrzeć w dół, żeby stwierdzić, do czego się zbliża, ale było za ciemno, żeby coś dostrzec: później przyjrzała się ścianom studni i spostrzegła, że zajmowały ją szafy i półki na książki: od czasu do czasu dostrzegła mapy i obrazy zawieszane na kołkach. W przelocie zdjęła z jednej z półek słoik z nalepką: „POMARAŃCZOWA MARMOLADA”, ale ku jej wielkiemu rozczarowaniu był on pusty, nie chciała upuszczać słoika w obawie, że może zabić kogoś w dole, więc spadając obok jednej z szaf wstawiła go do niej.

„No — powiedziała w myśli Alicja — po takim upadku jak ten za nic będę sobie miała spadnięcie ze schodów! Za jaką dzielną uznają mnie wszyscy w domu! Och, nawet gdybym spadła z dachu, nie pisnęłabym słówkiem!” (Co najprawdopodobniej okazałoby się zgodne z prawdą).

W dół, w dół, w dół. Czy ten upadek nigdy się nie skończy? — Ciekawe, ile już mil spadłam do tego czasu? — powiedziała na głos. — Pewnie zbliżam się do środka ziemi. Pomyślmy: to byłoby ze cztery tysiące mil w dół, jak mi się wydaje... — (bo, widzicie, Alicja nauczyła się wielu podobnych rzeczy w klasie i chociaż ze względu na brak słuchacza nie była to bardzo dobra okazja do popisywania się wiadomościami, ale warto było powtórzyć to sobie dla wprawy) — ...tę, to chyba będzie taka odległość... ale, wobec tego, ciekawe, do jakiej Długości i Szerokości już dotarłam? — (Alicja nie miała najmniejszego wyobrażenia o tym, co to jest Szerokość albo Długość, ale sądziła, że słowa te brzmią ślicznie i dostojnie).

Po chwili znowu zaczęła: — Ciekawe, czy przelecę prościutko przez całą ziemię? Jakże to będzie dziwne, wynurzyć się pośród ludzi chodzących głową w dół! Zdaje się, że to antypacy... — (tym razem była nawet zadowolona, że nikt nie słucha, bo wcale nie zabrzmiało to jak tamto właściwe słowo) — ...ale będę musiała ich zapytać o nazwę kraju, w którym się znajduję, wiecie. Proszę pani, czy to Nowa Zelandia, czy Australia? — (mówiąc to starała się dygnąć... wyobraźcie sobie, dygnąć, kiedy spadacie w powietrzu! Czy myślicie, że udałoby się wam tego dokonać?) — A za jaką głupiutką dziewczynkę mnie uzna po takim zapytaniu! Nie, nie wolno pytać: może zobaczę to gdzieś wypisane. W dół, w dół, w dół. Ponieważ nie było niczego, czym można by się zająć, Alicja wkrótce znowu zaczęła mówić: — Myślę, że wieczorem Dina bardzo będzie za mną tęskniła! — (Dina była to kotka). Mam nadzieję, że będą pamiętali o talerzyku mleka dla niej na podwieczorek. Dino, moja droga! Jakbym chciała, żebyś tu była ze mną! Boję się, że w powietrzu nie ma żadnych myszy, ale mogłabyś ułować nietoperza, a to już coś bardzo podobnego do myszy, wiesz. Ciekawa jestem, czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? — I tu Alicja poczuła, że jest trochę śpiąca i zaczęła powtarzać sennie: — Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? — a czasem: — Czy nietoperze ochoty nie miewają na koty? — bo widzicie, ponieważ nie umiała odpowiedzieć ani na jedno, ani na drugie z tych pytań, więc

kolejność nie odgrywała tu żadnej roli. Poczuła, że zapada w drzemkę, i właśnie zaczęła śnić, że idzie tuż obok Diny i mówi do niej z powagą: — A teraz, Dino, powiedz mi prawdę: czy miałaś kiedyś ochotę na nietoperza? — gdy niespodziewanie, gruch! buch! upadła na stos gałązek i zwiędłych liści — i spadanie ustało.

Alicja nie poniosła najmniejszej szkody i już po chwileczce zerwała się na nogi: uniosła głowę, lecz w górze było zupełnie ciemno. Przed nią rozciągał się następny długi korytarz, a pędził nim ciągle jeszcze widoczny Biały Królik. Nie wolno było stracić ani chwili. Alicja ruszyła jak wicher i zdążyła jeszcze usłyszeć Królika, który dobiegając do zakrętu, powiedział: — Ach, na me uszy i wąsy, jak późno już! — Była tuż za nim, ale gdy zakreśliła, Królik zniknął z pola widzenia: znajdowała się w długiej, niskiej sali, oświetlonej szeregiem lamp zwisających spod sklepienia.

Sala miała wiele drzwi, ale wszystkie były zamknięte na klucz: a gdy Alicja przeszła tam i na powrót, próbując je kolejno otworzyć, zawróciła zasmucona ku środkowi sali, zastanawiając się, jakim sposobem potrafi kiedykolwiek wydobyć się stąd.

Niespodziewanie natknęła się na trójnogi stół, całkowicie wykonany ze szkła: nie leżało na nim nic, prócz malusieńkiego złotego kluczyka, więc natychmiast przyszło jej do głowy, że może należy on do którychś drzwi sali, lecz niestety! albo zamki były za wielkie, albo kluczyk za mały, w każdym razie nie otworzyła nim żadnych drzwi. Mimo to, gdy po raz drugi rozpoczęła wędrówkę wokół sali, natknęła się na niską kotarę, której przedtem nie zauważyła; za tą kotarą znajdowały się niewielkie drzwiczki, wysokie na mniej więcej piętnaście cali: spróbowała wsunąć kluczyk w zamek i ku jej wielkiej ucieście — pasował!

Alicja otworzyła drzwiczki i odkryła, że znajduje się za nimi przejście niewiele szersze niż szczurza nora: uklękła i zajrzawszy w głąb przejścia, dostrzegła najpiękniejszy ogród, jaki kiedykolwiek moglibyście zobaczyć. Jakże zapragnęła wydostać się z tej mrocznej sali i móc błądzić pośród jasno ukwieconych klombów i chłodnych wodotrysków, ale nawet głowy nie mogła przesunąć przez framugę drzwi. — „A gdyby nawet udało mi się przesunąć głowę —



pomyślała biedna Alicja — niewielki byłby z niej pożytek, pozbawionej ramion. Och, jakbym chciała wsunąć się W siebie jak luneta! Myślę, że mogłabym, gdybym tylko wiedziała, jak zacząć”. Bo, widzicie, tak wiele zdumiewających rzeczy wydarzyło się ostatnio, że zaczęła uważać już tylko nieliczne z nich za naprawdę niemożliwe. Osądziła, że niewiele będzie pożytku z czekania przy małych drzwiczkach, zawróciła więc w stronę stolika z niewielką nadzieją, że, być może, znajdzie na nim inny klucz lub co najmniej książkę z przepisami na



to, jak człowiek może wsunąć się sam w siebie jak luneta: tym razem znalazła na stoliku niewielką butelkę (— Która na pewno tu przedtem nie stała — powiedziała Alicja.), a do szyjki butelki przywiązana była papierowa etykieta ze słowami: „WYPIJ MNIE”, pięknie wydrukowanymi wielkimi literami.

Bardzo łatwo powiedzieć: „Wypij mnie”, ale roztropna mała Alicja wcale nie miała zamiaru robić tego w pośpiechu. — Nie, najpierw się przyjrzę — powiedziała — i sprawdzę, czy nie zaznaczono na niej „trucizna” — gdyż przeczytała już kilka milutkich opowiadań o dzieciach, które spłonęły, zostały pożarte przez dzikie bestie albo spotkały je inne niemiłe rzeczy, a wszystko dlatego, że nie chciały pamiętać o wpajanych im przez przyjaciół paru prostych zasadach: takich jak ta, że rozpalony do czerwoności pogrzebach oparzy cię, jeśli go będziesz trzymała zbyt długo, albo ta, że jeżeli zatniesz się bardzo głęboko nożem w palec, to zwykle ten palec krwawi; i nigdy nie zapominała o tym, że jeżeli wypijesz za wiele z butelki, na której napisano: „trucizna”, prędzej czy później musi ci to zaszkodzić.

Ale na tej butelce nie napisano: „trucizna”, więc Alicja odważyła się spróbować i odkrywszy, że zawartość jest bardzo smaczna (w rzeczywistości smakowała jak ciastko z wiśniami, zmieszane ze śmietanką, ananasem, pieczonym indykiem, ciągutką i gorącą grzanką posmarowaną masłem), szybko wypila wszystko do dna.

— Jakie dziwne uczucie! — powiedziała Alicja. — Na pewno wsuwam się w siebie jak luneta! I rzeczywiście, tak właśnie się stało: była wysoka w tej chwili tylko na dziesięć cali i twarz jej się rozjaśniła, gdy pomyślała, że to akurat właściwy wzrost, który umożliwi przedostanie się przez maleńkie drzwiczki do tego pięknego ogrodu. Mimo to przeczekala jeszcze kilka minut, żeby stwierdzić, czy skurczy się jeszcze bardziej: trochę ją to niepokoiło. — Bo, wiecie, mogłoby się to zakończyć tak — powiedziała do siebie Alicja — że zniknęłabym cała jak wypalona świeca. Ciekawa jestem, jaka bym wtedy była? — I próbowała wyobrazić so-

bie, jak wygląda płomień świecy po zdmuchnięciu świecy, bo nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała coś takiego.

Po pewnym czasie, widząc, że już nic więcej się nie dzieje, postanowiła wyjść od razu do ogrodu, ale, niestety, o biedna Alicjo! gdy podeszła do drzwi, odkryła brak małego złotego kluczyka, a kiedy zawróciła do stołu, żeby go wziąć, nie mogła tam w żaden sposób sięgnąć: dostrzegała go przez szkło zupełnie jak na dłoni i zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby wspiąć się po jednej z nóg stołu, ale noga była za śliska; a kiedy wyczerpały ją te próby, biedna mała usiadła i wybuchnęła łzami.

— Nic ci nie da ten płacz! — powiedziała do siebie ostro Alicja. — Radzę ci się w tej chwili uspokoić! — Zwykle dawała sobie bardzo dobre rady (choć rzadko ich słuchała) i czasem łajała się tak surowo, że łzy jej stawały w oczach, przypominała sobie nawet, że raz próbowała wytargać się za uszy, kiedy oszukała samą siebie podczas gry w krokieta, którą rozgrywała przeciwko sobie, bo to zdumiewające dziecko bardzo lubiło udawać, że jest dwiema osobami. „Ale teraz nie przyda się na nic — pomyślała biedna Alicja — udawanie, że się jest dwiema osobami! Jak to, przecież pozostało mnie ledwie tyle, żeby wystarczyć na jedną czcigodną osobę!”

Wkrótce oko jej spoczęło na leżącym pod stołem niewielkim, szklanym pudełku: otworzyła je i znalazła wewnątrz maleńkie ciasteczko, na którym słowa: „ZJEDZ MNIE” zostały pięknie wypisane porzeczkami. — No, to je zjem — powiedziała Alicja — a jeżeli sprawi ono, że urosnę, będę mogła wziąć ten klucz; a jeżeli sprawi, że zmaleję, to przeczołgam się pod drzwiami: tak czy inaczej, wejdę do ogrodu i nie dbam to, co się stanie!

Zjadła mały kawałek i powiedziała do siebie z niepokojem: — W którą stronę? W którą stronę? — położywszy dłoń na czubku głowy, żeby wyczuć, w którą stronę będzie rosła; była zupełnie zaskoczona stwierdziwszy, że nie zmienia wymiarów. Zapewne zwykle tak bywa, kiedy ktoś zje ciastko, ale Alicja zaszła już tak daleko w oczekiwaniu wyłącznie niecodziennych zdarzeń, że życie przebiegające w zwykły sposób wydawało się jej nudne i głupie.

Wzięła się więc do dzieła i bardzo szybko skończyła to ciastko.

Rozdział II

Kałuża łez



W. P. Prawa Stopa Alicji.

*Dywan przed Kominkiem,
w pobliżu Kraty
(z uściskami od Alicji).*

Zdziwniej i dziwniej! — zawołała Alicja (była tak zaskoczona, że na chwilę zapomniała zupełnie, jak posługiwać się poprawną angielszczyzną). — Wysuwam się teraz z siebie jak luneta, największa z wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały! Żegnajcie, stopy! — (bo kiedy spojrzała w dół na swe stopy, wydało jej się, że znikają już z pola widzenia, tak bardzo się oddaliły). „O, moje biedne, maleńkie stopki, ciekawa jestem, kto będzie wam teraz wkładał wasze buciki i pończochy, może wy najdroższe? Pewna jestem, że ja nie będę mogła tego dokonać! Będę o wiele za daleko, żeby się wami kłopotać: musicie sobie teraz dawać radę tak, jak potraficie — ale muszę być miła dla nich — pomyślała Alicja — bo nie pójdą tam, gdzie ja będę chciała iść! Niech się zastanowią, na każde Boże Narodzenie dostaną ode mnie nową parę butów”.

I dalej planowała w duchu, jak się do tego zabierze. „Muszą być przesłane przez posłańca — pomyślała — ale jakie to będzie zabawne wysyłanie prezentów swoim własnym stopom! A jak dziwnie będzie się adresowało!

Och, mili moi, co za bzdury wygaduję!”

W tej samej chwili głowa jej stuknęła o sklepienie sali: i rzeczywiście, miała teraz nieco więcej niż dziewięć stóp wzrostu, więc natychmiast podniosła mały złoty klucz i ruszyła biegiem ku drzwiom prowadzącym do ogrodu.

Biedna Alicja! Zrobiła wszystko, co mogła, to znaczy położyła się na boku i spojrza-

ła jednym okiem na ogród; ale przedostanie się tam było teraz bardziej beznadziejne niż kiedykolwiek: usiadła i znowu wybuchnęła łzami.

— Powinnaś się wstydzić — powiedziała Alicja — taka wielka dziewczyna jak ty — (śmiało mogła tak powiedzieć) — żeby płakać w ten sposób! Przestań w tej chwili, mówię ci! — Ale mimo to płakała dalej, wylewając całe galony łez, aż wreszcie utworzyła się wokół niej wielka kałuża, głęboka na mniej więcej cztery cale i rozlewająca się w głąb sali. Po



pewnym czasie usłyszała tupot maleńkich stóp w oddaleniu i pospiesznie osuszyła oczy, żeby zobaczyć, co nadchodzi. Był to Biały Królik powracający we wspaniałym stroju z parą białych kozłowych rękawiczek w jednej ręce i wielkim wachlarzem w drugiej; zbliżył się pospiesznym truchcikiem, a nadchodząc mruczał do siebie: — Och, Księżna, Księżna! Ileż okrucieństwa okaże, jeśli kazałem jej czekać na siebie! — Alicja popadła już w taką rozpacz, że gotowa była błagać kogokolwiek o pomoc: gdy Królik był już blisko, zaczęła cichym, bojaźliwym głosem: — Jeżeli mi wolno, proszę pana... — Królik drgnął gwałtownie, upuścił białe kozłowe rękawiczki i wachlarz — i pędem umknął w ciemność.

Alicja podniosła wachlarz i rękawiczki, a że w sali było bardzo gorąco, wachlowała się bez przerwy, mówiąc: — Mili moi, mili moi! Jakże zagadkowe jest dzisiaj wszystko! A wczoraj wszystko przebiegało jak co dnia; ciekawa jestem, czy zmieniłam się w ciągu nocy? Dajcie mi się zastanowić: czy byłam taka sama budząc się dziś rano? Nieomal myślę, że pamiętam, jakbym się czuła trochę inaczej. Ale jeżeli nie jestem sobą, następne pytanie brzmi: — Kim, na Boga, jestem? Ach, oto wielka zagadka! — I zaczęła przebiegać w myśli wszystkie znajome dzieci, będące w tym samym wieku, co ona, żeby sprawdzić, czy mogła się przemienić w któreś z nich.

— Jestem pewna, że nie jestem Adą — powiedziała — bo jej włosy opadają takimi długimi lokami, a moje wcale nie układają się w loki, i jestem pewna, że nie mogę być Mabel, bo ja wiem o najrozmaitszych rzeczach, a ona, och, ona wie tak niewiele! Poza tym, ona

jest nią, a ja jestem mną i... och, mili moi, jak zagadkowe jest to wszystko! Spróbuję, czy wiem to wszystko, co kiedyś wiedziałam. Zobaczymy: cztery razy pięć jest dwanaście, a cztery razy sześć jest trzynaście, a cztery razy siedem jest... och, mili moi! Nigdy nie dobrnę do dwudziestu w tym tempie! Ale przecież Tabliczka Mnożenia nic jeszcze nie oznacza: spróbujmy Geografii. Londyn jest stolicą Paryża, a Paryż jest stolicą Rzymu, a Rzym... nie, pewna jestem, że wszystko pokręciłam! Musiałam przemienić się w Mabel! Spróbuję powiedzieć: Jak skrzętnie, mały... — i skrzyżowawszy dłonie na podołku, jak gdyby dla wyrecytowania zadanej lekcji, zaczęła powtarzać, ale głos jej brzmiał ochryple i obco, a słowa przybywały nie te same, co dawniej:

Jak skrzętnie, mały krokodylu,
Dbasz o swój ogon czysty.
Wciąż polewając wodą z Nilu
Każdą z husek srebrzystych!
Jakże uśmiecha się pogodnie
Paszczyka twoja słodka,
Gdy rybki małe tak łagodnie
Zaprasza, ach, do środka!

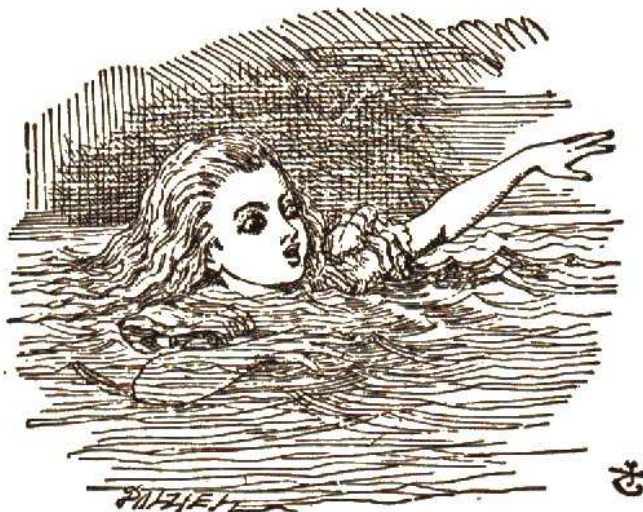
— Jestem pewna, że to nie są właściwe słowa — powiedziała biedna Alicja i oczy jej znów wypełniły się łzami, gdy mówiła dalej: — Mimo wszystko na pewno jestem Mabel i zamieszkam w tym nędznym małym domku i nie będę miała prawie żadnych zabawek i, och, tyle nauki przy każdej lekcji! Nie, postanowiłam już: jeżeli jestem Mabel, pozostanę tutaj! Nic im nie przyjdzie z wtykania tu głów i mówienia: „Wróć na górę, kochanie!” Spojrzę tylko w górę i powiem: „Kim jestem? To przede wszystkim, mi powiedzcie”, a później, jeżeli będzie mi się podobało być tą osobą, wrócę na górę: jeżeli nie, zostanę tu, na dole, póki nie stanę się kim innym... ale, och, mili moi! — zawołała Alicja wybuchając nagle łzami — ale jakbym chciała, żeby zechcieli tu wetknąć głowy! Jestem tak bardzo udręczona samotnością tutaj!

Mówiąc to, spojrzała w dół na swoje dłonie i ze zdumieniem stwierdziła, że udało jej się wsunąć jedną z małych, białych rękawiczek Królika. „Jak mogłam tego dokonać? — pomyślała. — Pewnie znowu maleję”. Wstała, podeszła do stolika, żeby zmierzyć przy jego pomocy swój wzrost, i odkryła, że ma teraz nie więcej niż dwie stopy i kurczy się gwałtownie: szybko pojęła, że przyczyną tego był wachlarz, więc upuściła go pospiesznie, w sam czas, żeby uniknąć skurczenia się aż do skutku.

— Niewiele brakowało! — powiedziała Alicja, porządnie przestraszona tak nagłą zmianą, ale bardzo zadowolona, że istnieje nadal. — A teraz, do ogrodu! — I pobiegła pędem ku drzwiczkom, lecz niestety! drzwiczki były nadal zamknięte, a małeńki złoty kluczyk leżał na szklanym stole jak przedtem. „I wszystko jest gorzej niż kiedykolwiek — pomyślało biedne dziecko — bo nigdy nie byłam tak mała jak teraz, nigdy! I oświadczam, że to, co się dzieje, jest już nazbyt paskudne!”

Mówiąc to, pośliznęła się i w następnej chwili, chlup! była już po szyję w słonej wodzie. Najpierw przyszło jej do głowy, że musiała w jakiś sposób wpaść do morza. — W takim razie będę mogła powrócić koleją — powiedziała do siebie. (Alicja była raz w życiu nad morzem i doszła do generalnego wniosku, że gdziekolwiek udasz się na angielskim wybrzeżu, musisz znaleźć pewną ilość kabin kąpielowych w morzu, pewną ilość dzieci grzebiących w piasku drewnianymi szpadelkami, w głębi rząd domków do wynajęcia, a za nimi dworzec kolejowy). Ale już wkrótce stwierdziła, że znajduje się w kałuży łez, którą wypłakała mając dziewięć stóp wzrostu.

— Och, czemu tyle płakałam! — powiedziała Alicja płynąc w koło i poszukując brzegu, na który mogłaby się wydostać. — Przypuszczam, że zostanę teraz za to ukarana utopieniem we własnych łzach! Z całą pewnością będzie to zdumiewające! Ale wszystko dziś jest zdumiewające. W tej samej chwili usłyszała, że nie opodał w kałuży coś pluszcze; podpły-



nęła bliżej, żeby dowiedzieć się, co to jest: najpierw pomyślała, że musi to być mors albo hipopotam, ale natychmiast przypomniała sobie, jak mała jest teraz, i szybko domyśliła się, że to tylko mysz, która zapewne pośliznęła się i wpadła tak samo jak ona.

„Czy byłby jakiś pożytek z odezwania się do tej myszy? — pomyślała Alicja. — Wszystko jest tak przedziwne tu w dole, że nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby umiała mówić: bądź co bądź, nie zaszkodzi spróbować”. Więc zaczęła: — Myszko, czy wiesz, którędy można wydostać się z tej kałuży? Bardzo mnie zmęczyło pływanie w niej. O, Myszko! (Alicja sądziła, że jest to właściwy sposób przemawiania do myszy, nigdy przedtem nie próbowała robić czegoś podobnego, ale zapamiętała dostrzeżone raz w Gramatyce Łacińskiej brata: „Kto co myszka — kogo czego myszki — komu czemu myszce — kogo co myszkę — O, myszko!”) Myszka przyjrzała się jej badawczo i Alicji wydało się, że mrugnęła jednym ze swych małych oczek, ale nie powiedziała nic.

„Być może, nie rozumie po angielsku — pomyślała Alicja. — Wydaje mi się, że to francuska mysz, która przywędrowała tu z Wilhelmem Zdobywcą”. (Gdyż, pomimo całej swej znajomości historii, Alicja nie miała jasnego poglądu na to, ile czasu upłynęło od rozmaitych wydarzeń). Zaczęła więc ponownie: — *Ou est ma chatte?* — co było pierwszym zdaniem w jej podręczniku do nauki francuskiego. Myszka wykonała nagły skok w górę i zadygotała od stóp do głów z przerażenia. — Och, proszę mi wybaczyć! — zawołała pośpiesznie Alicja w obawie, że mogła zranić uczucia biednego zwierzęcia. — Zupełnie zapomniałam, że nie lubisz kotów.

— Nie lubić kotów! — zawołała Myszka wysokim, przejmującym głosem. — Czy ty, będąc mną, lubiłabyś koty? — Cóż, zapewne nie — powiedziała Alicja pojednawczo — nie gniewaj się o to. A jednak chciałabym ci pokazać naszą kotkę Dinę. Myślę, że od razu polubiłabyś koty, gdybyś tylko ją zobaczyła. Jest takim kochanym, cichym stworzeniem — ciągnęła dalej Alicja, na pół do siebie, przepływając leniwie kałużę tam i na powrót — i siada, mrucząc tak ładnie, przy kominku, liżąc łapki i myjąc sobie buzię... i taka jest przyjemna i miękka, kiedy się ją bierze na kolana... i tak znakomicie łowi myszy... och, proszę mi wybaczyć! — zawołała Alicja



ponownie, gdyż tym razem Myszka najeżyła się cała i na pewno była naprawdę obrażona. — Nie będziemy już o niej rozmawiały, jeżeli nie życzysz sobie tego.

— Nie będziemy, rzeczywiście! — zawołała Myszka, która trzęsła się aż po czubek ogona. — Jak gdybym ja mogła rozmawiać na taki temat! W naszej rodzinie koty były zawsze znienawidzone: nikczemne, podłe, wulgarne stworzenia! Nie chcę już więcej o nich słyszeć!

— Ode mnie nie usłyszysz! — powiedziała Alicja chcąc pospiesznie zmienić temat rozmowy. — Czy jesteś... czy lubisz... czy lubisz psy? — Myszka nie odpowiedziała, więc Alicja gorliwie ciągnęła dalej: — Jest taki miły mały piesek w naszym sąsiedztwie, którego bardzo chciałabym ci pokazać! Mały ognistooki terier, wiesz, z, och, taką długą, kudłatą, brązową sierścią! I przynosi rzeczy, jeżeli mu się je rzuci, i potrafi usiąść i prosić o obiad, i robi najrozmaitsze rzeczy... nie mogę sobie przypomnieć nawet połowy z nich... i należy do farmera, wiesz, który mówi, że jest bardzo pożyteczny, wart chyba ze sto funtów! Mówi, że morduje wszystkie szczury i... och, mili moi! — zawołała Alicja żałośnie. — Obawiam się, że znowu ją obraziłam! — Gdyż Myszka odpływała od niej z całą szybkością, na jaką umiała się zdobyć, aż wzburzyła się powierzchnia kałuży.

Zawołała więc za nią łagodnie: — Myszek droga! Wróć tu, a nie będziemy mówiły ani o kotach, ani o psach, jeżeli ich nie lubisz! — Usłyszawszy to, Myszka zawróciła i powoli przyплыnęła ku niej: oblicze jej było zupełnie blade („z wściekłości” — pomyślała Alicja) i powiedziała drżącym szeptem: — Wyjdźmy na brzeg, a wtedy opowiem ci moją historię i zrozumiesz, czemu nienawidzę kotów i psów.

Był już najwyższy czas, żeby wyjść, bo w kałużę powpadało tyle ptaków i zwierząt, że zrobiło się ciasno: była tam Kaczka i Dodo, Papuga i Orlątko, i wiele innych dziwnych stworzeń. Alicja skierowała się ku brzegowi i całe to zgromadzenie popłynęło za nią.

Rozdział III

Wyścig kumotrów i ogonopowieść

Rzeczywiście stanowiły przedziwnie wyglądające zgromadzenie, gdy zebrały się tak nad brzegiem — ptaki o zabrudzonych szlamem piórach, zwierzęta o przylegającej do skóry sierści, wszystkie ociekające wodą, gniewne i przygnębione.

Jasne, że pierwszym pytaniem, na które należało odpowiedzieć, było: jak się osuszyć? Zaczęły się nad tym naradzać i już po kilku minutach wydało się Alicji zupełnie naturalne, że rozmawia z nimi tak poufale, jak gdyby znała je wszystkie od urodzenia. Przeprowadziła długą dyskusję z Papugą, która wreszcie nastroszyła się i zaczęła powtarzać w kółko: — Jestem starsza niż ty, więc na pewno wiem lepiej. — Nie wiedząc, ile ptak ma lat, Alicja uznała to za nie do przyjęcia, a ponieważ Papuga zdecydowanie odmówiła podania swego wieku, rozmowa stanęła na martwym punkcie.

Wreszcie Myszka, która wydawała się pomiędzy nimi osobą o pewnym znaczeniu, zawołała: — Siadajcie wszyscy i wysłuchajcie mnie! Już ja was potrafię zaraz odpowiednio osuszyć! — Usiedli wszyscy natychmiast, otaczając Myszkę szerokim kręgiem. Alicja zaczęła wpatrywać się w nią z niepokojem, gdyż była pewna, że zaziębi się paskudnie, jeżeli nie wyschnie prędko.

— Ahem! — chrząknęła Myszka z godnością. — Czy wszyscy jesteście gotowi? Jest to najsuchsza rzecz, jaką znam. I cisza wszyscy, jeśli wolno prosić! „Wilhelm Zwycięzca, którego sprawę popierał papież, wkrótce został uproszony przez Anglików, którzy potrzebowali wodza i od dawna przywykli do przywłaszczeń i podbojów. Edwin i Morcar, hrabiowie Mercji i Northumbrii...”

— Och! — powiedziała Papuga i wstrząsnął nią dreszcz.

— Wybacz mi! — powiedziała Myszka uprzejmie, lecz ze zmarszczonymi brwiami. — Ale czy to ty odezwałaś się?

— Ja? Nie! — powiedziała Papuga pospiesznie.

— Wydawało mi się, że tak — powiedziała Myszka. — Więc ciągnę rzecz dalej. „Edwin i Morcar, hrabiowie Mercji i Northumbrii, opowiedzieli się za nim, a nawet Stigand, arcybiskup Canterbury i patriota, znajdował to celowym...”

— Co znajdował? — powiedziała Kaczka.

— Znajdował to — odparła Myszka z pewnym rozdrażnieniem — oczywiście, wiesz chyba, co „to” znaczy.

— Wiem dobrze, co „to” znaczy, gdy to znajdują — powiedziała Kaczka — zwykle jest to żaba albo glista. Pytanie brzmiało, co znajdował arcybiskup?

Myszka nie wzięła pod uwagę tego pytania, lecz pospiesznie mówiła dalej: — ...znajdował to celowym, aby udać się wraz z Edgarem Atheling na spotkanie Wilhelma i zaofiarować mu koronę. Postępowanie Wilhelma było początkowo nacechowane skromnością. Lecz zuchwał-

stwo jego Normanów...” No, i jak tam, kochanie? — zwróciła się do Alicji.

— Jestem mokra, jak byłam — powiedziała Alicja melancholijnym tonem. — Zdaje się, że mnie to w-ogóle nie osusza.

— W takim wypadku — powiedział Dodo powstając z godnością — wnoszę o odroczenie zebrania dla natychmiastowego przyjęcia bardziej energicznych środków zapobiegawczych.

— Mów po angielsku! — powiedziało Orlątko. — Nie znam znaczenia nawet połowy tych długich słów, a co więcej, nie wierzę, żebyś ty je znał! — I Orlątko pochyliło głowę, żeby ukryć uśmiech: niektóre inne ptaki zachichotały półgłosem.

— Mówiąc to, miałem na myśli — powiedział Dodo urażonym tonem — że najlepszą rzeczą, aby nas osuszyć, byłby Wyścig Kumotrów.

— Co to jest Wyścig Kumotrów? — powiedziała Alicja; nie dlatego, żeby bardzo chciała się dowiedzieć, lecz dlatego że Dodo urwał, jak gdyby sądząc, że kto inny powinien teraz zabrać głos, ale nikt inny nie wydawał się skłonny do powiedzenia czegokolwiek.

— No cóż — powiedział Dodo — najłatwiej wyjaśnić to, przystępując do dzieła. — (A ponieważ i wy zechcecie może spróbować tego któregoś zimowego dnia, opowiem wam, jakie były przygotowania Dodo).



Po pierwsze, nakreślił tor wyścigowy, mniej więcej przypominający koło (— Dokładny kształt nie ma znaczenia — powiedział), a później całe zgromadzenie ustawiło się, to tu, to tam, wzdłuż toru. Nie było żadnego: „Raz, dwa, trzy i start!”, lecz każdy rozpoczynał i kończył

bieg, kiedy przyszła mu na to ochota, tak że niełatwo było stwierdzić, kiedy nastąpiło zakończenie wyścigu. Jednak gdy biegli już około pół godziny i wyschli już zupełnie, Dodo zawołał nagle: — Wyścig zakończony! — i wszyscy stłoczyli się wokół niego, dysząc i pytając: — Ale kto wygrał?

Na pytanie to Dodo nie mógł odpowiedzieć bez długiego namysłu i stał przez pewien czas z palcem przytkniętym do czoła (w pozie, w jakiej zwykle widujemy Shakespeare'a, na przedstawiających go wizerunkach), podczas gdy pozostali oczekiwali w milczeniu. Wreszcie Dodo powiedział: — Wszyscy wygrali i każdy musi otrzymać nagrodę.

— Ale kto ma dawać nagrody? — zapytano chóralnie.

— Jak to? Ona, oczywiście — powiedział Dodo. Wskazał palcem i całe zgromadzenie natychmiast stłoczyło się wokół niej wołając bezładnie: — Nagrody! Nagrody!

Zupełnie nie wiedząc, co począć, zrozpaczona Alicja wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła z niej pudełko cukierków (na szczęście słona woda nie przeniknęła do nich), i rozdała je naokół jako nagrody. Wypadło dokładnie po cukierku na każdego.

— Ale ona sama też musi dostać nagrodę — powiedziała Myszka.

— Oczywiście — odparł Dodo z wielką godnością. — Co jeszcze masz tam w kieszeni? — dokończył zwracając się ku Alicji.

— Naparstek tylko — powiedziała Alicja ze smutkiem.

— Podaj mi go — powiedział Dodo.

Raz jeszcze wszyscy stłoczyli się wokół niej, podczas gdy Dodo z powagą wręczył jej w darze naparstek, mówiąc: — Upraszamy cię oto o przyjęcie tego doskonałego naparstka. — Gdy zakończył tę krótką przemowę, wszyscy wznieśli okrzyk.

Alicja pomyślała, że cała ta sprawa jest absurdalna, ale nie ośmieliła się wybuchnąć śmiechem, gdyż wszyscy oni wydawali się tak poważni, a że nie przyszło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, skłoniła się tylko i przyjęła naparstek, starając się wyglądać tak poważnie, jak umiała.

Z kolei należało zjeść cukierki: spowodowało to nieco zgietku i zamieszania, gdyż wielkie ptaki uskarżały się, że nie mogą ich nawet posmakować, a małe dławiły się i trzeba je było klepać po grzbiecie. Wszystko to jednak wreszcie minęło i znów zasiedli kręgiem, prosząc Myszkę, żeby opowiedziała im coś jeszcze.

— Obiecałaś, że opowiesz mi o swoim losie — powiedziała Alicja — i o tym, dlaczego nienawidzisz... K i P — dodała szeptem, obawiając się, że urazi ją ponownie.

— O, goni smutny i długi mnie los, smutny i długi jak ta opowieść! — powiedziała Myszka, zwracając się ku Alicji i wzdychając.

— Ogon i smutny, i długi? — powiedziała Alicja spoglądając ze zdumieniem na jej ogon. — Długi tak, ale dlaczego mówisz, że smutny? — I zastanawiała się dalej nad tą zagadką, w czasie gdy Myszka mówiła. A jej ogonopowieść wydała się Alicji mniej więcej taka:

Kiedyś raz
 Myszka mała
 Kota Złego
 spotkała.
 „W sądzie chcę
 cię oskarżyć!” —
 rzekł Kot Zły
 widząc Mysz
 „Radzę ci, nie
 uciekaj i
 na proces
 tu czekaj
 Nudzę się
 już od rana,
 więc uczynię
 to dziś”.
 Rzekła Mysz:
 „Hej, kolego!
 Cóż to? Sąd bez
 sędziego, bez przy-
 sięgłych, obrońcy
 i woźnego
 chcesz mieć?”
 Na to Kot:
 „Adwokatem,
 sędzią,
 woźnym
 i katem
 ja sam
 będę
 Ja sam
 też
 ska-
 żę
 cie-
 bie
 na
 śmierć”.

— W ogóle nie słuchasz! — powiedziała z przyganą Myszka do Alicji. — O czym myślisz?
 — Przepraszam cię bardzo — odparła Alicja potulnie — zdaje się, że doszłaś do piątego skreśtu?
 — Zupełnie możliwe — powiedziała Myszka bez przekonania, nie zrozumiałwszy.
 — Supeł, niemożliwe! — zawołała Alicja, zawsze gotowa do usług i spoglądająca na nią niepewnie. — Och, pozwól mi go rozplatać!
 — Nie uczynisz niczego podobnego — powiedziała Myszka wstając i gotując się do odejścia. — Obrażasz mnie wygadując podobne nonsensy! — Wcale nie miałam zamiaru! —



powiedziała Alicja błagalnie. — Ale tak łatwo cię urazić, wiesz!

Myszka burknęła tylko coś w odpowiedzi.

— Proszę, wróć i dokończ tę opowiastkę o sobie! — zawołała za nią Alicja. Wszyscy powtórzyli to chórem, ale Myszka tylko potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem i zaczęła oddalać się nieco szybciej.

— Jaka szkoda, że nie chciała zostać! — westchnęła Papuga, gdy tylko Myszka znikła im z oczu. A stara Krabica skorzystała z tej okazji i zwróciła się do córki: — Ach, moja miła! Niech to stanie się dla ciebie lekcją, abyś nigdy nie dała się ponieść złości! — Zamknij buzię, mamó! — palnęła natychmiast młoda Krabiczka. — Nawet ostryga straciłaby przy tobie cierpliwość!

— Och, jak bardzo chciałabym, żeby Dina tu była! Pewna jestem, że bardzo bym tego chciała! — powiedziała Alicja na głos, nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Ona z całą pewnością prędko sprowadziłaby ją z powrotem!

— A kim jest owa Dina, że ośmielę się zadać to pytanie? — zapytała Papuga.

Alicja odparła jak najchętniej, bo zawsze była gotowa mówić o swojej pieszczotce: — Dina to nasza kotka. I tak kapitałnie łowi myszy, nie wyobrażacie sobie nawet jak! I, och, jakbym chciała, żebyście ją zobaczyli, kiedy poluje na ptaki! Jak tylko dopadnie jakiegoś małego ptaszka, zjada go w mgnieniu oka!

Przemowa ta spowodowała wyraźne poruszenie całego zgromadzenia. Część ptaków odeszła szybko; stara Sroka, otuliwszy się szczelnie szalem, rzuciła: — Rzeczywiście, czas już do domu: ten nocny powiew nie służy mojej krtani! — A Kanarek zaczął drżącym głosem zwoływać swoje dzieci: — Chodźcie już, miłe moje! Najwyższy czas do łóżka! — Rozeszły się pod najrozmaitszymi pozorami i wkrótce Alicja została sama.

— Czemu wspomniałam o Dinie! — powiedziała do siebie melancholijnym tonem. — Zdaje się, że tu, w dole, nikt jej nie lubi, chociaż pewna jestem, że to najlepszy kot na całym świecie! Och, moja miła Dino! Ciekawa jestem, czy zobaczę cię kiedyś znowu! — I tu biedna Alicja znowu wybuchnęła płaczem, bo uczuła, że jest bardzo stęskniona i strapiona. Lecz po krótkiej chwili dobiegł do niej z dala tupot maleńkich stóp i szybko uniosła głowę, na pół uwierzywszy, że to Myszka zmieniła zamiar i powraca dla dokończenia swej opowieści.

Rozdział IV

Królik wysłała małego Billa

Był to Biały Królik powracający powolnym truchcikiem i rozglądający się niespokojnie, jak gdyby coś zgubił. Usłyszała, że mruczy do siebie: — Księżna! Księżna! O, na moje najdroższe łapki! O, na moje futerko i wąsy! Każe mnie stracić, to pewne jak fakt, że łasice są łasicami! Ciekawe, gdzie mogłem je upuścić? — Alicja natychmiast odgadła, że poszukuje wachlarza i białych kozłowych rękawiczek, więc pragnąc mu dopomóc, rozpoczęła poszukiwania, ale nigdzie nie można było ich dostrzec... wszystko wydawało się odmienione od czasu, gdy wpadła do kałuży; wielka sala, a wraz z nią szklany stolik i drzwiczki zniknęły zupełnie.

Królik spostrzegł wkrótce myszkującą tu i tam Alicję i zwrócił się ku niej wołając gniewnym głosem: — Hej, Anno Mario, a cóż ty tu robisz? W tej chwili masz pobiec do domu po mój wachlarz i rękawiczki! Pędź, szybko! — Alicję przestraszyło to tak, że nie czyniąc najmniejszej nawet próby wyjaśnienia Królikowi jego omyłki, ruszyła biegiem w kierunku, który jej wskazał.

— Wziął mnie za swoją służącą — powiedziała do siebie biegnąc. — Jakże będzie zdumiony, kiedy odkryje, kim jestem! Ale dobrze zrobię przynosząc mu jego wachlarz i rękawiczki... to znaczy, jeżeli uda mi się je znaleźć. — Powiedziawszy to natknęła się niespodziewanie na schludny mały domek o drzwiach ozdobionych lśniąca mosiężną tabliczką z wygrawerowanym nazwiskiem „B. KRÓLIK”. Weszła bez pukania i pognąła w górę po schodach, bardzo przestraszona możliwością napotkania prawdziwej Anny Marii i wyproszenia z domu, nim odnajdzie wachlarz i rękawiczki.

— Jakże zdumiewające wydaje się — powiedziała do siebie Alicja — takie bieganie z poleceniami od Królika! Przypuszczam, że teraz z kolei Dina będzie wysyłała mnie z poleceniami! — I spróbowała wyobrazić sobie, jak by to było: „Panno Alicjo! Proszę tu przyjść natychmiast i przygotować się do przechadzki!”, „Przyjdę za chwilę, nianiu! Ale, aż do powrotu Diny, muszę czatować przy mysiej dziurze i pilnować, żeby mysz się nie wydostała”. — Ale nie sądzę — ciągnęła Alicja — żeby dali Dinie mieszkać w domu, gdyby zaczęła pomiatać ludźmi w podobny sposób!

W tej samej chwili weszła do malutkiego, czyściutkiego pokoiku, posiadającego pod oknem stolik, na którym (tak jak tego pragnęła) leżał wachlarz i dwie czy trzy pary maleńkich, białych, kozłowych rękawiczek: podniosła wachlarz i jedną parę rękawiczek, ale w chwili gdy miała opuścić pokój, oko jej spoczęło na niewielkiej butelce stojącej w pobliżu zwierciadła. Tym razem nie była ona zaopatrzona w etykietkę z napisem: „WYPIJ MNIE”, lecz nie zważając na to, Alicja wyjęła korek i przytknęła ją do warg. — Wiem, że ile razy zjadłam tu coś albo wypłam — powiedziała do siebie — z reguły następowało coś interesującego: więc po prostu sprawdzę, czego dokona ta butelka. Mam ogromną nadzieję, że sprawi, abym znów urosła, bo naprawdę bardzo już mnie udręczyło bycie taką maleńką osobką! W rzeczywistości butelka



dokonała tego o wiele prędzej, niż można było oczekiwać: zanim wypróżniła połowę naczynia, dotknęła głową sufitu i skuliła się, żeby uniknąć złamania karku. Pospieszenie odstawiała butelkę, mówiąc do siebie: — To zupełnie dosyć... Mam nadzieję, że więcej nie urosnę... W tej chwili jestem już taka, że nie mogłabym wydostać się drzwiami... Jak bardzo chciałabym wypić mniej, niż wypiałam!

Niestety! Było to spóźnione pragnienie! Rosła nadal i po krótkiej chwili musiała ukłęknąć na podłodze: minęła jeszcze minuta i nawet na to zabrakło miejsca, więc położyła się na podłodze, opierając łokieć jednej ręki o drzwi i osłaniając głowę drugą ręką. Ale rosła nadal, więc chwyciwszy się ostatniej deski ratunku, wysunęła jedną rękę przez okno i jedną nogę wetknęła do kominka, mówiąc do siebie: — Bez względu na to, co się teraz wydarzy, więcej nie mogłam działać. Ale co się ze mną stanie?

Na szczęście mała magiczna butelka wypełniła już swe zadanie i Alicja przestała rosnąć: ale nadal było jej bardzo niewygodnie, a że nie wydawało się, aby istniała jakakolwiek szansa wydostania się kiedyś z tego pokoiku, nic dziwnego, że przygnębiło ją to.

„O wiele milej było w domu — pomyślała biedna Alicja — kiedy nie rosłam i nie malałam bez przerwy, i nie pomiatały mną myszy i króliki. Niemal chciałabym nigdy nie widzieć tej króliczej nory, do której wpadłam... a jednak... a jednak... takie życie jest ciekawe! Chciałabym wiedzieć, co się naprawdę ze mną stało! Czytając bajki myślałam, że tego rodzaju rzeczy nie mogą się zdarzyć w rzeczywistości, a oto teraz jestem tu, po uszy w jednej z nich! Powinno się o mnie napisać książkę, na pewno powinno się! Kiedy dorosnę, sama ją napiszę... ale przecież już jestem dorosła”. I dodała żalnym głosem: — W każdym razie, tu już nie ma miejsca, żeby bardziej dorosnąć.

„Ale w takim razie — pomyślała Alicja — czy nigdy nie będę starsza niż w tej chwili? To byłoby w pewien sposób pocieszające... nigdy nie być staruszką... ale w takim razie... zawsze będą jakieś lekcje i zawsze trzeba będzie się uczyć! Och, tego nie chciałabym wcale!”

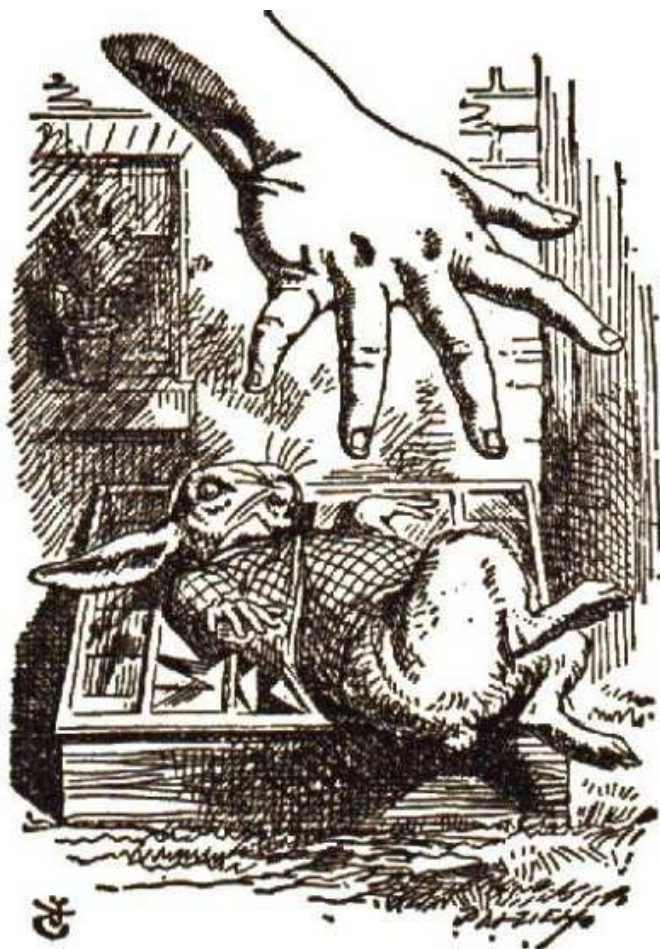
— Ach, Alicjo, jesteś niemądra! — odpowiedziała sobie. — Jak możesz uczyć się tutaj? Jest zaledwie dość miejsca dla ciebie, a nie ma go wcale dla podręczników!

I tak ciągnęła, stając raz po jednej stronie, raz po drugiej, aż przemieniła to w praw-

dziwą rozmowę, ale po kilku minutach usłyszała na zewnątrz jakiś głos, więc urwała, żeby posłuchać.

— Anno Mario! Anno Mario! — powiedział głos. — Natychmiast przynieś mi rękawiczki! — Później rozległ się tupot maleńkich stóp na schodach. Alicja pojęła, że to powraca poszukujący jej Królik, lecz zupełnie zapomniawszy, że jest teraz tysiąc razy większa niż on i nie ma żadnego powodu, żeby się go obawiać, zadrżała tak, aż dom zadygotał.

Królik zbliżył się do drzwi i spróbował je tworzyć, lecz że otwierały się one do wewnątrz i były mocno przyciśnięte łokciem Alicji, więc próba ta zakończyła się niepowodzeniem. Usłyszała go, mówiącego do siebie: — Więc obejdę dom dokoła i dostanę się do środka oknem. „Nie zrobisz tego!” — pomyślała Alicja i odczekawszy aż do chwili, kiedy wydało



się jej, że słyszy Królika tuż za oknem, wysunęła niespodziewanie rękę i zamknęła dłoń w powietrzu. Nie schwyciła niczego, ale usłyszała nikły okrzyk i trzask pękającego szkła, z czego wywnioskowała, że wpadł w szklarnię z ogórkami albo w inne podobne urządzenie.

Potem rozległ się gniewny głos Królika: — Pat! Pat! Gdzie jesteś? — A później głos, którego nie słyszała nigdy przedtem, powiedział: — Przecie tu jestem! Wykopuję jabłka, wasza czcigodność!

— Jabłka sobie wykopujesz, doprawdy! — powiedział Królik gniewnie. — Podejdź tu! Pomóż mi się z tego wydostać! — (Nowe odgłosy pękającego szkła).

— A teraz, Pat, powiedz mi, co jest tam w oknie?

— Pewnikiem ręka, wasza czcigodność! — (wymawiał „rynka”).

— Ręka, ty cymbale! Czy widział kto kiedykolwiek taką rękę? Jak to, przecież zajmuje całe okno!

— Pewnikiem, że zajmuje, wasza czcigodność. Ale tak czy owak, to przecie ręka!

— W każdym razie, nie ma żadnej przyczyny, aby się tam znajdowała. Ruszaj i zabierz ją stamtąd!

Po tych słowach nastąpiło długie milczenie i Alicja słyszała tylko, od czasu do czasu, wymawiane szeptem: — Pewnikiem, że mi się nie podoba, wasza czcigodność, wcale mi się nie podoba! — Rób, co ci każą, ty tchórze! — Ponownie rozwarła dłoń i zacisnęła ją w powietrzu. Tym razem usłyszała dwa nikłe okrzyki i nowe odgłosy pękającego szkła. „Ileż tam musi być tych szklarni z ogórkami! — pomyślała Alicja. — Ciekawa jestem, co zrobią teraz! Jeżeli chcą wyciągnąć mnie przez okno, to szczerze pragnęłabym, żeby potrafili tego dokonać. Z pewnością nie chciałabym tu dłużej pozostawać!”

Czekała przez pewien czas, ale niczego więcej już nie usłyszała. Wreszcie rozległ się turkot kół małego wózka i dźwięk wielu, rozbrzmiewających równocześnie, głosów; doszły ją słowa: — Gdzie jest druga drabina? — Jak to, miałem przynieść tylko jedną. Bili ma drugą. — Bili! Przynieś ją tu, bracie! — Tutaj, ustawcie je w tym rogu. — Nie, zwiążcie je najpierw z sobą, nie sięgają jeszcze nawet do połowy tej wysokości. — Och, dobrze jest, takie wystarczą. Nie bądź taki dokładny. — Tutaj, Billu! Chwyć za ten sznur. — Ale czy dach wytrzyma? — Uważaj na tamtą obłuzowaną dachówkę! — Och, on zlatuje! Chrońcie głowy! — (Głośny trzask). — No, kto to zrobił? — Zdaje się, że to Bili. — Kto ma wejść przez komin? — Nie, ja nie wejdę! Ty to zrobisz! — Nie zrobię tego! — Bili ma wejść. — Hej, Billu! Pan mówi że masz wejść przez komin!

— Och, więc Bili ma wejść tak? — powiedziała do siebie Alicja. — Cóż, wydaje się, że zwalają wszystko na Billa! Pewna jestem, że nie chciałabym się z nim zamienić, ten kominek jest z pewnością wąski, ale myślą, że uda mi się niewielki kopniak!

Cofnęła nogę tak bardzo, jak na to pozwalał kominek, i czekała, póki nie usłyszała, że jakieś małe zwierzątko (nie mogła odgadnąć, do jakiego należy ono gatunku) przepycha się drapiąc pazurkami w kominku tuż ponad nią: wówczas, powiedziawszy sobie: — To Bili — kopnęła raz, szybko, i czekała, co dalej nastąpi.

Najpierw usłyszała chóralne: — Oto leci Bili! — a potem tylko jeden głos, Królika: — Łapcie go wy, tam, przy żywopłocie! — później nastąpiła cisza, a później nowy wybuch pomieszanych głosów: — Unieście mu głowę! — Teraz wódki! — Nie zadławcie go. — Jak to się stało, staruszkule? — Co ci się przydarzyło — Opowiadaj!

W końcu dał się słyszeć słaby, piskliwy głos. („To Bili” — pomyślała Alicja). — Cóż, sam nie wiem... Nie, dziękuję, już dosyć, już mi lepiej... ale jestem zanadto wzburzony, żeby wam opowiedzieć... wszystko, co wiem, to to, że coś wystrzeliło ku mnie jak sprężyna i poleciało w niebo jak rakietą!



— To prawda, poleciałeś, staruszkule! — powiedzieli pozostali.

— Musimy spalić dom do fundamentów! — powiedział głos Królika.

Alicja zawołała tak głośno, jak umiała: — Jeżeli tak zrobicie, wypuszczę na was Dinę!

Natychmiast zapadło grobowe milczenie i Alicja powiedziała do siebie: — Ciekawa jestem, co teraz zrobią! Gdyby mieli odrobinę rozumu, zerwaliby dach. — Po minucie lub dwóch zaczęli się krzątać ponownie i Alicja usłyszała Królika, mówiącego: — Pełne taczki wystarczą na początek.

„Pełne taczki czego?” — pomyślała Alicja. Ale nie musiała długo zastanawiać się nad tym, bo już w następnej chwili ulewa drobnych kamyków wpadła z grzechotem przez okno, a część z nich trafiła ją w twarz. — Muszę z tym skończyć — powiedziała do siebie i krzyknęła: — Nie ważcie się tego powtórzyć! — co wywołało ponownie grobowe milczenie.

Z pewnym zdziwieniem Alicja dostrzegła, że wszystkie kamyki, które upadły na podłogę, przemieniają się w ciastka i olśniła ją pewna myśl.

„Jeśli zjem jedno z tych ciastek — tak pomyślała — na pewno spowoduje to jakąś zmianę w moich rozmiarach; a że nie może ono w żaden sposób spowodować, żebym była jeszcze większa, musi, jak przypuszczam, uczynić mnie mniejszą”.

Połknęła więc jedno ciastko i z radością dostrzegła, że z miejsca zaczyna się kurczyć. Gdy tylko stała się tak mała, żeby móc przecisnąć się przez drzwi, wybiegła z domu i napotkała na zewnątrz tłum niewielkich zwierząt i ptaków. Biedny mały Bili, który okazał się jaszczurką, tkwił pośrodku grupy podtrzymywany przez dwie świnki morskie, które połyły go czymś z butelki. Kiedy Alicja ukazała się w progu, skoczyły wszystkie ku niej, ale umknęła całym pędem i wkrótce znalazła się bezpieczna w gęstym lesie.

— Najpierw muszę — powiedziała do siebie Alicja błędząc po lesie — urosnąć do moich zwykłych rozmiarów, a później odnaleźć drogę do tego prześlicznego ogrodu. Myślę, że to będzie najlepszy plan.

Zabrzmiało to tak, jakby ten niewątpliwie znakomity i jasny plan był łatwy do urzeczywistnienia: jedyną przeszkodę stanowił brak jakiegokolwiek możliwości wprowadzenia go w życie; zatroskana zaczęła rozglądać się pośród drzew, gdy krótkie, ostre naszczekiwanie tuż nad głową spowodowało, że pospiesznie spojrzała w górę.

Ogromny szczeniak spoglądał ku niej w dół wielkimi, okrągłymi oczyma i wysunąwszy niepewnie łapę starał się ją dotknąć. — Biedne maleństwo! — powiedziała czule Alicja i z największym wysiłkiem próbowała zagwizdać na niego, ale była zanadto przestraszona myślą, że szczeniak może być głodny, a jeśli był głodny naprawdę, to mógł zjeść ją nie zważając na wszystkie czułości.

Nie wiedząc niemal, co robi, podniosła niewielki patyk i wysunęła go ku szczeniakowi; na to szczeniak skoczył w górę odbiwszy się od ziemi wszystkimi łapami równocześnie i zaszczekał radośnie, a później ruszył ku patykowi i udał, że chce go chwycić: na to Alicja odskoczyła za wielki oset, żeby uniknąć stratowania, lecz w chwili, gdy ukazała się po drugiej stronie łodygi, szczeniak znowu skoczył ku patykowi i przeokoziłkował przez głowę z pośpiechu, tak bardzo chciał go porwać; wówczas Alicja, myśląc, że jest to podobne do zabawy w berka z koniem pociągowym, i spodziewając się w każdej chwili stratowania pod jego łapami, znowu wbiegła za oset, a na to szczeniak rozpoczął serię krótkich szarży na patyk, pędząc za każdym razem kilka kroków ku przodowi, odbiegając o wiele dalej do tyłu i szczekając ochryple przez cały czas, aż wreszcie siadł z dala dysząc, wywiesiwszy z pyska język i na pół przymknąwszy swe ogromne oczy. Alicja doszła do wniosku, że jest to doskonała okazja do ucieczki: ruszyła więc natychmiast i biegła tak długo, póki nie przystanęła zupełnie wyczerpana i bez tchu, słysząc z oddali przytłumione naszczekiwanie szczeniaka.

— A przecież był to miły mały szczeniaczek! — powiedziała do siebie odpoczywając



i wachlując się listkiem jaskra, o który się oparła. — Z największą przyjemnością wyuczyłabym, go sztuczek, gdyby... gdyby tylko jego wzrost nadawał się do tego! Och, mili moi! O mało, a zapomniałabym, że znowu muszę urosnąć! Niech się zastanowię... jak można tego dokonać? Wydaje mi się, że należy zjeść albo wypić to czy owo, ale wielkie pytanie brzmi: „Co?”

Wielkie pytanie na pewno brzmiało: „Co?”, więc Alicja rozejrzała się po rosnących naokół kwiatach i źdźbłach trawy, ale nie dostrzegła niczego, przypominającego coś, co należałoby zjeść albo wypić w podobnych okolicznościach. Nie opodal rósł wielki grzyb, mniej więcej tak wysoki jak ona sama, a gdy zajrzawszy pod jego kapelusz obejrzała go z obu stron i z tyłu, doszła do wniosku, że równie dobrze można sprawdzić, co się znajduje na kapeluszu.

Stanęła na palcach, zerknęła ponad krawędzią kapelusza i oczy jej od razu spotkały się z oczyma wielkiej błękitnej gąsienicy, która siedziała ze skrzyżowanymi ramionami na wierzchołku grzyba, paliła spokojnie długie nargile i nie zwracała najmniejszej uwagi na nią ani na nic innego dokoła.

Rozdział V

Rada Gąsienicy

Pan Gąsienica i Alicja spoglądali na siebie przez pewien czas w milczeniu: wreszcie Gąsienica wyjął z ust cybuch nargili i zwrócił się do niej sennym, znużonym głosem:

— A kimże ty jesteś? — powiedział Gąsienica. Nie był to zachęcający początek rozmowy. Alicja odparła z pewnym onieśmieniem:

— Ja... ja prawie nie wiem, proszę pana, kim jestem w tej chwili... oczywiście wiem, kim byłam wstając dzisiaj rano, ale wydaje mi się, że od tego czasu musiałam się przemienić parę razy.

— Co masz na myśli, mówiąc to? — powiedział surowo Gąsienica. — Wyjaśnij, co myślisz o sobie?

— Obawiam się, że nie mogę wyjaśnić tego, co myślę o sobie, proszę pana — powiedziała Alicja — ponieważ nie jestem sobą, jak pan widzi.

— Nie widzę — powiedział Gąsienica.

— Boję się, że nie mogę wyłożyć tego jaśniej — odparła Alicja bardzo uprzejmie — bo, po pierwsze, sama nie mogę tego pojąć, a po drugie, posiadanie tylu różnych rozmiarów w ciągu jednego dnia jest naprawdę bardzo kłopotliwe.

— Nie jest — powiedział Gąsienica.

— Cóż, być może, pan jeszcze tego nie odkrył — powiedziała Alicja — ale gdy przemieni się pan w poczwarkę... odkryje to pan pewnego dnia, wie pan... a później w motyla. Sądzę, że wyda się to panu zdumiewające, nieprawdaż?

— Ani trochę — powiedział Gąsienica.

— Cóż, może pana uczucia bywają inne — powiedziała Alicja — ja wiem tylko tyle, że mnie wydawałoby się to zdumiewające. — Tobie! — powiedział wzgardliwie Gąsienica. — A kimże ty jesteś?

Co doprowadziło ich na powrót do początku rozmowy. Alicję zirytował Gąsienica i jego tak bardzo krótkie uwagi, wyprostowała się więc i powiedziała z wielką godnością: — Myślę, że to pan powinien mi pierwszy powiedzieć, kim pan jest.

— Dlaczego? — powiedział Gąsienica.

To nowe pytanie było także zdumiewające, a że Alicja nie umiała wymyślić żadnej rozsądnej przyczyny, a Gąsienica, jak się wydawało, był w bardzo niemiłym nastroju, odwróciła się i ruszyła przed siebie.

— Wróć! — zawołał za nią Gąsienica. — Chcę powiedzieć coś bardzo doniosłego!

Zabrzmiało to rzeczywiście obiecująco, Alicja zawróciła i zbliżyła się do niego.

— Nie złość się — powiedział Gąsienica.

— Czy to wszystko? — powiedziała Alicja, starając się z wszystkich sił pohamować złość.

— Nie — powiedział Gąsienica.



Alicja pomyślała, że równie dobrze może jeszcze poczekać, bo nie ma nic innego do roboty, a być może, pomimo wszystko, powie on coś godnego usłyszenia. Przez kilka minut Gąsienica wypuszczał kłęby dymu nie odzywając się; w końcu ponownie wyjął z ust cybuch nargili, rozprostował ramiona i powiedział: — Więc sądzisz, że się zmieniłaś, tak?

— Boję się, że tak, proszę pana — powiedziała Alicja. — Nie umiem już pamiętać rzeczy tak, jak umiałam kiedyś... i nie potrafię nawet przez dziesięć minut być tak samo wysoka!

— Jakich rzeczy nie umiesz pamiętać? — zapytał Gąsienica.

— No cóż, próbowałam powiedzieć: Jak skrzętnie mała, dobra pszczołka, ale wszystko wypadło inaczej — odpowiedziała Alicja melancholijnym głosem.

— Powtórz z pamięci: Jesteś stary, mój ojciec, syn Williama rzekł — powiedział Gąsienica.

Alicja złożyła ręce i rozpoczęła:

Jesteś stary, mój ojciec — syn Williama rzekł —
I twe włosy już całkiem zbieleły;

Czy uważasz za słuszne, zważywszy twój wiek,
Stać na głowie bez przerwy dzień cały?

W dniach młodości — rzekł ojciec — martwiło
I o mózg mój wpadałem wciąż w trwogę,



Lecz dziś, kiedy wiem już, że nie mam tam go,
Nieustannie na łbie stawać mogę.

Jesteś stary — rzekł syn — jak się rzekło, i ach,
Niepomrotnie zrobiłeś się gruby,
Ale salto przed chwilą wykonałeś przy drzwiach;
Skąd ta sprawność, tatusiu mój luby?

W dniach młodości — rzekł ojciec gładząc loki
swe — Sprawność członków
mych stała się wielka,

Gdyż tę maść za szylinga wcierałem wciąż w nie...
Chcesz, to sprzedam ci cztery pudełka?

Jesteś stary — rzekł syn — a sędziwość twych szczęk
Kisiel tylko ci jadać pozwala,
Lecz wraz z kośćmi i dziobem zjadłeś dziś całą gęś...
Racz powiedzieć, jak mogłeś to zdziałać?

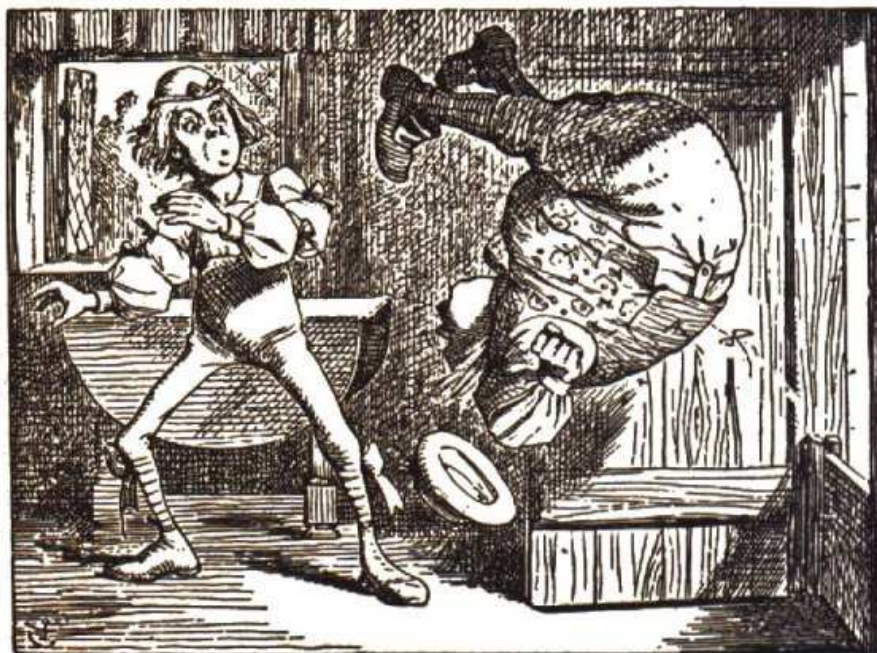
W dniach młodości — rzekł ojciec — co dzień i co
noc,

Wiodłem z żoną dysputy prawnicze,
Co mym szczękom nadało ogromną tak moc,
Ze przetrwała przez całe me życie.

Jesteś stary — rzekł syn. — Głupstwem zdaje się
myśl,

Ze twe oko wciąż sprawnym być może,
Ale oto bez trudu balansujesz do dziś,
Z wielką wprawą, na nosie węgorzem...?

Trzy pytania zadałeś. Mam ich na dziś już dość,
Mój ty mędrku — rzekł ojciec chłopaka.
— Jeszcze jedno pytanie, a ogarnie mnie złość.
Precz stąd, głupcze, bo dam ci kopniaka!



— Zostało to powtórzone nieprawidłowo — powiedział Gąsienica.

— Obawiam się, że niezupełnie prawidłowo — powiedziała potulnie Alicja — niektóre słowa pozmieniały się.

— Od początku do końca błędnie — powiedział z przekonaniem Gąsienica; po słowach jego nastąpiła kilkuminutowa cisza.

Gąsienica odezwał się pierwszy.

— Jaki wzrost najbardziej by ci odpowiadał? — zapytał.

— Och, nie zależy mi specjalnie na żadnym wzroście — odparła pośpiesznie Alicja — tylko nieprzyjemnie jest tak ciągle się zmieniać, wie pan.

— Nie wiem — powiedział Gąsienica.

Alicja nie odpowiedziała: nigdy przedtem w ciągu całego swego życia nie napotkała tylu zaprzeczeń naraz i poczuła, że ogarnia ją gniew.

— Czy jesteś zadowolona będąc taką, jaka jesteś? — powiedział Gąsienica.

— No cóż, chciałabym być trochę większa, gdyby to panu nie sprawiało różnicy — powiedziała Alicja. — Trzy cale to taki nędzny wzrost.

— To bardzo piękny wzrost! — powiedział ze złością Gąsienica, prostując się przy tych słowach (wzrost jego wynosił dokładnie trzy cale).

— Ale ja nie przywykłam do niego! — powiedziała biedna Alicja błagalnym głosem. I pomyślała: „Chciałabym bardzo, żeby te stworzenia nie były takie drażliwe!”

— Przywykniesz po pewnym czasie — powiedział Gąsienica, włożył w usta cybuch nargili i ponownie zabrał się do palenia.

Tym razem Alicja czekała cierpliwie na jego następne odezwanie się. Po minucie lub dwóch Gąsienica wyjął z ust cybuch nargili, ziewnął raz czy dwa razy i otrząsnął się. Później zszedł z grzyba i odpełznął pośród trawy, rzucając tylko w przejściu: — Jedna strona uczyni cię wyższą, druga strona uczyni cię niższą.

„Jedna strona czego? Druga strona czego?” — pomyślała Alicja.

— Grzyba — powiedział Gąsienica, zupełnie jak gdyby usłyszał to wypowiedziane na głos; jeszcze chwilka i zniknął jej z oczu.



Alicja pozostała zamyślona, przyglądając się przez długą chwilę grzybowi i próbując zrozumieć, gdzie mogą się znajdować dwie jego strony; ponieważ był on doskonale okrągły, bardzo trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Mimo to wyciągnęła ramiona i objęła nimi grzyb starając się sięgnąć jak najdalej, a później odłamała po skrawku na krawędzi obu stron kapelusza.

— A teraz, który jest który? — powiedziała do siebie i oderwała ząbkami odrobinę z kawałka trzymanego w prawej ręce, żeby spróbować, jaki to da wynik. W następnej chwili poczuła gwałtowne uderzenie w podbródek: uderzyła nim we własną stopę!

Przestraszyła ją bardzo ta tak niespodziewana odmiana, ale pojęła natychmiast, że nie ma ułamka chwili do stracenia, gdyż kurczyła się coraz szybciej: zabrała się więc do odgryzienia części kawałka trzymanego w drugiej ręce. Brodę miała tak mocno przyciśniętą do stopy, że nie było już niemal miejsca do otwarcia ust, ale dokonała tego wreszcie i zdołała połknąć część kawałka trzymanego w lewej ręce.

* * *

— No, w końcu uwolniłam głowę — powiedziała Alicja uradowanym głosem, w którym pojawiła się jednak po chwili nutka trwogi, gdy odkryła, że nigdzie nie może dostrzec własnych ramion: spoglądając w dół widziała tylko niezwykle długości szyję, która jak łodyga wznosiła się z leżącego daleko w dole morza zielonych liści.

— Cóż to jest ta cała zieloność? — powiedziała Alicja. — I gdzie zniknęły moje ramiona? I, och, moje biedne ręce; jak to się dzieje, że nie mogę was widzieć? — mówiąc to zaczęła nimi wymachiwać, ale nie przyniosło to żadnych skutków, a tylko maleńkie poruszenie pośród odległych zielonych liści.

Ponieważ nie wydawało się, aby istniała jakakolwiek szansa uniesienia rąk do głowy, spróbowała pochylić ku nim głowę i ucieszyło ją, gdy stwierdziła, że szyja bez trudu przegina się w dowolną stronę jak wąż. Właśnie udało jej się pochylić głowę i opuściła ją wdzięcznym zygzakiem, by dać nurka pomiędzy liście, które jak się przekonała, nie były niczym innym,



tylko wierzchołkami drzew, pod którymi błdziła niedawno, gdy przejmujący pisk kazał jej cofnąć się pospiesznie: wielki gołąb uderzył ją w locie w twarz i okładał teraz gwałtownie skrzydłami.

— Wężu! — krzyknął Gołąb.

— Nie jestem wężem! — powiedziała z oburzeniem Alicja. — Zostaw mnie w spokoju!

— Wężu, powtarzam! — powiedział ponownie Gołąb, lecz o wiele cichszym głosem; załkał krótko i dodał: — Próbowałem już wszystkich sposobów, ale nic nie jest w stanie ich zadowolić!

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz — powiedziała Alicja.

— Próbowałem już między korzeniami drzew, próbowałem na brzegach strumieni, próbowałem w żywopłotach — ciągnął Gołąb nie słuchając jej — lecz te węże! Niczym się ich nie da ugłaskać!

Alicja była coraz to bardziej i bardziej zaintrygowana, ale pomyślała, że nie ma celu mówić czegokolwiek, póki Gołąb nie skończy.

— Jak gdyby wysiadywanie jaj nie było dostatecznie trudne — powiedział Gołąb — muszę za dnia i w nocy nieustannie wypatrywać, czy nie zbliżają się węże! Ach, nie zdrzemnąłem się nawet jeszcze od trzech tygodni!

— Bardzo mi przykro, że tak cię niepokojono — powiedziała Alicja, zrozumiawszy wreszcie znaczenie jego słów.

— I właśnie wtedy, kiedy osiadłem na najwyższym drzewie w całym lesie — ciągnął dalej Gołąb wznosząc głos do krzyku — i sądziłem, że w końcu się od nich uwolnię, muszą spełzać ku mnie z nieba! Ach, wężu!

— Mówię ci, że nie jestem wężem! — powiedziała Alicja. — Jestem... jestem...

— No cóż?! Czym jesteś? — powiedział Gołąb. — Widzę, że próbujesz coś zmyślić!

— Jestem... jestem małą dziewczynką — powiedziała Alicja z pewnym powątpiewaniem, przypominawszy sobie ilość przemian, które przeszła tego dnia.

— Rzeczywiście, bardzo prawdopodobna opowiadka! — powiedział Gołąb głosem pełnym najgłębszej wzgardy. — Widywałem wiele małych dziewczynek swego czasu, ale ani

jednej z szyją taką jak ta! Nie, nie! Jesteś wężem i nie ma celu zaprzeczać. Przypuszczam, że za chwilę powiesz mi, że nigdy nie zjadłaś ani jednego jajka!

— Jadłam jajka, przyznaję — powiedziała Alicja, która była bardzo prawdopodobnym dzieckiem — ale małe dziewczynki jadają tyle samo jajek, ile węże, jak wiesz.

— Nie wierzę w to — powiedział Gołąb — ale jeżeli tak, to są także pewnego rodzaju węzami. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Myśl ta była dla Alicji czymś tak zaskakującym, że zamilkła zupełnie na minutę czy dwie, co stworzyło Gołębiowi okazję do dodania: — Poszukujesz jajek, wiem o tym bardzo dobrze. Więc jakie to może mieć dla mnie znaczenie, czy jesteś małą dziewczynką, czy wężem?

— Dla mnie ma to wielkie znaczenie — powiedziała pospiesznie Alicja — ale tak się składa, że nie poszukuję jajek, a gdybym ich szukała, nie chciałabym twoich: nie lubię surowych.

— No, to uciekaj stąd! — powiedział Gołąb posępnie, sadowiąc się znów w gnieździe. Alicja zaczęła przeciskać się w dół pośród drzew, co sprawiało jej wiele kłopotu, gdyż szyja nieustannie wplątywała się w gałęzie, więc od czasu do czasu musiała przystawać, żeby ją wyplątać. Po pewnym czasie przypomniała sobie, że nadal trzyma kawałki grzyba, zaczęła więc z najwyższą ostrożnością nadgryzać, raz jeden kawałek, raz drugi, rosnąc i kurcząc się, póki nie powiodło jej się powrócić do swego zwykłego wzrostu.

Tak wiele czasu minęło od chwili, gdy choćby w przybliżeniu posiadała swe właściwe rozmiary, że w pierwszej chwili wydało jej się to zupełnie zdumiewające, ale po kilku minutach przywykła do tego i, jak zwykle, zaczęła mówić do siebie: — No cóż, połowa mojego planu już wykonana! Jak zagadkowe są te wszystkie przemiany! Nigdy nie jestem pewna, w co się mogę przemienić z minuty na minutę! Bądź co bądź, powróciłam do mojego właściwego wzrostu. Następna sprawa to przedostanie się do tego prześlicznego ogrodu... ale ciekawa jestem, jak można tego dokonać? — Domawiając tych słów wyszła niespodziewanie na polanę, pośrodku której stał mały domek wznoszący się na wysokość mniej więcej czterech stóp. „Ktokolwiek tam mieszka — pomyślała Alicja — w żadnym wypadku nie wypada odwiedzić go posiadając taki wzrost. Ach, nastraszyłabym ich do utraty zmysłów!” Więc ponownie zaczęła nadgryzać kawałek trzymany w prawej ręce i nie odważyła się podejść do domku, zanim nie zmaląła do wysokości dziewięciu cali.

Rozdział VI

Prosiak i pieprz

Przez minutę lub dwie stała spoglądając na domek i zastanawiając się, co powinna zrobić, gdy niespodziewanie wybiegł z lasu odziany w liberię lokaj (doszła do wniosku, że jest lokajem, gdyż był w liberii: w przeciwnym razie, sądząc wyłącznie z twarzy, nazwałaby go rybą) i zastukał mocno w drzwi dłonią zwiniętą w pięść. Zostały one otwarte przez innego lokaja w liberii, mającego okrągłą twarz i wielkie żabie oczy; obaj lokaje, jak dostrzegła Alicja, mieli włosy przypudrowane i opadające puklami po obu stronach twarzy. Bardzo ją zaciekało, co to wszystko może oznaczać, więc skradając się wyszła z lasu, żeby zbliżyć się nieco i podsłuchać.

Ryba-Lokaj zaczął od tego, że wyjął spod pachy list, niemal tak wielki jak on sam, i podał go temu drugiemu, mówiąc uroczyście: — Dla Księżny. Zaproszenie od Królowej do gry w krokieta. — Żaba-Lokaj powtórzył równie uroczyście, lecz zmieniając trochę kolejność słów: — Od Królowej. Zaproszenie dla Księżny do gry w krokieta.

Później skłonili się obaj i pukle ich splątały się.

Alicja wybuchnęła na to takim śmiechem, że musiała uciec na powrót biegiem do lasu w obawie, aby jej nie usłyszeli, a gdy znów rzuciła okiem w ich stronę, Ryba-Lokaj już odszedł, a ów drugi siedział na ziemi w pobliżu drzwi gapiąc się tępo w niebo.

Alicja zbliżyła się bojaźliwie do drzwi i zapukała. — Pukanie jest bezcelowe — powiedział Lokaj — a przyczyny tego są dwie. Po pierwsze, ponieważ jestem po tej samej stronie drzwi, po której ty jesteś; po drugie, ponieważ oni tak hałasują tam wewnątrz, że nikt nie mógłby cię usłyszeć. — I rzeczywiście, wewnątrz rozbrzmiewały najbardziej zdumiewające dźwięki: nieustanne wycie i kichanie, a co pewien czas potężny trzask, jak gdyby rozbijanego na kawałki garnka lub imbryka.

— Proszę mi więc powiedzieć — zapytała Alicja — jak mam tam wejść?

— Pukanie, twoje miałooby cel — ciągnął Lokaj nie próbując nawet wysłuchać jej — gdyby przedzielały nas drzwi. Na przykład, gdybyś ty znajdowała się wewnątrz, mogłabyś zapukać, a ja mógłbym cię wypuścić, rozumiesz? — Podczas całego swego przemówienia spoglądał w niebo i Alicja osądziła, że zachowuje się zdecydowanie po grubiańsku.

— Ale, być może, nie jest on w stanie temu zapobiec — powiedziała do siebie. — Oczy ma przecież niemal na czubku głowy. Bądź co bądź, mógłby jednak odpowiadać na pytania. — Jak mam tam wejść? — powtórzyła na głos.

— Będę siedział tu — zauważył Lokaj — do jutra...

W tejże chwili drzwi domu otworzyły się i wyleciał z nich wirujący płasko wielki półmisek, wycelowany prosto w głowę Lokaja; musnął jego nos i uderzywszy w rosnące tuż za jego plecami drzewo, roztrzaskał się w kawałki.

— ...albo może nawet do pojutrze — ciągnął dalej Lokaj tym samym tonem, jak gdyby



nic nie zaszło.

— Jak mam tam wejść? — powtórzyła ponownie Alicja, tym razem głośniej.

— A czy musisz tam wejść? — powiedział Lokaj. — To jest podstawowe pytanie, jak wiesz.

Było to bez wątpienia podstawowe pytanie, lecz Alicji nie spodobało się przypominanie o tym. — To naprawdę straszne — powiedziała do siebie szeptem — ów sposób, w jaki wszystkie te stworzenia dyskutują. To może doprowadzić do szaleństwa!

Lokaj, jak się wydaje, osądził, że jest to dobra sposobność, by z pewnym wariantem powtórzyć swą poprzednią uwagę: — Będę siedział tu — powiedział — z przerwami, przez całe dni.

— Ale co ja mam zrobić? — powiedziała Alicja.

— Co zechcesz — powiedział Lokaj i zaczął pogwizdywać.

— Och, rozmowa z nim jest zupełnie bezcelowa — powiedziała zrozpaczona Alicja — to zupełny idiota! — Otworzyła drzwi i weszła do domku.

Drzwi wiodły wprost do wielkiej kuchni, całkowicie wypełnionej dymem. Księżna siedziała pośrodku na trójnogim zydłu niańcząc dziecko, pochylona nad blachą kuchenną. Kucharka mieszała w wielkim kotle, całkowicie, jak się zdawało, wypełnionym zupą.

— Z pewnością zupa ta zawiera zbyt wiele pieprzu! — powiedziała do siebie Alicja, o ile w ogóle była zdolna do powiedzenia czegokolwiek, kichając bez przerwy.

Z pewnością powietrze także zawierało go zbyt wiele. Nawet Księżna kichała od czasu do czasu, a jeśli chodzi o dziecko, kichało ono lub wyło bez chwili przerwy. Tylko dwa stworzenia

w tej kuchni nie kichały: Kucharka i wielki roześmiany od ucha do ucha kot, który leżał na zapiecku.

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć — przemówiła Alicja nieco bojaźliwie, gdyż nie była zupełnie pewna, czy nie okaże złych manier, jeśli odezwie się pierwsza — dlaczego kot pani tak się uśmiecha?

— To Kot z Cheshire — powiedziała Księżna — dlatego. Ty prosiaku!

Wypowiedziała ostatnie słowo z tak niespodziewaną gwałtownością, że Alicja aż odskoczyła, ale już po chwili zrozumiała, że było to skierowane nie do niej, lecz do dziecka, więc zebrła całą odwagę i znów podjęła:

— Nie wiedziałam, że Koty z Cheshire zawsze się uśmiechają, szczerze mówiąc, nie wiedziałam, że koty w ogóle mogą się uśmiechać. — Wszystkie mogą — powiedziała Księż-



na — a prawie wszystkie to robią.

— Nie wiem o żadnym, który to robi — powiedziała Alicja jak najuprzejmiej, odczuwając zadowolenie z tego, że udało się jej rozpocząć konwersację.

— Niewiele wiesz — powiedziała Księżna — to pewne.

Alicji wcale nie spodobał się ton, którym została wypowiedziana ta uwaga, i pomyślała, że równie dobrze można by wprowadzić inny przedmiot rozmowy. Gdy zaczęła rozmyślać nad tym, Kucharka zdjęła z ognia kocioł pełen zupy i natychmiast wzięła się do dzieła ciskając w Księżną i dziecko wszystkim, co leżało w jej zasięgu — na pierwszy ogień poszły fajerki, za nimi runął deszcz patelni, półmisek i rondli. Księżna nie zwracała na nie uwagi nawet wówczas, gdy trafiały w nią, a dziecko wyło tak, że było absolutnie niemożliwe stwierdzić, czy uderzenia ich sprawiały mu ból, czy nie.

— Och, proszę zastanowić się, co pani robi! — zawołała Alicja podskakując i kuląc się w przerażeniu. — Och, urwie mu jego drogocenny nosek! — zawołała, gdy niezwykle wielka patelnia przeleciała tuż obok dziecka i niemal zabrała ów nosek z sobą.

— Gdyby każdy wtrącał się tylko do swoich spraw — warknęła ochryple Księżna — świat kręciłby się o wiele szybciej, niż się kręci.

— Co wcale nie byłoby korzystne — powiedziała Alicja, bardzo zadowolona z uzyskania sposobności, aby popisać się swą wiedzą. — Proszę tylko pomyśleć, ile dodatkowego zachodu byłoby z dniem i nocą! Widzi pani, ziemia wiruje wokół swojej osi raz na dwadzieścia cztery godziny, czyby się tego chciało, czy nie chciało...

— Niech ciało, powiadasz? — powiedziała Księżna. — Dobrze, niech ciało jej odrąbią od głowy! Utnij jej głowę!

Alicja zerknęła niespokojnie na Kucharkę, żeby sprawdzić, czy chce się ona zastosować do tego polecenia; ale Kucharka gorliwie mieszała zupę i zdawała się nie słuchać, wobec tego Alicja znowu zaczęła mówić: — Dwadzieścia cztery godziny, jak mi się wydaje, a może dwanaście? Ja...

— Och, przestań mnie nudzić! — powiedziała Księżna. — Nigdy nie umiałam dawać sobie rady z cyframi! — Po tym oświadczeniu ponownie zabrała się do kołysania dziecka, śpiewając przy tym coś, co przypominało kołysankę, i wstrząsając nim gwałtownie przy zakończeniu każdego wiersza:

Do synka swego mów surowo
I bij go, jeśli kicha;
Chce tylko dręczyć, daję słowo,
Więc niech nie budzi licha!

CHÓR

(do którego dołączyli Kucharka i dziecko)

Au! au! au!

Księżna odśpiewała drugą zwrotkę potrząsając dzieckiem tak gwałtownie w górę i w dół, a biedne maleństwo tak wyło przy tym, że Alicja z trudem dosłyszała słowa:

Do synka mówię wciąż surowo
I biję, jeśli kicha;
Niechaj się pieprzem, wciąż na nowo,
Po uszka swe zapycha!

CHÓR

Au! au! au!

— Łap! Możesz je sobie pohuścić, jeżeli ci to sprawi przyjemność! — powiedziała Księżna do Alicji i mówiąc to cisnęła dzieckiem w jej kierunku. — Muszę odejść, żeby przygotować się do gry w krokieta z Królową — i wyszła pospiesznie z pokoju. Kucharka rzuciła za odchodzącą patelnię, która chybiła o mały włos.

Alicja chwyciła dziecko z pewną trudnością, gdyż było ono dziwnokształtnym małym stworzeniem o rękach i nogach rozstawionych na wszystkie strony. „Zupełnie jak rozgwiazda!” — pomyślała Alicja. Kiedy pochwyciła biedne maleństwo, sapło ono jak maszyna parowa, wijąc się i wyprężając raz po raz, tak że przez pierwszych kilka minut Alicji z trudem udawało się utrzymać je w rękach.

Gdy tylko pojęła, w jaki sposób należy je piastować (polegało to na związaniu go w rodzaj supełka, a później na przytrzymywaniu jednoczesnym prawego ucha i lewej stopy, żeby się nie mogło rozsypać), wyniosła je na świeże powietrze. „Jeżeli nie odejdę stąd z tym dzieckiem — pomyślała Alicja — na pewno zabiją je, najdalej za dzień lub dwa”. — Czy pozostawienie go tu nie równałoby się po prostu morderstwu? — Te ostatnie słowa wypowiedziała głośno, a maleństwo chrząknęło w odpowiedzi. (Przestało już kichać w tej chwili). — Przestań chrząkać — powiedziała Alicja — jest to absolutnie niewłaściwy sposób wyrażania się.

Dziecko ponownie chrząknęło i Alicja z niepokojem zajrzała mu w twarz, żeby sprawdzić, co się stało. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że miało ono bardzo zadarty nosek, o wiele bardziej przypominający ryj niż prawdziwy nos; także i oczy jego były o wiele mniejsze niż oczy dziecka. W sumie, wygląd tego stworzenia wcale nie spodobał się Alicji. „Ale może ono tylko łkało w ten sposób?” — pomyślała i znowu zajrzała mu w oczy, żeby sprawdzić, czy znajdzie w nich łzy.

Nie, nie było tam żadnych łez. — Jeżeli chcesz przemienić się w prosiaka, kochaneczku — powiedziała Alicja z powagą — nie życzę sobie utrzymywać z tobą żadnych stosunków. Więc uważaj od tej chwili! — Biedne małe stworzenie załkało znowu (albo chrząknęło, gdyż nie istniał żaden sposób, w jaki dałoby się stwierdzić, co zrobiło) i przez pewien czas posuwali się dalej w milczeniu. Gdy Alicja zaczęła rozmyślać: „No, i co mam zrobić z tym stworzeniem po



przyniesieniu go do domu?” — chrząknęło ono niespodzianie i tak gwałtownie, że pochyliła się nad nim zatrwożona. Tym razem nie mogło już być żadnej omyłki: był to ni mniej, ni więcej tylko prosiak, więc pojęła, że niesienie go gdziekolwiek byłoby niedorzecznością.

Upuściła małe stworzonko i z wielką ulgą przyglądała się, gdy podreptało ono natychmiast spokojnie w kierunku lasu.

— Gdyby wyrosło — powiedziała do siebie — byłoby okropnie brzydkim dzieckiem, ale wydaje mi się, że jako prosiak jest raczej ładne. — I zaczęła rozmyślać nad tymi ze znanych jej dzieci, które bez trudu mogłyby uchodzić za prosiaki. I właśnie zaczęła mówić do siebie: — Gdyby tylko człowiek znał sposób, w jaki dałoby się je przemienić... — gdy zaskoczył ją nieco widok Kota z Cheshire siedzącego na gałęzi o kilka jardów przed nią.

Kot uśmiechnął się tylko widząc Alicję. Pomyślała, że wygląda bardzo dobroduszenie: mimo to miał bardzo długie pazury i wielką ilość zębów, poczuła więc, że należy go traktować z szacunkiem.

— Kiciu z Cheshire — zaczęła bojaźliwie, nie wiedząc, czy spodoba mu się to imię, ale uśmiechnął się tylko nieco szerzej. „Jazda, do tej pory podoba mu się to” — pomyślała Alicja i ciągnęła dalej: — Czy mógłbyś mi łaskawie powiedzieć, w którą stronę mam pójść stąd?

— Zależy to w dużym stopniu od tego, w którą stronę zechcesz pójść — powiedział Kot.

— Nie zależy mi na tym, w którą... — powiedziała Alicja.



— Więc nie ma znaczenia, w którą stronę pójdziesz — powiedział Kot.

— ... jeżeli tylko dojdę gdziekolwiek — dodała Alicja, chcąc wyjaśnić sprawę.

— Och, z pewnością dokonasz tego — powiedział Kot — jeżeli będziesz szła dostatecznie długo.

Alicja poczuła, że nie da się temu zaprzeczyć, spróbowała więc postawić to pytanie w inny sposób. — Jacy ludzie mieszkają naokół tego miejsca? — Tam — powiedział Kot wykonując kolisty ruch prawą łapą — mieszka Kapelusznik; a tam — ruch drugą łapą — mieszka Marcowy Zając. Złóż wizytę jednemu lub drugiemu, jeśli zechcesz: obaj są obłąkani.

— Ale ja nie chcę przebywać pośród obłąkanych — zauważyła Alicja.

— Och, temu nie zaradzisz — powiedział Kot — wszyscy tu jesteście obłąkani. Ja jestem obłąkany. Ty jesteś obłąkana.

— Skąd wiesz, że jestem obłąkana? — powiedziała Alicja.

— Na pewno jesteś — powiedział Kot — inaczej nie znalazłabyś się tutaj.

Alicja nie mogła zgodzić się, aby stanowiło to jakikolwiek dowód; mimo to ciągnęła dalej: — A skąd wiesz, że ty sam jesteś obłąkany?

— Po pierwsze — powiedział Kot — pies nie jest obłąkany. Przyznajesz to?

— Tak mi się wydaje — powiedziała Alicja.

— Dobrze więc — ciągnął Kot — wiesz, że warczy, gdy jest zagniewany i wymachuje ogonem, gdy jest zadowolony. Natomiast ja warczę, gdy jestem zadowolony, a wymachuję ogonem, gdy jestem zagniewany. Wobec tego, jestem obłąkany.

— Ja nie nazywam tego warczeniem, ale mruczeniem — powiedziała Alicja.

— Nazywaj to, jak zechcesz — powiedział Kot. — Czy będziesz grała dzisiaj z Królową w krokiet?

— Bardzo bym chciała — powiedziała Alicja — ale jak dotąd, nie zaproszono mnie.

— Zobaczysz mnie tam — powiedział Kot i zniknął.

Alicję nie bardzo to zdziwiło, tak była już przyzwyczajona do nadzwyczajnych wydarzeń. Wciąż jeszcze przyglądała się gałęzi, gdy niespodziewanie Kot ukazał się po raz wtóry.

— A tak, przy okazji, co się stało z tym dzieckiem? — powiedział. — Mało brakowało, a byłbym zapomniał zapytać.

— Przemieniło się w prosiaka — odpowiedziała Alicja tak spokojnie, jak gdyby Kot powrócił w zupełnie naturalny sposób.

— Tak przypuszczałem — powiedział Kot i zniknął ponownie. Alicja nie odchodziła jesz-



cze przez krótki czas, oczekując ponownego pojawienia się Kota, ale nie ukazał się już, więc po paru minutach oczekiwania ruszyła w stronę, w której miał mieszkać Marcowy Zając. — Widywałam już kapeluszników — powiedziała do siebie. — Marcowy Zając będzie o wiele ciekawszy, a poza tym ponieważ jest teraz maj, więc nie będzie aż tak bardzo obłąkany — a przynajmniej nie tak obłąkany jak w marcu. — Mówiąc to zerknęła w górę i ponownie zobaczyła Kota, siedzącego na gałęzi drzewa.

— Powiedziałaś: „w prosiaka” czy „w pędraka”? — powiedział Kot.

— Powiedziałam: „w prosiaka” — odparła Alicja — i bardzo bym sobie życzyła, żebyś nie pojawiał się i nie znikał tak niespodziewanie: można od tego dostać zawrotu głowy!

— W porządku — powiedział Kot i tym razem zniknął z wolna, rozpoczynając od koniuszka ogona i skończywszy na uśmiechu, który trwał jeszcze przez pewien czas, gdy reszta już zniknęła.

„No! Często widywałam kota bez uśmiechu — pomyślała Alicja — ale uśmiech bez kota! Jest to najbardziej zagadkowa rzecz, jaką widziałam w całym moim życiu!”

Przeszła jeszcze kawałek drogi i dostrzegła dom Marcowego Zająca. Pomyślała, że musi to być właśnie ten dom, gdyż kominy przypominały kształtem uszy, a dach posyty był strzechą z futra. Dom był tak wielki, że nie chciała podejść bliżej, zanim nie odgryzie kawałka grzyba, który trzymała w lewej ręce, i nie podrośnie do wysokości mniej więcej dwóch stóp; lecz nawet wówczas podeszła do domu z pewną bojaźnią, mówiąc do siebie: — Ale przypuśćmy, że mimo wszystko okaże się on furiatem! Niemal pragnęłabym odwiedzić nie jego, a Kapelusznika!

Rozdział VII

Obłąkana herbatka

Pod drzewem przed domem stał zastawiony stół, a Marcowy Zając i Kapelusznik popijali przy nim herbatę; pomiędzy nimi siedział głęboko uśpiony Suseł, którym obaj pozostali posługiwali się jak poduszką, opierając na nim łokcie i rozmawiając ponad jego głową. „Bardzo niewygodne dla Susła — pomyślała Alicja — ale mam wrażenie, że śpiąc tak głęboko nie odczuwa tego”.

Choć stół był wielki, siedzieli stłoczeni we trzech w jednym jego końcu. — Brak miejsca! Brak miejsca! — zakrzyknęli na widok nadchodzącej Alicji. — Jest bardzo wiele miejsca — powiedziała oburzona Alicja i opadła w głęboki fotel przy końcu stołu.

— Wypij trochę wina — powiedział Marcowy Zając chcąc ją ośmielić.

Alicja przesunęła oczyma po stole, ale nie dostrzegła na nim niczego prócz herbaty. — Nie widzę wcale wina — zauważyła.

— Nie ma go tu — powiedział Marcowy Zając.

— W takim razie nie zachowałeś się uprzejmie, proponując mi je — powiedziała gniewnie Alicja.

— A ty zachowałeś się nieuprzejmie siadając tu nie zaproszona — powiedział Marcowy Zając.

— Nie wiedziałam, że to wasz stół — powiedziała Alicja — jest zastawiony na o wiele więcej osób niż trzy.

— Twoje włosy aż proszą się o przycięcie — powiedział Kapelusznik. Od pewnego czasu wpatrywał się w Alicję z ogromnym zainteresowaniem i były to pierwsze słowa, które wypowiedział. — Powinieneś się nauczyć, że nie należy robić osobistych wycieczek — powiedziała Alicja z przyganą w głosie. — To bardzo ordynarne.

Usłyszawszy to, Kapelusznik szeroko otworzył oczy, ale powiedział tylko: — Dlaczego kruk jest podobny do biureczka?

„No, nareszcie będzie jakaś rozrywka! — pomyślała Alicja. — Jak to dobrze, że zaczęli bawić się w zagadki”. — Wydaje mi się, że potrafię na to odpowiedzieć — dodała na głos.

— Czy chcesz powiedzieć, że myślisz, że będziesz umiała znaleźć na to odpowiedź? — powiedział Marcowy Zając.

— Oczywiście — powiedziała Alicja.

— Więc powinnaś powiedzieć to, co myślisz — ciągnął Marcowy Zając.

— Powiem to, co myślę — odparła pospiesznie Alicja — to znaczy... to znaczy, myślę to, co powiem... a to jedno i to samo, jak wiesz.

— Ani trochę to samo! — powiedział Kapelusznik. — Jak to? Mogłabyś więc równie dobrze powiedzieć, że: „zobaczę to, co zjem”, to to samo, co: „zjem to, co zobaczę”!

— Mogłabyś równie dobrze powiedzieć — dodał Marcowy Zając — że: „lubię to, co



dostają”, to to samo, co: „dostają to, co lubię”!

— Mogłabyś równie dobrze powiedzieć — dodał Suseł, który zdawał się mówić przez sen — że: „oddycham, gdy śpię”, to to samo, co: „śpię, gdy oddycham”!

— U ciebie to jest to samo — powiedział Kapelusznik i na tym rozmowa urwała się; zebrani siedzieli przez kilka minut w milczeniu, podczas gdy Alicja robiła w myśli przegląd wszystkiego, co wie o krukach i biurkach, a nie było tego zbyt wiele.

Kapelusznik pierwszy przerwał milczenie: — Który dzień miesiąca mamy dzisiaj? — powiedział zwracając się ku Alicji. Wyjął z kieszeni zegarek i spoglądając nań z niepokojem, zaczął potrząsać nim i przykładać go do ucha.

— Czwarty — powiedziała Alicja po krótkim namyśle.

— Dwa dni odchylenia! — westchnął Kapelusznik. — Ostrzegałem cię, że masło mu nie posłuży! — dodał spoglądając z gniewem na Marcowego Zająca.

— Było to najlepsze masło — odparł pojednawczo Marcowy Zając.

— Tak, ale razem z nim musiały dostać się do środka jakieś okruszyny — utyskiwał dalej Kapelusznik — nie powinienes był wsuwać go tam nożem, który służył do krojenia chleba.

Marcowy Zając wziął zegarek i przyjrzał mu się posępnie. Później zanurzył go w swej filiżance z herbatą i przyjrzał mu się ponownie; ale nie wymyślił niczego lepszego niż to, co zauważył na początku. — Było to najlepsze masło, jak wiesz.

Zaciekawiona Alicja zerknęła ponad jego ramieniem. — Jaki śmieszny zegarek! — powiedziała. — Pokazuje dni miesiąca, ale nie pokazuje, która jest godzina!

— Dlaczego miałyby to robić? — mruknął Kapelusznik. — Czy twój zegarek pokazuje ci rok, który właśnie mamy?

— Jasne, że nie — odpowiedziała Alicja z całą gotowością — ale nie robi tego, bo przecież tak strasznie długo stałby na jednym roku.

— Tak właśnie jest w przypadku mojego zegarka — powiedział Kapelusznik.

Alicję niezwykle to zaciekawiło. Wydawało się jej, że w tej uwadze Kapelusznika nie ma żadnego sensu, a jednak wypowiedział ją niewątpliwie po angielsku. — Niecałkowicie to

pojmuję — powiedziała tak grzecznie, jak tylko umiała.

— Suseł znowu śpi — powiedział Kapelusznik i kapnął mu na nos gorącą herbatą.

Suseł niecierpliwie potrząsnął głową i nie otwierając oczu powiedział: — Oczywiście, oczywiście, to samo chciałem w tej chwili powiedzieć.

— Czy rozwiązałaś już zagadkę? — zapytał Kapelusznik, zwracając się ponownie ku Alicji.

— Nie, poddaję się — odparła Alicja. — Jak brzmi odpowiedź?

— Nie mam o niej żadnego wyobrażenia — powiedział Kapelusznik.

— Ani ja — powiedział Marcowy Zając.

Alicja westchnęła ze zniechęceniem. — Myślę, że moglibyście lepiej spędzać czas — powiedziała — a nie marnotrawić go, stawiając zagadki, na które nie ma odpowiedzi.

— Gdybyś знаła Czas tak dobrze, jak ja go znam — powiedział Kapelusznik — nie mówiłabyś o marnotrawieniu go, ale Pana.

— Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć — powiedziała Alicja.

— Oczywiście, że nie rozumiesz! — powiedział Kapelusznik, pogardliwie zadzierając głowę. — Przypuszczam, że nigdy nawet nie rozmawiałaś z Czasem!

— Być może, nie — odpowiedziała ostrożnie Alicja — ale wiem, że muszę wybijać czas podczas muzyki.

— Ach, to wyjaśnia całą sprawę — powiedział Kapelusznik. — Nienawidzi on bicia. Ale gdybyś utrzymywała z nim przyjazne stosunki, uczyniłby z zegarem niemal wszystko, czego byś zapragnęła. Na przykład, przyjmij, że jest dziewiąta rano, czas rozpoczęcia lekcji: wystarczy, że szepniesz tylko Czasowi, czego sobie życzysz, a oto godziny przelatują w mgnieniu oka! Pół do drugiej, czas na obiad!

(— Chciałbym, żeby było pół do drugiej — powiedział do siebie szeptem Marcowy Zając).

— Na pewno byłoby to cudowne — powiedziała zamyślona Alicja — ale wówczas... nie miałabym, jeszcze apetytu na obiad, rozumiesz?

— Być może, nie od razu — powiedział Kapelusznik — ale mogłabyś zatrzymać zegar na pół do drugiej przez tak długi czas, jak byś chciała.

— Czy ty tak to sobie urządziłeś? — zapytała Alicja.

Kapelusznik potrząsnął posępnie głową. — Ja nie! — odparł. — Pokłóciliśmy się zeszłego marca... tuż przedtem, nim on oszalał, wiesz... — (wskazując Marcowego Zająca łyżeczką od herbaty) — ...stało się to podczas wielkiego koncertu wydanego przez Królową Kier, gdy miałem zaśpiewać:

Trzepotanie nietoperza:
Ciekawe, do czego zmierzał

Znasz może tę piosenkę? — Słyszałam coś podobnego Alicja.

— Dalej, jak wiesz, brzmi to — ciągnął Kapelusznik — tak:

Mknie po niebie ponad światem
Jak taca, niosąc herbatę. Trzepotanie...

Na to Suseł wzdrygnął się i zaczął śpiewać przez sen: — Trzepotanie, trzepotanie... — i ciągnął to tak długo, że musieli uszczypnąć go, żeby przestał.

— Otóż zaledwie odśpiewałem początek pierwszej zwrotki — powiedział Kapelusznik — gdy Królowa wrzasnęła: „On marnotrawi czas! Uciąć mu głowę!”

— Cóż za straszliwe okrucieństwo! — wykrzyknęła Alicja.

— I od tej pory — dokończył grobowym głosem Kapelusznik — nie chce on zrobić niczego, o co go proszę! Wciąż jest szósta po południu.



Alicji rozjaśniło to nagle w głowie. — I to jest powód, dla którego stoi tu zastawa do herbaty? — zapytała.

— Tak jest — powiedział Kapelusznik z westchnieniem — zawsze jest czas picia herbaty, a nigdy nie ma czasu, żeby zmyć naczynia.

— I dlatego przesuwacie się, prawda? — powiedziała Alicja.

— Oczywiście — odparł Kapelusznik — zaraz po zabrudzeniu filiżanek.

— Ale co następuje, gdy powracacie do początku stołu? — zaryzykowała pytanie Alicja.

— Należy zmienić przedmiot rozmowy, jak mi się wydaje — powiedział Marcowy Zając ziewając. — Znużyło mnie to już. Głosuję za tym, żeby ta młoda dama opowiedziała nam bajkę.

— Obawiam się, że nie znam żadnej — powiedziała Alicja, raczej zatrwożona tą propozycją.

— Więc niech opowiada Suseł! — zawołali równocześnie. — Zbudź się, Suśle! — I zaczęli szczypać go z dwóch stron naraz.

Suseł z wolna otworzył oczy. — Nie spałem — powiedział omdłym, ochrypłym głosem. — Słyszałem, chłopcy, każde słowo, które wypowiedzieliście.

— Opowiedz nam bajkę! — powiedział Marcowy Zając.

— Tak, opowiedz, proszę! — powiedziała błagalnie Alicja.

— I pospiesz się — dorzucił Kapelusznik — inaczej znowu zaśniesz, zanim dokończysz.

— Były sobie raz trzy siostrzyczki — rozpoczął Suseł z wielkim pośpiechem — a na imię miały Elsie, Lacie i Tillie i mieszkały na dnie studni...

— A co jadły? — powiedziała Alicja, którą zawsze ciekawiły zagadnienia związane z jezeniem i piciem.

— Jadły melasę — powiedział Suseł po trwającym minutę lub dwie namyśle.

— Wiesz przecież, że nie mogły — zauważyła łagodnie Alicja. — Rozchorowałyby się później.

— I rozchorowały się — powiedział Suseł — bardzo się rozchorowały.

Alicja z pewnym wysiłkiem spróbowała wyobrazić sobie, jak wyglądałaby ta niezwykła egzystencja, lecz tak ją to zaniepokoiło, że dodała: — Ale dlaczego zamieszkały na dnie studni?

— Dolej sobie trochę więcej herbaty — powiedział życzliwie Marcowy Zając do Alicji.

— Nie nalałam sobie jeszcze nic — odpowiedziała Alicja z urazą w głosie — więc nie mogę dolać sobie trochę więcej.

— Chciałaś powiedzieć, że nie mogłabyś dolać mniej — powiedział Kapelusznik — bardzo łatwo nalać sobie więcej niż nic.

— Nikt tu nie prosił o twoją opinię — powiedziała Alicja.

— I kto teraz robi osobiste wycieczki? — zapytał triumfalnie Kapelusznik.

Alicja nie potrafiła odpowiedzieć na to: wzięła więc nieco herbaty i chleba z masłem, a później zwróciła się ku Susłowi i zadała po raz drugi to samo pytanie: — Dlaczego zamieszkały na dnie studni?

Rozmyślanie nad tym zajęło Susłowi ponownie minutę lub dwie, później powiedział: — Była to studnia z melasą.

— Nie ma niczego takiego! — zaczęła Alicja ze złością, ale Kapelusznik i Marcowy Zając psyknęli:

— Ciii! Ciii! — a Suseł zauważył kwaśno: — Jeżeli jeszcze raz mi przerwiesz sama skończysz tę bajkę.

— Nie, mów dalej, bardzo proszę! — powiedziała ze skruchą Alicja. — Nie będę ci już przerywała. Przypuszczam, że, być może, jest jedna taka studnia.

— Jedna, rzeczywiście! — powiedział dotknięty Suseł. Mimo to zgodził się mówić w dalszym ciągu. — I tak, te trzy małe siostrzyczki... powiem wam, co zmalowały: uczyły się wyciągać, wiecie...

— Co zmalowały? Co wyciągały? — powiedziała Alicja, zupełnie zapomniawszy o swojej obietnicy.

— Melasę — powiedział Suseł nie zastanawiając się tym razem ani przez chwilę.

— Potrzebuję czystej filiżanki — przerwał Kapelusznik — niech wszyscy przesuną się o jedno miejsce.

Przesunął się przy tych słowach, a Suseł zrobił to samo w ślad za nim: Marcowy Zając zajął miejsce Susła, a Alicja, raczej niechętnie, zajęła miejsce Marcowego Zająca. Zmiana ta przyniosła korzyść tylko Kapelusznikowi, natomiast Alicja znalazła się w o wiele gorszym położeniu niż poprzednio, gdyż Marcowy Zając wylał przed chwilą mleko z dzbanka na swój talerz.

Nie chcąc ponownie obrazić Susła, Alicja rozpoczęła bardzo oględnie: — Skąd wyciągały tę melasę?

— Można wyciągać wodę ze studni pełnej wody — powiedział Kapelusznik — więc wolno chyba przypuszczać, że można wyciągać melasę ze studni pełnej melasy... co, głuptasie?

— Ale one były na dole w studni — powiedziała Alicja do Susła, postanowiwszy, że ta ostatnia uwaga nie dotarła do jej uszu.

— Oczywiście, że były — powiedział Suseł — w studni na dole, dudni w stodole.

Odpowiedź ta tak zmieszała biedną Alicję, że nie przerywając pozwoliła Susłowi mówić przez pewien czas.

— Co zmalowały? — ciągnął Suseł ziewając i przecierając oczy, gdyż stawał się coraz bardziej senny. — Malowały najrozmaitsze rzeczy... wszystko, co się zaczyna na M...

— Dlaczego na M? — powiedziała Alicja.

— Dlaczego nie? — powiedział Marcowy Zając. Alicja umilkła.



Suseł przymknął powieki i zadrzemał, lecz po uszczypnięciu przez Kapelusznika zbudził się z cichym okrzykiem i ciągnął: — ...co się zaczyna na M, mysie-pułapki, miesiąc, mądrość i mnóstwo... wiesz, że mówisz czasem: „mam mnóstwo czegoś” ... ale czy widziałaś kiedykolwiek coś takiego jak namalowane mnóstwo?

— Szczerze mówiąc, jeżeli mnie już pytasz o to — powiedziała mocno zmieszana Alicja — to nie myślę...

— Więc nie powinnaś się odzywać — powiedział Kapelusznik.

Tak ordynarnego zachowania Alicja nie mogła już dłużej znosić; pełna najwyższego obrzydzenia wstała i odeszła. Suseł usnął natychmiast, a żaden z dwu pozostałych nie zainteresował się w najmniejszym nawet stopniu jej odejściem, choć kilkakrotnie obejrzała się mając cichą nadzieję, że przywołają ją na powrót. Kiedy spojrzała na nich po raz ostatni, próbowali właśnie włożyć Susła do imbryka.

— Bądź co bądź, nigdy więcej już tam nie pójde! — powiedziała Alicja torując sobie drogę przez las. — Była to najbardziej bezsensowna herbatka, w jakiej brałam udział!

Domawiając tych słów, zobaczyła w jednym z drzew drzwi prowadzące do wewnątrz. „To bardzo zagadkowe! — pomyślała. — Ale wszystko jest dziś zagadkowe. Jestem przekonana, że natychmiast mogę tam wejść”. I weszła.

Raz jeszcze znalazła się w podłużnej sali, tuż obok szklanego stolika. — Tym razem lepiej sobie dam radę — powiedziała i zaczęła od zabrania złotego kluczyka i otwarcia drzwiczek prowadzących do ogrodu. Później zabrała się do dzieła, nadgryzając grzyb po odrobinie (pozostał jej jeszcze kawałeczek, ukryty w kieszeni), póki nie skurczyła się do wysokości mniej więcej jednej stopy; następnie weszła w maleńkie przejście; i wówczas znalazła się wreszcie w prześlicznym ogrodzie, pośród jasno ukwieconych klombów i chłodnych wodotrysków.

Rozdział VIII

Królewskie tereny do gry w krokiet

Wielki krzak róży stał u wejścia do ogrodu: pokryty był białymi kwiatami, lecz trzech krzątających się dokoła ogrodników przemalowywało je pracowicie na czerwono. Alicji wydało się to niezwykle zagadkowe, więc zbliżyła się i właśnie wtedy dobiegł do niej głos jednego z ogrodników, który powiedział: — Uważaj no, Piątko! Przestań ochlapywać mnie tą farbą!



— To nie moja wina — powiedział kwaśno Piątka. — Siódemka trącił mnie w łokieć.

Słyszając to Siódemka uniósł głowę i powiedział: — Oczywiście, Piątko! Zawsze zwalaj winę na innego!

— Przestań gadać! — powiedział Piątka. — Sam słyszałem wczoraj, jak Królowa powiedziała, że zasługujesz na to, żeby ci uciąć głowę.

— Za co? — powiedział ten, który przemówił pierwszy.

— Nie twoja rzecz! — powiedział Siódemka.

— Tak, to jego rzecz! — powiedział Piątka. — I powiem mu... za to, że zamiast przynieść kucharce cebule, przyniósł jej cebulki tulipanów.

Siódemka cisnął pędzel i rozpoczął: — No, ze wszystkich niesprawiedliwych zarzutów, które... — gdy oczy jego spoczęły na przyglądającej się im Alicji, urwał nagle; pozostali także obejrzel się i wszyscy trzej złożyli jej głęboki ukłon.

— Czy moglibyście, proszę, powiedzieć mi — powiedziała Alicja — czemu malujecie te róże?

Piątka i Siódemka nie odezwali się, ale zwrócili oczy ku Dwójce. Dwójka zaczął półgłosem: — Szczerze mówiąc, Panienko, ta róża powinna być czerwona, ale omyłkowo zasadziliśmy białą i gdyby Królowa to odkryła, ucięto by nam wszystkim głowy, rozumie Panienka? Więc, jak Panienka widzi, robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby przed jej nadejściem... — W tej samej chwili Piątka, spoglądający nieustannie z niepokojem w głąb ogrodu, zawołał: — Królowa! Królowa! — i wszyscy trzej ogrodnicy natychmiast padli plackiem na ziemię.

Usłyszawszy odgłos stąpania wielu stóp Alicja obejrzała się z zaciekawieniem, żeby zobaczyć Królową.

Orszak otwierało dziesięciu żołnierzy uzbrojonych w pałki o trzech główkach na kształt trefli:

budowę przypominali trzech ogrodników, byli podłużni i zupełnie płascy, a ręce i nogi mieli po rogach: za nimi postępowało dziesięciu dworzan przyozdobionych od stóp do głów prostokątnymi diamentami w kształcie kara; szli oni parami podobnie jak żołnierze. Za nimi zbliżyły się dzieci królewskie: było ich dziesięcioro, nadbiegły wesoło parami, trzymając się za ręce, a wszystkie przyozdobione były serduszkami. Za nimi postępowali goście, których większość stanowili Królowie i Królowe; pomiędzy nimi Alicja rozpoznała Białego Królika: przemawiał on pospiesznie i z pewnym zdenerwowaniem, odpowiadając uśmiechami na wszystko, co ktokolwiek powiedział. Minął miejsce, na którym stała, nie zwróciwszy na nią najmniejszej uwagi. Z kolei nadszedł Walet Kierowy, niosący koronę królewską na szkarłatnej aksamitnej poduszce, a wreszcie, zamykając ów wielki pochód, zbliżyli się KRÓL I KRÓLOWA KIER.

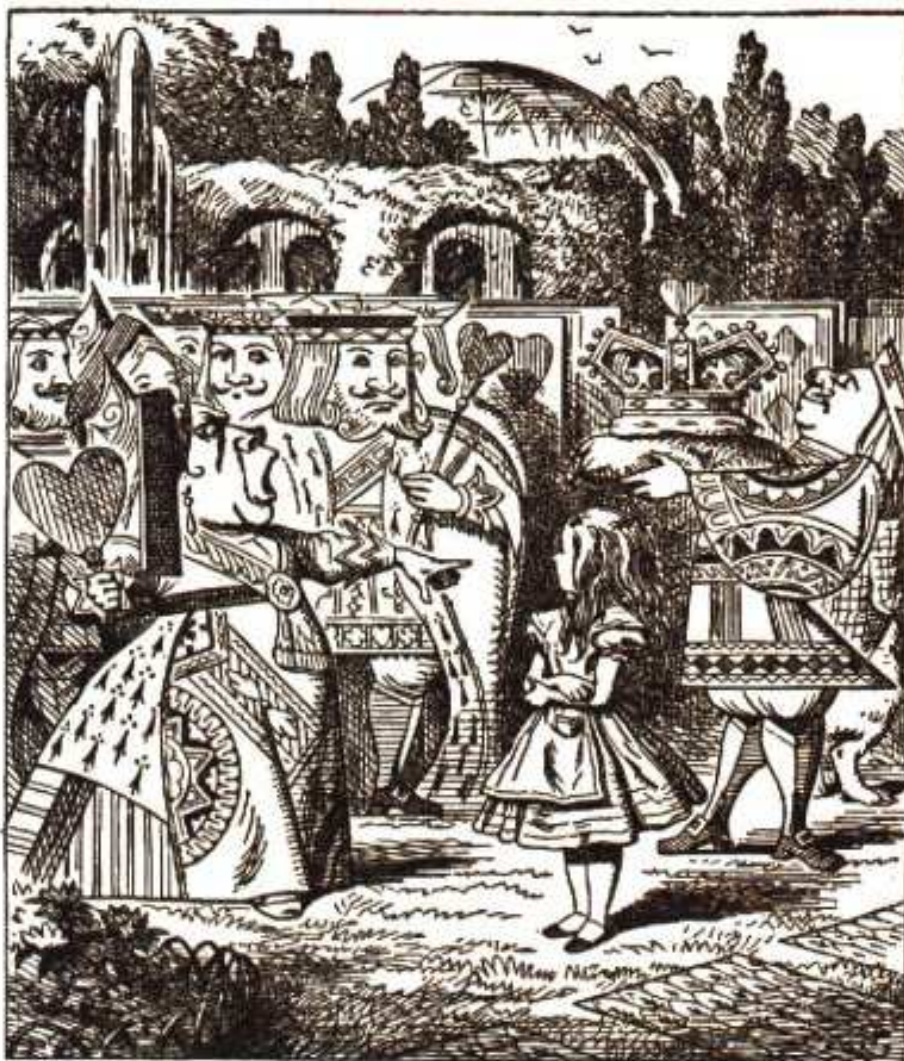
Alicja miała wątpliwości, czy nie powinna paść na twarz, jak to uczynili trzej ogrodnicy, ale nie mogła sobie przypomnieć, aby słyszała kiedykolwiek o podobnych zasadach postępowania podczas przechodzenia pochodu. „A poza tym, jaki byłby sens pochodu — pomyślała — gdyby wszyscy ludzie musieli leżeć twarzą ku ziemi tak, że niczego nie mogliby zobaczyć?” Stała więc nie poruszając się z miejsca i czekając.

Znalazłszy się naprzeciw Alicji, cały pochód zatrzymał się i wszyscy zwrócili ku niej oczy, a Królowa powiedziała ostro: — Któż to taki? — Zadała to pytanie Waletowi Kier, który w odpowiedzi uśmiechnął się jedynie i skłonił.

— Idiota! — powiedziała Królowa potrząsając niecierpliwie głową; zwróciwszy się ku Alicji podjęła: — Jak masz na imię, moje dziecko?

— Mam na imię Alicja, jeśli taka jest wola Waszej Królewskiej Mości — powiedziała Alicja jak najgrzeczniej, ale dodała w myśli: „Cóż, mimo wszystko, są tylko talią kart. Nie muszę obawiać się ich!” — A kimże są oni? — powiedziała Królowa wskazując trzech ogrodników leżących nie opodal różanego krzewu; gdyż widzicie, leżeli oni twarzą ku ziemi, a że na plecach mieli taki sam wzór, jaki miała reszta talii, nie była w stanie powiedzieć, czy są ogrodnikami, żołnierzami, dworzanami czy trójką jej własnych dzieci.

— Skądże ja mam to wiedzieć? — powiedziała Alicja, zadziwiona własną odwagą. — Nic mnie to nie obchodzi!



Królowa poczerwieniała z wściekłości i oczy jej przemieniły się na chwilę w oczy dzikiej bestii; później wrzasnęła: — Uciąć jej głowę! Uciąć jej...

— Nonsens! — powiedziała donośnie i zdecydowanie Alicja; Królowa umilkła.

Król położył rękę na ramieniu Królowej i powiedział nieśmiało: — Weź pod uwagę, moja droga, że jest ona jeszcze dzieckiem!

Królowa odsunęła się od niego z gniewem i powiedziała do Waleta: — Odwróć ich!

Walet uczynił to z wielką ostrożnością, używając w tym celu czubka buta.

— Powstańcie! — powiedziała Królowa piskliwym, donośnym głosem, a trzech ogrodnicy natychmiast unieśli się i zaczęli składać ukłony Królowi, Królowej, królewskim dzieciom i wszystkim pozostałym.

— Dość! — wrzasnęła Królowa. — Można dostać zawrotu głowy od tego. — A zwróciwszy się w kierunku różanego krzewu, dodała: — Czym zajmowaliście się tutaj?

— Jeśli taka jest wola Jej Królewskiej Mości — powiedział Dwójka najpokorniejszym głosem, opadając na jedno kolano — powiem, że staraliśmy się...

— Widzą to! — powiedziała Królowa, która tymczasem zdążyła przyjrzeć się różom. — Uciąć im głowy! — i orszak ruszył pozostawiając jedynie trzech żołnierzy, mających zająć się straceniem nieszczęsnych ogrodników, którzy szukając obrony podbiegli do Alicji.

— Nie utną wam głów! — powiedziała Alicja i włożyła ich do dużej, stojącej nie opodal doniczki. Poszukujący ich żołnierze wałęsali się jeszcze przez kilka minut w sąsiedztwie, a później spokojnie odmaszerowali w kierunku, gdzie znikli pozostali.

— Czy ucięto im głowy? — wrzasnęła Królowa.

— Głowy ich spadły, gdyż taka była wola Waszej Królewskiej Mości! — wrzasnęli w odpowiedzi trzej żołnierze.

— Doskonale! — wrzasnęła Królowa. — Czy umiesz grać w krokieta?

Żołnierze zamilkli i zwrócili oczy ku Alicji, gdyż pytanie to było najwyraźniej skierowane do niej.

— Tak! — wrzasnęła Alicja.

— No, to chodź z nami! — ryknęła Królowa i Alicja dołączyła do orszaku, rozmyślając nad tym, co teraz może nastąpić.

— Jaki... jaki piękny dzień dzisiaj! — powiedział bojaźliwy głos u jej boku. Szła obok Białego Królika, który zerkał na nią niespokojnie.

— Bardzo piękny — powiedziała Alicja. — Gdzie jest Księżna?

— Sz! Sz! — półgłosem szybko powiedział Królik. Mówiąc, obejrzał się trwożnie przez ramię, później uniósł na palce, przysunął usta jak najbliżej do jej ucha i wyszeptał: — Jest po wyroku i oczekuje egzekucji.

— Za co? — powiedziała Alicja.

— Czy powiedziałaś: „Jak mi jej żal”? — zapytał Królik.

— Nie, nie powiedziałam — powiedziała Alicja. — Nie wydaje mi się, żeby było czego żałować. Powiedziałam: „Za co?”

— Dała Królowej po uszach... — zaczął Królik. Alicja parsknęła śmiechem. — Och, szszsz! — wyszeptał Królik przerażonym głosem. — Królowa cię usłyszy! Widzisz, spóźniła się nieco i Królowa powiedziała...

— Rozstawić się, wszyscy! — wrzasnęła Królowa piorunującym głosem i wszyscy zaczęli rozbiegać się w różne strony zderzając się z sobą: mimo to, po kilku minutach ustawili się i można było rozpocząć grę.

Alicja pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała tak zdumiewającego terenu do gry w krokieta: poryty był cały rozpadlinami i pełen wzgórków; kulami do krokieta były żywe jeże, młotkami żywe flamingi, a zgięci we dwoje, wsparci na dłoniach i stopach, żołnierze spełniali rolę bramek. Główną trudnością, na którą Alicja natrafiła już w pierwszej chwili, było odpowiednie używanie flaminga: udało jej się dość łatwo wsunąć jego ciało pod pachę tak, aby nogi zwisały luźno w powietrzu, ale, ogólnie rzecz biorąc, gdy tylko udawało jej się wyprostować mu szyję wraz z głową, by uderzyć nim w jeża, wykręcał ją do tyłu i spoglądał w twarz dziewczynki z takim zdumieniem, że nie umiała powstrzymać głośnego śmiechu; a gdy zmusiła go do opuszczenia głowy i chciała rozpocząć od nowa, zobaczyła, że jeż nie jest już zwinięty w kulę i odchodzi: prócz tego wszystkiego, zawsze na drodze wyrastał wzgórek albo otwierała się rozpadlina w każdym kierunku, w którym mogłaby pośłać jeża, a ponieważ zgięci we dwoje żołnierze ciągle prostowali się i odchodzili w inny kraniec terenu, Alicja stwierdziła wkrótce, że jest to naprawdę niezwykle trudna gra.

Wszyscy zagrywali równocześnie nie czekając swej kolejki, kłócąc się przez cały czas i walcząc o jeża tak, że wkrótce Królowa wpadła w szewską pasję i zaczęła tupać, wrzeszcząc mniej więcej co minuta: — Uciąć mu głowę! — lub: — Uciąć jej głowę!

Alicja zaczęła odczuwać coraz większą niepewność: to prawda, że w ogóle nie posprzechała się jeszcze z Królową, ale pojmowała, że może to nastąpić każdej chwili. „A wówczas — pomyślała — jaki byłby mój los? Są oni przerażająco rozmiłowani w ucinaniu ludziom głów: to prawdziwy cud, że ktokolwiek z nich jeszcze żyje!”



Rozglądała się właśnie w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki i zastanawiała, czy uda jej się zniknąć niepostrzeżenie, gdy dostrzegła w powietrzu zagadkowe zjawisko: początkowo zaintrygowało ją ono ogromnie, ale po minucie czy dwóch pilnej obserwacji pojęła, że jest to uśmiech, i powiedziała do siebie: — To Kot z Cheshire. Będę mogła z kimś porozmawiać.

— Jak sobie dajesz radę? — powiedział Kot, gdy tylko pojawił się dostatecznie duży kawałek ust, żeby mógł przemówić.

Alicja odczekała, póki nie ukazały się oczy, i skinęła głową. „Nie ma celu mówić do niego — pomyślała — póki nie pojawią się uszy, a przynajmniej jedno z nich”. Jeszcze minuta i ukazała się cała głowa, a wtedy Alicja postawiła swego flaminga na ziemi i zaczęła opowiadać o grze, odczuwając wyraźne zadowolenie, że znalazł się ktoś, kto zechce jej wysłuchać. Kot osądził najprawdopodobniej, że dostateczna jego część znajduje się już na widoku i nie pojawiło się go od tej chwili ani o włos więcej.

— Myślę, że nie grają fair — rozpoczęła Alicja, nieco żałośnie — i kłóć się tak strasznie, że w ogóle nie można usłyszeć własnego głosu... i zdaje się, że nie mają żadnych określonych zasad gry: a nawet gdyby istniały jakieś, to nikt się do nich nie stosuje... I nie masz pojęcia, ile zamieszania wprowadza to, że te wszystkie rzeczy są żywe: na przykład bramka, pod którą mam przetoczyć kulę, spaceruje w drugim końcu boiska... i powinnam była skrokietać jeża Królowej właśnie teraz, ale uciekł, kiedy zobaczył, że mój się zbliża!

— A jak ci się spodobała Królowa? — powiedział Kot półgłosem.

— Wcale — powiedziała Alicja — jest tak niezwykle... — W tej samej chwili dostrzegła, że Królowa stoi tuż za nią, więc ciągnęła dalej — ...bliska zwycięstwa, że, szczerze mówiąc, nie warto kończyć gry.

Królowa uśmiechnęła się i odeszła.

— Do kogo mówisz? — powiedział Król, podchodząc do Alicji i przyglądając się z ogromnym zaciekawieniem głowie Kota.

— To mój przyjaciel... Kot z Cheshire — powiedziała Alicja. — Proszę zezwolić mi, abym mogła go przedstawić.

— Absolutnie nie podoba mi się jego wygląd — powiedział Król — mimo to może ucałować moją rękę, jeżeli zechce.

— Wolałbym nie — zauważył Kot.

— Nie zachowuj się bezczelnie — powiedział Król. — I nie patrz tak na mnie! — Domawiając tych słów skrył się za plecami Alicji.

— Kot może patrzeć na Króla — powiedziała Alicja. — Przeczytałam to w jakiejś książce, ale nie pamiętam w jakiej.

— Ale należy go usunąć — powiedział zdecydowanie Król i zawołał do Królowej, która w tej samej chwili przechodziła właśnie nie opodal: — Moja Droga! Pragnąłbym, abyś kazała usunąć stąd tego kota!

Królowa miała tylko jeden sposób zwalczania wszelkich przeciwności, wielkich i małych: — Uciąć mu głowę! — powiedziała nie raczywszy nawet rzucić okiem.

— Sam sprowadzę kata — powiedział Król ochoczo i odszedł pośpiesznie.

Alicja pomyślała, że równie dobrze mogłaby teraz zawrócić i zobaczyć, jak toczy się gra, gdyż z dala dobiegał nadal wściekły wrzask Królowej. Usłyszała wyroki śmierci na trzech graczy, którzy opuścili swą kolejkę, i coraz mniej zaczęło jej się to wszystko podobać, bo gra toczyła się tak bezładnie, że nigdy nie wiedziała, czy to jej kolejka, czy nie. Ruszyła więc, żeby odnaleźć swego jeża.

Jeż zajęty był właśnie walką z innym jeżem, co wydało się Alicji doskonałą sposobnością do skroketowania jednego z nich przy pomocy drugiego: jedyną trudność stanowiło to, że jej flaming odszedł w drugi koniec ogrodu, gdzie, jak zauważyła Alicja, próbował, nie mając na to żadnej nadziei, pofrunąć na drzewo.

Do czasu, kiedy udało się jej złapać flaminga i przynieść go z powrotem, było już po walce i oba jeże zniknęły z pola widzenia. „Ale nie ma to większego znaczenia — pomyślała Alicja — bo wszystkie bramki odeszły stąd także”. Wsunęła więc ptaka pod pachę, aby nie mógł znów uciec, i zawróciła, żeby porozmawiać jeszcze trochę z przyjacielem.

Gdy podeszła do miejsca, gdzie pozostawiła Kota z Cheshire, zadziwił ją gęsty zgromadzony tam tłum: najwyraźniej odbywała się jakaś sprzeczka pomiędzy katem, Królem i Królową; mówili oni wszyscy troje równocześnie, podczas gdy pozostali nie odzywali się ani słowem i wyglądali na bardzo zaambarasowanych.

Kiedy tylko zauważono nadchodzącą Alicję, wszyscy troje zwrócili się ku niej z prośbą o rozstrzygnięcie sprawy i zaczęli od nowa przedstawiać jej swoje racje, ale ponieważ mówili wszyscy naraz, było jej niezwykle trudno pojąć dokładnie, co chcą powiedzieć. Kat wyraził pogląd, że nie można uciąć głowy, jeśli brak ciała, od którego można by ją odrąbać, że nigdy dotąd nie kazano mu robić niczego podobnego i nie ma zamiaru rozpoczynać tego w tym wieku, w jakim się znajduje.

Król wyraził pogląd, że wszystko, co posiada głowę, może być jej pozbawione i nie należy mówić bzdur.

Królowa wyraziła pogląd, że jeśli nie załatwi się tego w mgnieniu oka, każe pozbawić głów wszystkich obecnych. (Właśnie ta ostatnia uwaga spowodowała, że wszyscy zgromadzeni mieli tak poważny i zaniepokojony wyraz twarzy).

Alicja umiała odpowiedzieć tylko: — On należy do Księżny, najlepiej zrobiecie, pytając ją o zdanie.



— Jest w więzieniu — powiedziała Królowa do kata — przyprowadź ją tu. — Kat pomknął jak strzała.

W chwili kiedy wyruszył, głowa Kota zaczęła z wolna blednąć, a do czasu, gdy powrócił wraz z Księżną, rozplynęła się zupełnie. Król i kat rozpoczęli bezładne poszukiwania biegając tam i na powrót, a reszta zgromadzonych powróciła do gry.

Rozdział IX

Opowiadanie Żółwiciela

Nie wiesz nawet, jak się cieszę, że cię znowu spotykam, kochana staruszek! — powiedziała Księżna ujmując Alicję serdecznie pod ramię, gdy tylko ruszyły obok siebie.

Alicja ucieszyła się, widząc ją w tak dobrym nastroju, i pomyślała, że, być może, przyczyną dzikości jej zachowania, gdy spotkały się w kuchni, był wyłącznie pieprz.

— Gdy ja zostanę księżną — powiedziała do siebie (choć bez większej nadziei) — w mojej kuchni w ogóle nie będzie pieprzu. Zupa doskonale się bez niego obchodzi... A może to wyłącznie pieprz czyni ludzi gniewnymi — ciągnęła zadowolona z wynalezienia nowego prawa — a ocet czyni ich kwaśnymi, a rumianek gorzkimi, a cukierki i podobne rzeczy sprawiają, że dzieci są tak pełne słodyczy. Pragnęłabym, żeby ludzie dowiedzieli się o tym: nie skąpiliby wtedy tego tak bardzo, wiecie...

Zdążyła już zupełnie zapomnieć o Księżnej i przestraszyła się słysząc nad uchem jej głos: — Rozmyślasz nad czymś, moje dziecko, i dlatego zapomniałaś, że rozmawiamy. Nie mogę ci od razu powiedzieć, jaki wynika z tego morał, ale wkrótce go sobie przypomnę. — Może nie wynika z tego żaden morał — odważyła się zauważyć Alicja.

— Ho, ho, moje dziecko! — powiedziała Księżna. — Ze wszystkiego wynika jakiś morał, jeśli tylko potrafisz go odnaleźć. — I przysunęła się bardzo blisko do Alicji, której nie ucieszyło to zupełnie: po pierwsze, Księżna była bardzo brzydka, po drugie, niski wzrost zezwalał jej na wbijanie podbródka w ramię Alicji, a był to paskudnie ostry podbródek. Mimo to, nie chcąc okazywać nieuprzejmości, znosiła to, jak umiała.

— Gra trochę się teraz poprawiła — powiedziała dla podtrzymania konwersacji.

— To prawda — odparła Księżna — a wynika z tego następujący morał: „Ach, to dzięki miłości, miłości, kręci się cały świat!”

— Ktoś powiedział — wyszeptała Alicja — że kręci się, kiedy nikt nie wtrąca się do cudzych spraw!

— Ach, cóż tam! Oznacza to mniej więcej to samo — powiedziała Księżna i wbiła swój krótki, ostry podbródek w ramię Alicji, dorzuciwszy: — A z tego wynika następujący morał: „Zwracaj uwagę na sens, a głos już sam to wypowie”.

„Jakże rozmiłowana jest w odnajdywaniu morałów we wszystkim!” — pomyślała Alicja.

— Nie wiesz z pewnością, dlaczego nie objęłam cię wpół — powiedziała Księżna po krótkiej przerwie w rozmowie. — Ale mam wątpliwości co do usposobienia twego flaminga. Czy mogę zastosować pewien eksperyment?

— Może ugryźć — odparła oględnie Alicja, nie odczuwając żadnego zaciekawienia w związku z możliwym eksperymentem.

— Bardzo słusznie — powiedziała Księżna — flamingi gryzą jak musztarda. A wynika z tego morał: „Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one”.



— Ale musztarda nie jest ptakiem — zauważyła Alicja.

— Słusznie jak zawsze — powiedziała Księżna — jakże jasno umiesz wyklądać to, co masz do powiedzenia!

— Sądzę, że to minerał — powiedziała Alicja.

— Oczywiście — powiedziała Księżna, która zdawała się zgadzać z wszystkim, co mówiła Alicja. — Niedaleko stąd zawinął okręt z ładunkiem musztardy. O, widać maszty! A morał z tego: „Im mniej masz ty, tym więcej mam ja”.

— Och, już wiem! — zawołała Alicja, która nie dosłyszała ostatniej uwagi. — To warzywo. Wcale nie jest podobna do warzyw, ale jest jednym z nich.

— Zgadza się z tobą najzupełniej — powiedziała Księżna — a morał z tego wynika następujący: „Bądź taką, jaką cię widzą” — albo, jeśli chcesz, żebym wyraziła to prościej: „Nigdy nie wyobrażaj sobie, że nie jesteś taką, jaką cię inni widzą i, że taka, jaką byłaś lub mogłaś być, byłaś albo mogłaś być widziana przez innych, gdyż inaczej inni widzieliby cię inaczej”.

— Myślę, że zrozumiałabym to lepiej — powiedziała jak najuprzejmiej Alicja — gdybym miała to napisane; słysząc tylko, nie mogę za wszystkim nadążyć.

— Nie da się tego porównać z tym, co mogłabym powiedzieć, gdybym zechciała — odparła Księżna uradowanym głosem.

— Proszę nie sprawiać sobie kłopotu wypowiedaniem tego tak, żeby było jeszcze dłuższe — powiedziała Alicja.

— Ach, nie wspominaj nawet o kłopotcie! — powiedziała Księżna. — Daję ci w prezencie to wszystko, co powiedziałam do tej pory.

„Nie nazbyt kosztowny prezent! — pomyślała Alicja. — Dobrze, że ludzie nie dają takich prezentów na urodziny!” Ale nie odważyła się wypowiedzieć tego na głos.

— Znowu zamyślona? — zapytała Księżna, zadając nowe pchnięcie swym krótkim, ostrym podbródkiem.

— Mam prawo myśleć — powiedziała ostro Alicja, trochę już rozdrażniona.

— Masz takie samo prawo do myślenia jak świnię do latania, a mor...

Lecz, ku ogromnemu zdumieniu Alicji, głos Księżny zamarł pośrodku jej umiłowanego słowa „morał”, a ramię wsunięte pod ramię Alicji zaczęło drżeć. Alicja uniosła głowę: na wprost nich, z rękami założonymi na piersi, piorunując je oczyma, stała Królowa.

— Prześliczny dzień mamy, Wasza Królewska Mość! — zaczęła Księżna cichym, omdlewającym głosem.

— Chcę cię uczciwie ostrzec — wrzasnęła Królowa tupiąc z wściekłością — albo ty, albo twoja głowa, musicie mnie pożegnać! I to szybko! Wybieraj!

Księżna, nie pragnąc wybierać, zniknęła w mgnieniu oka.

— Zajmijmy się znowu grą — powiedziała Królowa do Alicji; Alicja była tak przestraszona, że nie odpowiedziała ani słowem, lecz z wolna ruszyła za nią ku terenom, na których rozgrywano partię krokietu.

Pozostali goście, skorzystawszy z nieobecności Królowej, wypoczywali w cieniu, lecz w tej samej chwili, w której ujrzeni ją, powrócili pospiesznie do gry, a Królowa rzuciła tylko mimochodem, że za każdą chwilę opieszałości zapłacą życiem.

W czasie, gdy Królowa nieustannie sprzeczała się z pozostałymi graczami i wrzeszczała: — Uciąć mu głowę! — albo: — Uciąć jej głowę! — skazanych brali pod straż żołnierze, którzy w ten sposób przestawali być bramkami i po mniej więcej pół godzinie nie było już ani jednej bramki, a wszyscy gracze, jeśli nie liczyć Króla, Królowej i Alicji, znaleźli się pod strażą skazani na stracenie.

Wówczas Królowa, dysząc ciężko, uspokoiła się i powiedziała do Alicji: — Czy widziałas już Żółwiciela?

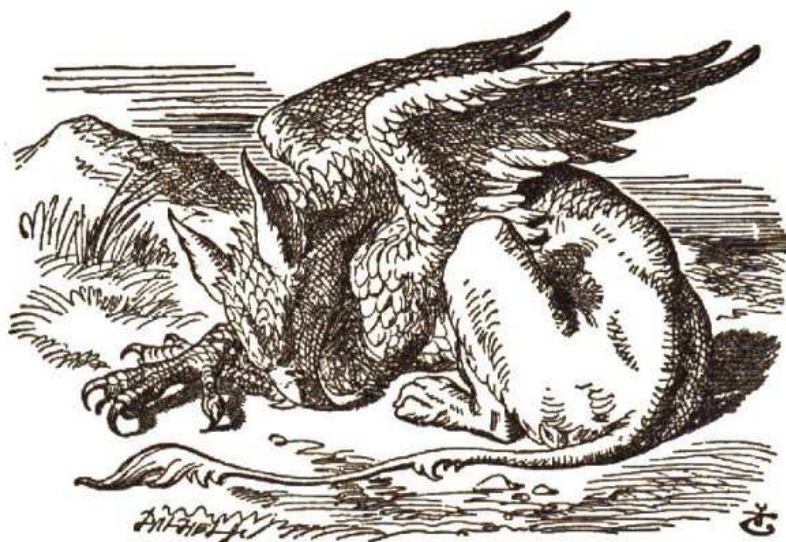
— Nie — odparła Alicja. — Nie wiem nawet, co to jest Żółwiciel.

— Jest on tym, z czego robi się Zupę Żółwicielęcą — powiedziała Królowa.

— Nigdy nie widziałam niczego takiego ani nie słyszałam o niczym takim — powiedziała Alicja.

— Więc chodź — powiedziała Królowa — a opowie ci on swoje dzieje.

Gdy odchodziły razem, Alicja usłyszała Króla mówiącego półgłosem do zebranych: — Ułaskawiam was wszystkich. — „No, to ślicznie!” — pomyślała, gdyż bardzo była markotna do tej pory na myśl o ilości straceń nakazanych przez Królową. Wkrótce natknęły się na Gryfa, głęboko uspiętego w słońcu. (Jeżeli nie wiecie, jak wygląda Gryf, spójrzcie na tę ilustrację). — Zbudź się, leniwa istoto! — powiedziała Królowa — i odprowadź tę młodą damę na spotkanie z Żółwicielem, aby mogła wysłuchać jego dziejów. Ja muszę wrócić i doglądnąć paru egzekucji, które zarządziłam — i odeszła zostawiając Alicję z Gryfem. Alicji nie bardzo spodobał się wygląd tego stworzenia, ale pomyślała, że ogólnie rzecz biorąc, bezpieczniej było pozostać z nim tutaj, niż udać się za okrutną Królową — czekała więc.



Gryf usiadł i przetrął oczy; później spoglądał za Królową, a kiedy zniknęła z pola widzenia, roześmiał się cicho. — Bardzo śmieszne! — powiedział Gryf, na pół do siebie, na pół do Alicji.

— Co jest takie śmieszne? — powiedziała Alicja.

— Jak to? Ona! — powiedział Gryf. — To wszystko to jej wymysł: nigdy jeszcze nikogo nie stracili, wiesz. Chodź!

„Wszyscy tu mówią mi „Chodź!” — pomyślała Alicja podążając z wolna za nim. — Nigdy dotąd tak mną nie pomiatano, nigdy!”

Nie uszli daleko, gdy zobaczyli z dala Żółwiciela siedzącego w smutku i samotności na niewielkim występie skalnym, a gdy zbliżyli się, Alicja usłyszała jego westchnienia tak ciężkie, jak gdyby za chwilę serce miało mu pęknąć. Ogarnęło ją głębokie współczucie dla niego. — Jakie nieszczęście go spotkało? — zapytała Gryfa. A Gryf odparł dokładnie niemal tymi samymi słowami jak poprzednio: — To wszystko jego wymysł: nie spotkało go żadne nieszczęście, wiesz. Chodź!

Podeszli więc do Żółwiciela, który spojrzał na nich wielkimi, pełnymi łez oczyma, ale nie odezwał się słowem.

— Ta młoda dama — powiedział Gryf — chciałaby poznać twoje dzieje.

— Dowie się o nich ode mnie — powiedział Żółwiciel niskim, głuchym głosem. — Usiądźcie oboje i nie mówcie ani słowa, póki nie skończę.

Usiedli więc i nikt nie odzywał się słowem w ciągu paru minut. Alicja pomyślała: „Nie rozumiem, jak będzie mógł w ogóle skończyć, jeżeli nie zacznie”. Ale czekała cierpliwie.

— Byłem ongi — powiedział w końcu Żółwiciel westchnąwszy głęboko — prawdziwym Żółwiem.

Po słowach tych zapadło długie milczenie, przerywane od czasu do czasu: „Hjkkrrrh!” Gryfa oraz nieustannym ciężkim łkaniem Żółwiciela. Alicja chciała już wstać i powiedzieć: „Dziękuję, sir, za to ciekawe opowiadanie” — ale pomyślała, że coś jednak musi jeszcze nastąpić, siedziała więc nadal spokojnie, nie odzywając się.

— Gdy byliśmy dziećmi — powiedział wreszcie Żółwiciel głosem spokojniejszym, choć przerywanym od czasu do czasu łkaniem — uczęszczaliśmy do szkoły znajdującej się w morzu. Nauczycielem był stary Żółw... nazywaliśmy go Ostrygą. — Dlaczego nazywaliście go Ostrygą, jeżeli nią nie był? — zapytała Alicja.



— Nazywaliśmy go Ostrygą, bo był ostry — powiedział gniewnie Żółwiciel. — Jesteś naprawdę bardzo tępą!

— Powinnaś się wstydzić zadawania takich prostackich pytań — dorzucił Gryf; później obaj usiedli i w milczeniu zaczęli przyglądać się biednej Alicji, która poczuła, że gotowa jest zapaść się pod ziemię. Wreszcie Gryf powiedział do Żółwiciela: — Jazda, staruszkule! Nie traćmy na to całego dnia! — a Żółwiciel podjął tymi słowami:

— Tak, uczęszczaliśmy do szkoły znajdującej się w morzu, chociaż może ci się to wydać nie do uwierzenia...

— Nic podobnego nie powiedziałam! — przerwała Alicja.

— Powiedziałaś — stwierdził Żółwiciel.

— Trzymaj język za zębami! — dodał Gryf, zanim Alicja zdążyła odezwać się ponownie. Żółwiciel ciągnął dalej:

— Otrzymywaliśmy najlepsze wykształcenie... prawdę mówiąc, codziennie przychodziliśmy do szkoły na zajęcia...

— W mojej szkole też odbywały się codziennie zajęcia — powiedziała Alicja. — Nie musisz się tym tak pysnić.

— Z przedmiotami nadobowiązkowymi? — zapytał nieco zaniepokojony Żółwiciel.

— Tak — powiedziała Alicja — uczyliśmy się francuskiego i muzyki.

— I prania? — powiedział Żółwiciel.

— Oczywiście, że nie! — powiedziała Alicja urażonym głosem.

— Ach! Więc ta twoja szkoła nie należała do naprawdę dobrych — powiedział Żółwiciel

z wielką ulgą w głosie. — A w naszej mieli na końcu cenzurki: „francuski, muzyka i pranie... nadobowiązkowe”.

— Nie musiało być wam bardzo potrzebne, skoro mieszkaliście na dnie morza.

— Nie stać mnie było na uczenie się tego — powiedział Żółwiciel wzdychając — przeszedłem tylko program z przedmiotów obowiązkowych.

— Jakich? — spytała Alicja.

— Na początku była oczywiście nauka Chlapecadła i Portografia — odpowiedział Żółwiciel — a później różne odgałęzienia Arytmetyki — Wodowanie, Obejmowanie, Dnożenie i Brzydzielenie.

— Nigdy nie słyszałam o „Brzydzieleniu” — odważyła się wtrącić Alicja. — Cóż to jest takiego?

Zdumiony Gryf aż uniósł obie łapy. — Nigdy nie słyszała o „Brzydzieleniu”! — wykrzyknął. — Mam nadzieję, że wiesz, co oznacza słowo upięknianie?

— Tak — powiedziała niepewnie Alicja — oznacza to... że... chce się... chce się coś upięknąć.

— W takim razie — ciągnął Gryf — musisz być wielkim głuptasem, jeżeli nie wiesz, co to jest „Brzydzielenie”.

Nie zachęciło to Alicji do zadawania dalszych pytań na ten temat: obróciła się więc ku Żółwicielowi i powiedziała: — Czego jeszcze musieliście się uczyć?

— Cóż, była jeszcze Histeria — odpowiedział Żółwiciel wyliczając na płetwach — ...Histeria starożytna i nowożytna, Oceanografia, Rybunki... nauczycielem Rybunków był stary węgorz morski, który przyplątywał do nas raz w tygodniu: uczył on nas Rybunków i Falowania.

— Jak się odbywała nauka tego przedmiotu? — powiedziała Alicja.

— Cóż, nie mogę ci tego pokazać — powiedział Żółwiciel — bo kości mi zaniechano. A Gryf nigdy się tego nie uczył.

— Nie miałem czasu — rzekł Gryf — uczyłem się przedmiotów klasycznych. A wykladał nam stary krab, oj, było to krabisko.

— Nigdy mnie nie uczył — powiedział Żółwiciel z westchnieniem. — Mówiono, że wykladał Ławicę i Rzekę.

— Tak było, tak było — powiedział Gryf i także westchnął, po czym oba stworzenia ukryły oblicza w łapach.

— A miewaliście piątki? — zapytała pospiesznie Alicja, chcąc szybko zmienić temat.

— Tak, ponad pięćdziesiąt rocznie, cztery miesięcznie i raz w tygodniu.

— Zawsze raz w tygodniu? — zawołała zdumiona Alicja.

— Oczywiście, że tak — powiedział Gryf — przecież jest tylko jeden piątek w tygodniu.

Odpowiedź ta tak zadziwiła Alicję, że musiała się zastanowić trochę, zanim zadała następne pytanie. — A czwórek nie mieliście w takim razie wcale?

— Oczywiście, że nie — odparł Żółwiciel.

— Dość o nauce — przerwał Gryf stanowczym głosem. — Opowiedz jej teraz coś o rozrywkach.

Rozdział X

Kadryl z homarami

Żółwiciel westchnął głęboko i przeciągnął grzbietem płetwy po oczach. Spojrzał na Alicję i chciał przemówić, lecz przez minutę lub dwie łkanie dławiło mu głos.

— Odczuwa to tak, jakby miał kość w gardle — powiedział Gryf i zabrał się do dzieła, potrząsając nim i bijąc go pięścią w plecy. Żółwiciel odzyskał wreszcie głos i mimo łez spływających po policzkach; rozpoczął:

— Zapewne nie zamieszkiwałaś nigdy na dnie morza... (— Nigdy — powiedziała Alicja) — ...i, być może, nie przedstawiono cię nigdy Homarowi... (Alicja zaczęła mówić: — Raz skosztowałam — ale połapała się szybko i powiedziała: — Nie, nigdy) — ...więc nie masz najmniejszego nawet pojęcia, jaką zachwycającą rzeczą jest Kadryl z Homarami!

— Rzeczywiście, nie mam — powiedziała Alicja. — Cóż to za rodzaj tańca?

— Otóż — powiedział Gryf — najpierw wszyscy stają w jednym szeregu wzdłuż brzegu morza...

— W dwuszeregu! — zawołał Żółwiciel. — Foki, żółwie, łososie i inne. Później, kiedy już się oczyściło cały teren z meduz...

— A to zwykle zajmuje nieco czasu — przerwał mu Gryf.

— ...postępuje się dwa kroki ku przodowi...

— A każdy ma homara jako partnera! — zawołał Gryf.

— To jasne — powiedział Żółwiciel — dwa kroki ku przodowi, skłon ku partnerowi...

— ...zmiana homarów i cofnięcie się w tej samej kolejności.

— Później, jak wiadomo — ciągnął Żółwiciel — ciska się...

— Homary! — wrzasnął Gryf podskoczywszy wysoko w górę.

— ...tak daleko w morze, na ile sił starczy...

— Płynie za nimi! — krzyknął Gryf.

— Robi salto w morzu! — zawołał Żółwiciel, wywijając obłąkane koziółki.

— Ponownie zmienia homary! — ryknął Gryf ile mocy w płucach.

— Wraca na ląd i... to jest cała pierwsza figura — powiedział Żółwiciel, niespodziewanie cichym głosem; i oba stworzenia, które przez cały czas skakały jak szalone, usiadły teraz i z cichym smutkiem spojrzały na Alicję.

— Zapewne jest to bardzo ładny taniec — powiedziała niepewnie Alicja.

— Czy chciałabyś go obejrzeć? — powiedział Żółwiciel.

— O tak, bardzo — powiedziała Alicja.

— Wstań. Postaramy się odtńczyć pierwszą figurę! — powiedział Żółwiciel do Gryfa. — Jak wiadomo, można ją wykonać bez homarów. Kto będzie śpiewał?

— Och, zaśpiewaj ty — powiedział Gryf. — Nie pamiętam już słów. Więc rozpoczęli dostojny taniec, okrążając raz po raz Alicję, co pewien czas nadeptując jej na palce, gdy



przybliżali się z nadto i wyznaczając ruchami łap rytm pieśni, którą Żółwiciel odśpiewał niezwykle powolnie i z wielkim smutkiem:

Czemu wleciesz się tak? — rzekła do ślimaka
bialoryba. —
Ten morświn, który nas dognał, na ogon mi wdepnie
chyba.
Spójrz na żółwie i homary, które tłumami całymi
Zbiegły się na skraju plaży... czy chcesz tańczyć
razem z nimi?
Czy chcesz tańczyć, czy też nie chcesz, czy chcesz
tańczyć razem z nimi?
Nie przeczuwasz nawet uciech, które w sercach
nam rozbłyszczą,
Gdy nas razem z homarami wprost na pełne morze
cisnął
Odparł ślimak: „Za daleko!” — I choć zaszczyt mu
to czyni,
Choć jest wdzięczny niewymownie, ale nie chce
tańczyć z nimi.
Czy chce tańczyć, czy też nie chce, nie chce tańczyć
razem z nimi. —
Czy chce tańczyć czy też nie chce, nie chce tańczyć
razem z nimi.

Za daleko? A to czemu? — rzekł przyjaciel
ostrołuski —
Przecież morze ma dwa brzegi; czeka nas tam
brzeg francuski.
Oddalając się od Anglii, do Francji się przybliżymy...
Czemu bledniesz, mój ślimaku? Pójdź i zatańcz
razem z nimi,
Czy chcesz tańczyć, czy też nie chcesz, pójdź
i zatańcz razem z nimi!
Czy chcesz tańczyć, czy też nie chcesz, pójdź
i zatańcz razem z nimi!

— Dziękuję wam, obejrzałam ten taniec z ogromnym zaciekawieniem — powiedziała Alicja, zadowolona, że nareszcie się to już skończyło. — I naprawdę, bardzo mi się podoba ta piosenka o białorybie!

— Och, jeśli chodzi o białoryby — powiedział Żółwiciel — są one... widywałaś je, oczywiście?

— Tak — powiedziała Alicja. — Często je widywałam podczas obia... — urwała pośpiesznie.

— Nie wiem, co to jest Obia — powiedział Żółwiciel — ale jeżeli widywałaś je tak często, wiesz, oczywiście, jak wyglądają?

— Tak mi się wydaje — powiedziała Alicja po namyśle. — Obsypane są tartą bułką... i trzymają ogony w zębach.

— Jeśli chodzi o tartą bułkę, to nie masz słuszności — powiedział Żółwiciel — morze zmyłoby całą tartą bułkę. Ale miewają ogony w zębach, a przyczyną tego jest... — Żółwiciel przymknął oczy ziewając. — Powiedz jej o tej przyczynie i o całej reszcie... — powiedział do Gryfa.

— Przyczyna jest następująca — powiedział Gryf — chciały zatańczyć z homarami. Więc ciskano je do morza. Więc leciały bardzo daleko. Więc z całej siły zaciskały ogony w zębach. Więc nie mogły ich potem wyciągnąć. To wszystko.

— Dziękuję — powiedziała Alicja. — To bardzo ciekawe. Nigdy dotąd nie powiedziano mi naraz tylu rzeczy o białorybie.

— Mogę powiedzieć ci więcej, jeżeli zechcesz — powiedział Gryf. — Czy wiesz, skąd pochodzi nazwa białoryba?

— Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad tym — powiedziała Alicja. — Skąd?

— Bo służy ona do czyszczenia butów i pantofelków — powiedział Gryf bardzo poważnie.

Alicja była zupełnie zaskoczona. — Do czyszczenia butów? — powiedziała zdumionym głosem.

— No, czym są wyczyszczone twoje buciki? Chcę powiedzieć, co powoduje, że tak lśnią?

Alicja spojrzała w dół i przyglądała się przez chwilę swoim pantofelkom, zanim odpowiedziała: — Smaruje się je czernidłem, prawda?

— Buciki i pantofelki w głębinach morskich — ciągnął Gryf niskim głosem — bieli się białoryba. Teraz już wiesz.

— A kto czyści te buciki? — zapytała Alicja z wielkim zaciekawieniem.

— Tylko flądry ich nie czyszczą — odpowiedział Gryf z pewną niecierpliwością — byle krewetka ci to powie.

— Gdybym była białorybą — powiedziała Alicja, której myśli wciąż jeszcze krążyły wokół piosenki — powiedziałabym do Morświna: „Nie nadeptuj mi na ogon, nie chcę twojego towarzystwa w drodze do wody”.

— Musiałaby jednak przedstawić te dowody — powiedział Żółwiciel.

— Jakie? — powiedziała Alicja nie rozumiawszy.

— Oczywiście — powiedział Żółwiciel. — Gdyby ryba przyszła do mnie i powiedziała: „Nie lubię towarzystwa morświna w drodze...”, spytałbym dokładnie tak samo jak ty: „Dowody?”

— Ależ ja powiedziałam: „do wody”!

— Przecież właśnie to mówię! — powiedział Żółwiciel urażonym tonem. A Gryf dodał: — Posłuchajmy teraz trochę o twoich przygodach.

— Mogłabym wam opowiedzieć o moich przygodach... o tych, które rozpoczęły się dziś rano — powiedziała Alicja, nieco niepewnie — ale nie ma celu zaczynać od wczoraj, gdyż byłam wtedy kim innym.

— Wyjaśnij to — powiedział Żółwiciel.

— Nie, nie! Najpierw przygody — powiedział Gryf niecierpliwym głosem — wyjaśnienia zabierają okropnie wiele czasu.

Więc zaczęła im opowiadać o swoich przygodach, od czasu gdy zobaczyła po raz pierwszy Białego Królika. Początkowo była zdenerwowana, ale tylko trochę, tym że oba stworzenia przysunęły się do niej blisko z obu stron i tak szeroko otworzyły usta i oczy; ale w miarę opowiadania nabrała odwagi. Słuchacze zachowywali absolutną ciszę, póki nie doszła do spotkania z Gąsienicą i recytacji Stary jesteś, mój ojcie, syn Williama rzekł, kiedy to wszystkie słowa wypadły jej na opak; Żółwiciel odetchnął głęboko i powiedział: — To bardzo zagadkowe!

— Tak zagadkowe, jak tylko może być zagadkowe — powiedział Gryf.

— Wszystko wypadło na opak! — powtórzył zamyślony Żółwiciel. — Chciałbym usłyszeć ją, recytującą coś innego. Powiedz jej, żeby zaczęła. — I spojrzał na Gryfa, jak gdyby przypuszczając, że posiada on jakąś władzę nad Alicją.

— Powstań i zacznij recytować: **Oto są słowa lenia..** — powiedział Gryf.

„Jak te stworzenia pomiatają człowiekiem, każąc mu powtarzać z pamięci lekcje! — pomyślała Alicja. — Równie dobrze mogłabym być w szkole w tej chwili”. Wstała jednak i zaczęła powtarzać z pamięci, lecz miała głowę tak wypełnioną Kadrylem z Homarami, że nie zdawała sobie niemal sprawy z tego, co mówiła; a słowa, które wypowiadała, były naprawdę dziwne:

Oto słowa Homara: krzyczał wniebogłose:
„Przypiekłem się zanadto, ocukrzcie mi włosy!”
Nosem, który trzepoce jak kaczka w brytfannie;
Guziki i buciki czyści nieustannie;
Gdy odpływ spłynął z plaży, rażny jak skowronek
O rekinach ze wżgardą mówi cały dzionek,
Lecz gdy wracają wody, a rekiny z nimi,
Odznacza się głos jego nutkami drżącymi.

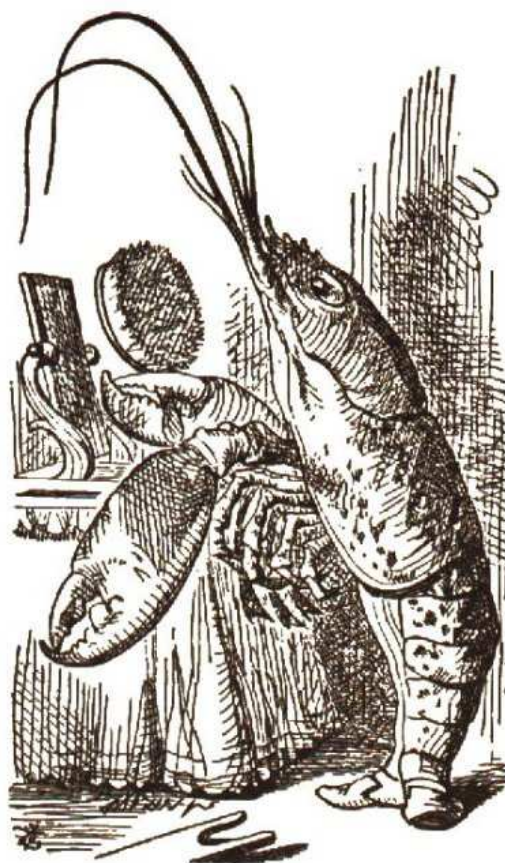
— To coś zupełnie innego niż to, co ja mówiłem jako dziecko — powiedział Gryf.

— Cóż, ja także nie słyszałem tego jeszcze nigdy przedtem — powiedział Żółwiciel — ale brzmi to niezwykle nonsensownie. Alicja nie odezwała się: usiadła i ukryła twarz w dłoniach, zastanawiając się, czy cokolwiek kiedykolwiek przydarzy jej się jeszcze w zwykły sposób.

— Chciałbym, aby mi to wyjaśniono — powiedział Żółwiciel.

— Ona nie umie tego wyjaśnić — powiedział Gryf pośpiesznie. — Jazda, następną zwrotkę.

— Ale te jego buciki? — nalegał Żółwiciel. — Jak mógł je czyścić nosem?



— Uważał to za swój podstawowy obowiązek — powiedziała Alicja; ale rzecz ta była dla niej samej tak okropnie zagadkowa, że marzyła już tylko o zmianie przedmiotu rozmowy.

— Jazda, następną zwrotkę — powtórzył Gryf — rozpoczyna się ona od: *Mijałem ogród jego*. Alicja nie miała odwagi okazać nieposłuszeństwa, choć przeczuwała, że znów wszystko pójdzie na opak; ciągnęła więc dalej drżącym głosem:

Mijałem ogród jego, a w owym ogrodzie
Sowa z Panterą obiad jadły w wielkiej zgodzie:
Pantera zjadła zupę, ciasto i pieczone,
Sowie waza została i talerze czyste.
A gdy wszystko zjedzono, Sowa rada wielce
Łyżką wzięła, Panterze noże i widelce
Przypadły, więc i danie też mieć chciała nowe:
Ryknęła i na deser zjadła także...

— Jaki jest cel powtarzania tego wszystkiego, jeśli nie wyjaśniasz niczego w miarę posuwania się? Jest to najbardziej pomyłona rzecz, jaką słyszałem w życiu!

— Tak. Sądzę, że lepiej będzie, jeżeli poprzestaniesz na tym — powiedział Gryf, a jeśli mowa o Alicji, była ona niezwykle uradowana mogąc go posłuchać.

— Czy spróbujemy następnej figury Kadryla z Homarami? — ciągnął Gryf. — Czy może wolałabyś, żeby Żółwiciel zaśpiewał ci jakąś inną piosenkę?

— Och, tak, piosenkę, jeżeli Żółwiciel będzie na tyle uprzejmy — odpowiedziała Alicja tak ochoczo, że Gryf powiedział nieco urażonym tonem: — Hm, o gustach się nie dysputuje! Zaśpiewaj jej Zupę żółwiową, co, staruszkule?

Żółwiciel westchnął głęboko i głosem zdławionym wybuchami łkania, zaczął śpiewać tak:

Zupo nadobna, tłusta, zielona,
W głębi gorącej wazy uśpiona!
Któż się nad tobą, słodka, nie schyli
W porze wieczery, w wieczornej chwili!
W porze wieczery, w wieczornej chwili!

Zu-upo nadoo-oobna! Zu-upo nadoo-oobna!
W porze wieczery, w wieczornej chwili!
Zupo, zupo nadobna!

Zupo nadobna! Któż dba o ryby,
Drób lub dziczyznę, a nawet gdyby
Miał wszystko inne, to czy podobna,
By nie chciał ciebie, Zupo nadobna?
By nie chciał ciebie, Zupo nadobna?

Zu-upo nadoo-oobna!
Zu-upo nadoo-oobna!
W porze wieczery, w wie-eeeeczornej chwili!
Zupo, zu PONAD obna!

— Refren, jeszcze raz! — zawołał Gryf, a Żółwiciel właśnie zaczął go powtarzać, gdy w oddali rozległ się okrzyk: — Rozprawa się rozpoczyna!

— Chodź! — zawołał Gryf i wzięwszy Alicję za rękę ruszył pędem nie doczekawszy końca piosenki.

— Co to za rozprawa? — zapytała zdyszana biegiem Alicja; ale Gryf odpowiedział tylko: — Chodź — i przyspieszył jeszcze, a z dala, coraz cichsze i cichsze, dochodziły ich melancholijne słowa:

W po-orze wieczery, w wie-e-eeeczornej chwili, Zupo, Zupo, nadobna!

Rozdział XI

Któż ciastka skradł?

Przybywszy zobaczyli, że Król i Królowa Kier zasiedli już na tronach, a wokół nich zebrał się ogromny tłum — wszelkiego rodzaju ptaki i zwierzęta, a także pełna talia kart w komplecie: Walet stał przed nimi w kajdanach, a po obu jego stronach strzegący go żołnierze: w pobliżu Króla znajdował się Biały Królik, który w jednej ręce trzymał trąbkę, a w drugiej zwój pergaminu. Pośrodku sali rozpraw stał stół, a na nim wielka taca, na której leżały ciasteczka owocowe: wyglądały tak znakomicie, że Alicja poczuła na ich widok nagły głód... „Jakbym chciała, żeby już zakończyli rozprawę — pomyślała — i zaczęli obnosić poczęstunek!” Ale wydawało się, że na razie nie ma najmniejszej szansy na tego rodzaju obrót sprawy, więc dla zabicia czasu zaczęła przyglądać się otoczeniu.

Alicja nigdy przedtem nie była w sądzie, ale w książkach, które przeczytała, były opisy sal sądowych, więc stwierdziła teraz z przyjemnością, że poznaje prawie wszystkie znajdujące się tu osoby i przedmioty. — To musi być sędzia — powiedziała do siebie — bo ma wielką perukę.

Sędzią był, mówiąc nawiasem, Król; a ponieważ nosił koronę na peruce (spójrzcie na czołową ilustrację książki, jeżeli chcecie wiedzieć, jak tego dokonał), nie sprawiał wrażenia, jak gdyby było mu zbyt wygodnie, a już na pewno nie dodawało mu to uroku. „A to ława przysięgłych — pomyślała Alicja — a tych dwanaście stworzeń — (była zmuszona do powiedzenia „stworzeń”, rozumiecie, bo niektóre z nich były zwierzętami, a niektóre ptakami) — to sędziowie przysięgli, jak przypuszczam”. Powtórzyła ostatnie słowo dwa czy trzy razy z uczuciem pewnej dumy, bo, jak słusznie osądziła, bardzo niewiele dziewczynek w jej wieku miało choćby najbardziej mgliste wyobrażenie o tym, co ono oznacza. Mimo to „ławnicy” byłiby równie odpowiednim słowem w tym wypadku.

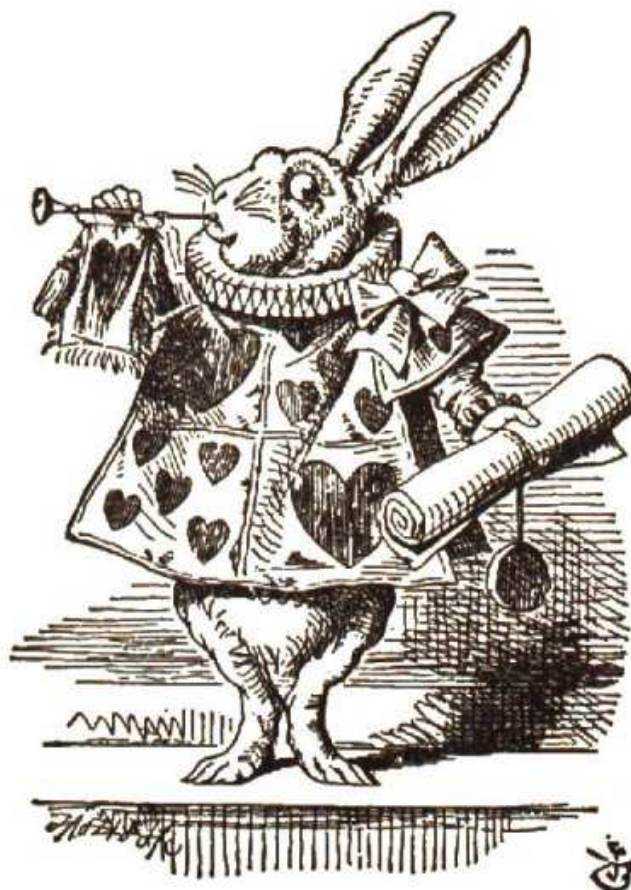
Dwunastu sędziów pisało bardzo pilnie na tabliczkach. — Cóż oni robią? — wyszeptała Alicja do Gryfa. — Nie mogą przecież niczego zapisywać przed rozpoczęciem rozprawy.

— Wpisują tam własne imiona — wyszeptał w odpowiedzi Gryf. — W obawie, że mogliby przed zakończeniem rozprawy zapomnieć, jak one brzmią.

— Cóż za tępe istoty! — zaczęła Alicja donośnym, wzburzoną głosem, ale urwała natychmiast, gdyż Biały Królik zawołał: — Cisza w sądzie! — a Król włożył okulary i rozejrzał się badawczo, żeby sprawdzić, kto rozmawia.

Alicja mogła dostrzec, tak dobrze niemal, jak gdyby zaglądała im przez ramię, że wszyscy przysięgli zapisują na swoich tabliczkach: „Cóż za tępe istoty!”, a nawet zdołała stwierdzić, że jeden z nich nie wiedział, jak się pisze „tępe”, i musiał poprosić sąsiada o wyjaśnienie. „Ładny zamęt powstanie na tych tabliczkach jeszcze przed zakończeniem rozprawy!” — pomyślała.

Jeden z przysięgłych pisał skrzypiącym ołówkiem. Tego, rzecz jasna, Alicja nie mogła znieść, obeszła więc salę sądową, przystanęła za jego plecami i wkrótce, przy pierwszej



sposobności, porwała ołówek. Uczyniła to tak szybko, że biedny mały przysięgły (był to Bili Jaszczurka) nie mógł pojąć, co się z nim stało i po dłuższym poszukiwaniu wokół siebie, zmuszony był pisać aż do końca rozprawy palcem, co dawało bardzo niewiele pożytku, gdyż nie pozostawiał on najmniejszego nawet śladu na tabliczce.

— **Heroldzie**, odczytaj oskarżenie! — powiedział Król. W odpowiedzi Biały Królik zadął po trzykroć w trąbkę, a później, rozwinąwszy zwój pergaminu, odczytał:

Królowa Kier ciasteczek moc
Upiekła w letni dzień,
A Walet Kier, gdy przyszła noc,
Skradł je i skrył się w cień.

— Rozważcie swój wyrok — powiedział Król do sędziów.

— Zaraz, zaraz! — wkroczył pospiesznie Królik. — Musi nastąpić jeszcze bardzo wiele, zanim to się stanie!

— Zawezwać pierwszego świadka — powiedział Król, a Biały Królik zadął po trzykroć w trąbkę i wykrzyknął: — Pierwszy świadek!

Pierwszym świadkiem był Kapelusznik. Wszedł z filiżanką herbaty w jednej ręce i kawałkiem chleba z masłem w drugiej. — Proszę **Majestacie** o wybaczenie — zaczął — lecz przyniosłem je tu, gdyż w chwili, gdy przysłano po mnie, nie dopiłem jeszcze herbaty.

— Powinieneś być dopić — powiedział Król. — Kiedy rozpocząłeś?

Kapelusznik spojrzał na Marcowego Zająca, który wszedł za nim na salę rozpraw idąc ramię w ramię z Susłem. — Czternastego marca, jak sądzą — powiedział.



— Piętnastego — powiedział Marcowy Zając.

— Szesnastego — powiedział Suseł.

— Zapiszcie to — powiedział Król do sędziów, a sędziowie gorliwie zapisali wszystkie trzy daty na swych tabliczkach, dodali je do siebie i nakreślili odpowiedź w **szylingach i pensach**.

— Zdejm swój kapelusz — powiedział Król do Kapelusznika.

— To nie mój — powiedział Kapelusznik.

— Skradziony. — zawołał Król zwracając się ku sędziom, którzy niezwłocznie zanotowali ów fakt.

— Mam je na sprzedaż — dodał dla wyjaśnienia Kapelusznik. — Żaden z nich nie jest moją własnością. Jestem kapelusznikiem.

Na to Królowa włożyła okulary i zaczęła spoglądać surowo na Kapelusznika, który pobladł i zadygotał.

— Złóż zeznanie — powiedział Król — i nie zachowuj się tak nerwowo, bo każę cię bezzwłocznie stracić.

Nie ośmieliło to świadka w najmniejszym stopniu: nadal przestępował z nogi na nogę, spoglądając niepewnie na Królową w takim popłochu, że w końcu, zamiast chleba z masłem, odgryzł i połknął wielki kawałek filiżanki.

Właśnie w tej chwili Alicja doznała niezwykle zagadkowego wrażenia, które ogromnie ją zdumiało, nim pojęła, co ono oznacza: ponownie zaczęła się powiększać. W pierwszej chwili chciała wstać i wyjść z sali rozpraw, ale już w następnej zdecydowała, że pozostanie na miejscu tak długo, jak długo będzie mogła się tu pomieścić.

— Może byś przestała tak cisnąć na mnie — powiedział siedzący przy niej Suseł. — Ledwie oddycham.

— Nic na to nie poradzę — powiedziała Alicja, jak najbardziej pojednawczo. — Rosnę.

— Nie wolno ci rosnać tutaj — powiedział Suseł.

— Przestań mówić nonsensy — powiedziała Alicja zuchwałe. — Sam wiesz, że i ty rośniesz.

— Tak, ale ja rosnę w rozsądnym tempie — powiedział Suseł — a nie w tak zwariowany sposób. — Wstał zagniewany i przeszedł na drugi koniec sali.

W ciągu całego tego czasu Królowa ani na chwilę nie spuściła oczu z Kapelusznika i właśnie wtedy, gdy Suseł szedł przez salę rozpraw, powiedziała do jednego z woźnych trybunalskich: — Przynieś mi spis tych, którzy śpiewali podczas ostatniego koncertu! — na co nieszczęsny Kapelusznik zadygotał tak, że strząsnął sobie z nóg buty.

— Złóż zeznanie — powtórzył gniewnie Król — albo każę cię stracić bez względu na to, czy będziesz zachowywał się nerwowo, czy nie.

— **Jestem jeno nędznym człeczyną, proszę Majestatu** — rozpoczął rozdygotanym głosem Kapelusznik — i nie zacząłem nawet pić herbaty... to znaczy, zacząłem mniej więcej tydzień temu... a kromki chleba są coraz cieńsze i masła też jest coraz cieniej... kiedy zaczyna się patrzeć na te trzepotania herbaty...

— Trzepotania czego? — powiedział Król.

— Właśnie, kiedy zaczyna się na te trzepotania... — powiedział Kapelusznik i urwał.

— Wiem, oczywiście, że trzepotanie zaczyna się na T! — powiedział Król ostro. — Czy sądzisz, że jestem półgłówkiem? Jazda!

— Jestem jeno marnym człeczyną — powtórzył Kapelusznik — i większość rzeczy zaczęła trzepotać później... ale Marcowy Zajac mówił...

— Nie mówiłem — przerwał Marcowy Zajac z pośpiechem.

— Mówiłeś! — powiedział Kapelusznik.

— Przeczę temu! — powiedział Marcowy Zajac.

— On temu przeczy — powiedział Król — wykreślcie tę część zeznania.

— Jeśli tak, to Suseł mówił... — ciągnął Kapelusznik obejrzawszy się za siebie, żeby stwierdzić, czy Suseł także nie zaprzeczy, ale Suseł nie przeczył niczemu, gdyż spał już głęboko.

— Później — powiedział Kapelusznik — ukroiłem sobie trochę chleba z masłem...

— Ale co mówił Suseł? — zapytał jeden z sędziów.

— Nie mogę sobie przypomnieć — powiedział Kapelusznik.

— Musisz sobie przypomnieć — rzucił Król — albo każę cię stracić.

Nieszczęsny Kapelusznik przyklęknął na jedno kolano, upuszczając przy tym na ziemię filiżankę i chleb z masłem. — Jestem jeno nędznym człeczyną, proszę Majestatu... — zaczął.

— Jesteś bardzo nędznym mówcą — powiedział Król.

Tu jedna z dwu świnek morskich zaczęła wznosić okrzyki i została niezwłocznie stłumiona przez **woźnych trybunalskich**. (Ponieważ jest to dość trudne słowo, wyjaśnię wam tylko sposób, w jaki tego dokonano. Mieli oni wielki wór z żaglowego płótna, ściągany u wylotu sznurkiem: wrzucili do niego głową w dół świnkę morską, a później usiedli na nim).

„Cieszę się, że zobaczyłam, jak się to robi — pomyślała Alicja. — Jakże często czytuję w gazetach, że po zakończeniu rozprawy: „były pewne próby głośnego aplauzu, niezwłocznie stłumione przez woźnych trybunalskich” i do tej pory nie mogłam pojąć, co te słowa oznaczają”.

— Jeśli nie wiesz więcej, możesz zstąpić z miejsca dla świadków — ciągnął dalej Król.

— Nie mogę nigdzie zstąpić — powiedział Kapelusznik — bo już jestem na podłodze.

— Więc możesz sięść — odparł Król. Tu zaczęła wiwatować druga świnka morska i została stłumiona.



„No, to załatwia do końca sprawę świnek morskich — pomyślała Alicja. — Teraz pójdzie szybciej”.

— Chciałbym dopić herbatę — powiedział Kapelusznik rzucając pełne niepokoju spojrzenie na Królową, która odczytywała wykaz śpiewaków.

— Możesz odejść — powiedział Król, a Kapelusznik opuścił pędem salę rozpraw, nie zatrzymując się nawet dla włożenia butów.

— ... a utnijcie mu głowę tam, na zewnątrz... — rzuciła Królowa jednemu z oficerów, lecz Kapelusznik zniknął im z oczu, nim oficer zdążył dotrzeć do drzwi.

— Zaweźwać kolejnego świadka! — powiedział Król.

Kolejnym świadkiem była Kucharka Księżny. W ręce trzymała pieprzniczkę i nim weszła do sali rozpraw, Alicja odgadła, kto nadchodzi, gdyż ludzie w pobliżu drzwi zaczęli natychmiast kichać.

— Złóż zeznanie — powiedział Król.

— Nie złożę — powiedziała Kucharka.

Król zerknął niepewnie na Białego Królika, który powiedział przyciszonym głosem: — Wasz Majestat musi przesłuchać tego świadka i zadać mu pytania.

— Cóż, jeśli muszę, to muszę — powiedział Król melancholijnie, skrzyżował ramiona i zmarszczywszy brwi, tak że oczy niemal zniknęły pod nimi, zaczął wpatrywać się w Kucharkę, aż wreszcie powiedział głębokim głosem: — Z czego robi się ciasteczka?

— Z pieprzu, głównie — powiedziała Kucharka.

— Z melasy — powiedział rozespany głos za jej plecami.

— Pochwyćcie Susła! — krzyknęła Królowa. — Utnijcie głowę Susłowi! Wyrzućcie Susła z sali sądu! Stłumcie go! Szczypcie go! Utnijcie mu wąsy!

W ciągu kilku minut, gdy zabierano się do wyrzucenia Susła za drzwi, sala rozpraw przedstawiała obraz zupełnego chaosu; a nim uspokoiło się ponownie, Kucharka zniknęła.

— Mniejsza o to! — powiedział Król z wyraźną ulgą. — Zaweźwać kolejnego świadka! — I dodał przyciszonym głosem, zwracając się do Królowej: — Naprawdę, moja droga, ty musisz przesłuchać kolejnego świadka. Głowa mi już pęka od tego wszystkiego.

Przyglądając się Białemu Królikowi, który bezradnie usiłował uporządkować spis zeznających, Alicja była bardzo ciekawa, kto będzie kolejnym świadkiem. — ... Bo zbyt wielu dowodów nie zebrali jeszcze do tej pory — powiedziała do siebie. Wyobraźcie sobie jej zdumienie, gdy Biały Królik, wyteżywszy do granic ostatecznych swój nikły piskliwy głos, odczytał imię: — Alicja!

Rozdział XII

Świadectwo Alicji

Jestem! — zawołała Alicja i zapominając w chwilowym podnieceniu o tym, jak bardzo urosła w ciągu ostatnich kilku minut, poderwała się pośpiesznie, zahaczając rąbkiem spódniczki o róg ławy przysięgłych i wywracając ją na głowy tłumu widzów, wraz z sędziami, którzy upadli i znieruchomieli porozrzucani beładnie to tu, to tam, przypominając jej wypadek ze szklaną kulą pełną złotych rybek, którą wyrzuciła nieumyślnie przed tygodniem.

— Och, błagam o wybaczenie! — zawołała przestraszonym głosem i zaczęła podnosić ich jak najspieszniej, bo wypadk ze złotymi rybkami nadal błędził jej po głowie, powodując niejasne przeświadczenie, że pośpiech jest konieczny, bo jeśli nie pozbiera ich od razu i nie posadzi ponownie na ławie przysięgłych, zginą.

— Rozprawa musi zostać przerwana — powiedział Król z największą powagą — do chwili, nim wszyscy sędziowie przysięgli nie znajdą się ponownie na swych miejscach... wszyscy — powtórzył z wielkim naciskiem, a mówiąc to spojrział karcącym wzrokiem na Alicję. Alicja spojrzała na ławę przysięgłych i dostrzegła, że przed chwilą wetknęła w nią Jaszczurkę głową w dół, a biedne małe stworzonko wymachiwało teraz melancholijnie ogonem nie mając najmniejszej możliwości wydostania się z opresji. Niezwłocznie wydobyła **biedactwo** i posadziła prawidłowo. — Nie dlatego, żeby to miało większe znaczenie — powiedziała do siebie — myślę, że podczas rozprawy jest równie użyteczne z jednej strony jak z drugiej.

Gdy przysięgli powrócili do równowagi po upadku i wręczono im ponownie ich odnalezione tabliczki i ołówki, wzięli się gorliwie do spisywania przebiegu tego wydarzenia, wszyscy prócz Jaszczurki, która zdawała się nazbyt wstrząśnięta, by uczynić cokolwiek poza nieruchomym wpatrywaniem się w sufit sali rozpraw, zagapiona z otwartymi ustami.

— Cóż wiesz o tym wydarzeniu? — powiedział Król do Alicji.

— Nic — powiedziała Alicja.

— Nic zupełnie! — nalegał Król.

— Nic zupełnie — powiedziała Alicja.

— To bardzo ważne — powiedział Król zwracając się ku ławie przysięgłych, którzy zaczęli zapisywać to na swych tabliczkach, gdy Biały Królik przerwał: — Nieważne, oczywiście, ma na myśli Jego Majestat — powiedział pełnym szacunku głosem. Lecz mówiąc to zmrużył oczy i patrząc na Króla wykrzywił twarz w porozumiewawczym grymasie.

— To jasne, że miałem na myśli „nieważne” — powiedział szybko Król i dalej ciągnął przyciszonym głosem, mówiąc do siebie: — ważne... nieważne... nieważne... ważne... jakby chciał wypróbować, które z tych słów lepiej zabrzmi.

Niektórzy sędziowie zapisali „ważne”, inni „nieważne”. Alicja dostrzegła to stojąc tak blisko nich, że mogła spoglądać z góry na ich tabliczki. — Ale nie ma to najmniejszego znaczenia — powiedziała do siebie.



W tej samej chwili Król, który od pewnego czasu pisał pracowicie w notatniku, zawołał: — Cisza! — i odczytał z książki: — Przepis czterdziesty drugi. Osoby, których wzrost przekracza jedną milę, niechaj opuszczą salę rozpraw.

Wszystkie oczy spoczęły na Alicji.

— Mój wzrost nie przekracza jednej mili — powiedziała Alicja.

— Przekracza — powiedział Król.

— Niemal dwie mile — dodała Królowa.

— Cóż, tak czy inaczej, nie odejdę — powiedziała Alicja — a poza tym, to nie jest **przepisowy przepis**: wymyśliłeś go przed chwilą.

— To najstarszy przepis w księdze — powiedział Król.

— Więc powinien być oznaczony Numerem Pierwszym — powiedziała Alicja.

Król przybladł i pospiesznie zamknął notatnik. — Rozważcie wasz wyrok — powiedział do sędziów zamierającym, rozdygotanym głosem.

— Będzie jeszcze więcej materiałów dowodowych, za pozwoleniem Jego Majestatu — powiedział Biały Królik zrywając się gwałtownie z miejsca — znaleziono ten oto papier.

— Cóż on zawiera? — spytała Królowa.

— Jeszcze go nie otwarłem — powiedział Biały Królik — ale zdaje się, że jest to list napisany przez oskarżonego do... do kogoś.

— W takim razie musi to być list — powiedział Król — w przeciwnym wypadku musiałby być napisany do nikogo, co, jak wiesz, bywa rzeczą raczej niecodzienną.

— Do kogo jest skierowany? — zapytał jeden z sędziów.

— Nie jest skierowany do kogokolwiek — powiedział Biały Królik. — Szczerze mówiąc, na zewnątrz niczego nie napisano. — Rozpostarł papier i dodał: — Okazuje się, że to w ogóle nie jest list: to zbiór rymowanych strofek.

— Czy zostały one nakreślone ręką oskarżonego? — zapytał drugi sędzia.

— Nie — powiedział Biały Królik — wcale nie, i to jest właśnie najdziwniejsze.

(Na obliczach wszystkich przysięgłych odbiło się zdumienie).

— W takim razie musiał naśladować cudzą rękę — powiedział Król. (Oblicza wszystkich przysięgłych rozjaśniły się).

— Za przyzwoleniem Jego Majestatu — powiedział Walet — nie napisałem tego i nie będą mogli mi dowieść, że tak uczyniłem: nikt inny nie jest podpisany u dołu.

— Jeżeli nie podpisałeś go — powiedział Król — pogarsza to tylko sprawę. Musiałeś mieć na myśli jakąś nikczemność, inaczej podpisałbyś się własnym imieniem jak człowiek honoru.

Zagrzmiały oklaski: były to pierwsze naprawdę rozsądne słowa wypowiedziane tego dnia przez Króla.

— To, oczywiście, dowodzi, że jest winien — powiedziała Królowa — więc utnijcie mu gł...

— Nie dowodzi niczego podobnego! — powiedziała Alicja. — Przecież nie dowiedzieliście się jeszcze, o czym mówią te strofki.

— Odczytać je — powiedział Król.

Biały Królik włożył okulary. — Od którego miejsca każe mi Jego Majestat rozpocząć? — zapytał.

— **Rozpocznij od początku** — odpowiedział Król z największą powagą — a później czytaj, póki nie dotrzesz do końca: wtedy przestań czytać.

W sali rozpraw nastało grobowe milczenie, a Biały Królik odczytał następujące strofy:

Mówili mi, że u niej byłaś,
By przy nim o mnie się odzywać.
Usposobienie me chwaliła,
Lecz rzekła, że nie umiem pływać.
Że nie odszedłem, dał znać wszędzie,
(Choć prawda to, my wiemy swoje):
Gdy ona znów nalegać będzie,
Jak się potoczą losy twoje?
Jedno jej dałem, dwa mu dały,
A ty nam dałaś trzy lub więcej;
Choć przedtem do mnie należały,
On ci je zwrócił jeszcze prędej.
Gdy ona, ja lub my oboje
Damy się wciągnąć w tę aferę,
Zwróć wolność im, on wierzy w twoje
Wobec nas chęci, wielce szczerze.
Więc pomyślałem, jaka szkoda,
(Nim nią wstrząsnęły te ataki)
Ze tak wyrosłaś jak przeszkoda
Między nim, nami a czymś takim.

Nie zdradź mu, jak je polubiła;
 Niech ani słyszą, ani widzą
 Inni, by rzecz ta wiecznie była
 Twoją i moją tajemnicą.

— Jest to najważniejszy dowód, jaki nam do tej pory przedstawiono — powiedział Król, zacierając ręce. — Więc niechaj teraz sędziowie przysięgli...

— Jeżeli którykolwiek z nich potrafi to wyjaśnić — powiedziała Alicja (urośła tak bardzo w ciągu ostatnich kilku minut, że ani trochę nie obawiała się przerwać mu) — dam mu sześć pensów. Ja nie wierzę, aby był zawarty w tym całym utworze choćby jeden atom jakiegokolwiek znaczenia. Przysięgli zapisali na swych tabliczkach: „Ona nie wierzy, aby był



w tym zawarty choćby atom jakiegokolwiek znaczenia” — ale żaden z nich nie spróbował wyjaśnić treści wiersza.

— Gdyby nie miał on żadnego znaczenia — powiedział Król — oszczędziłoby to nam całego morza kłopotów, jak wiesz, gdyż nie musielibyśmy próbować go odnaleźć. A przecież nie jestem tego wcale pewien — ciągnął rozłożywszy strofy na kolanie i zerkając na nie jednym okiem. — Wydaje mi się, że widzę w nich pewne znaczenie... rzekła, że nie umiem pływać... Nie umiesz pływać, co? — dodał zwróciwszy się do **Waleta**.

Walet potrząsnął głową ze smutkiem. — Czy wyglądam, jak gdybym mógł umieć? — powiedział. (Na co z pewnością nie wyglądał, gdyż był całkowicie wykonany z tektury).

— W porządku, jak do tej pory — powiedział Król i ciągnął dalej mruczając pod nosem: — Choć prawda to, my wiemy swoje... To ława przysięgłych, oczywiście... Gdy ona znów nalegać będzie...

To musi być Królowa... Jak się potoczą losy twoje?... Jak, rzeczywiście!... Jedno jej dałem, dwa mu dały... Cóż, to właśnie to, co zapewne zrobił z tymi ciasteczkami, jak widzisz...

— Ale dalej jest: on ci je zwrócił jeszcze prędzej — powiedziała Alicja.

— Cóż, oto są tutaj! — powiedział Król tryumfalnie, wskazując leżące na stole ciasteczka. — Nic nie może być jaśniejsze niż to! A jeszcze... Nim nią wstrząsnęły te ataki... sądzę, że nigdy nie miewałaś ataków, moja droga? — powiedział do Królowej.

— Nigdy! — powiedziała wściekle Królowa i mówiąc to cisnęła kałamarzem w Jaszczurkę. (Nieszczęsny mały Bili przestał pisać na tabliczce jednym palcem, odkrywszy, że nie pozostawia on śladu, lecz teraz pospiesznie zaczął od nowa, używając, póki się da, atramentu ściekającego mu po twarzy).

— Więc nie chodziło tu o twój atak, a tak myślałem — powiedział Król rozglądając się z uśmiechem po sali. Zapanowało grobowe milczenie. — To był żart! — dodał Król gniewnym głosem i wszyscy roześmieli się. — Niechaj sędziowie rozważą swój wyrok — powiedział Król po raz mniej więcej dwudziesty w tym dniu.

— Nie, nie! — powiedziała Królowa. — Najpierw wyrok, a potem niech rozważają!

— Głupstwo i nonsens! — powiedziała jak najgłośniejsze Alicja. — Cóż to za pomysł: najpierw wydawać wyrok, a rozważać go później!

— **Zamknij buzię!** — powiedziała Królowa czerwieniejąc.

— Nie zamknę! — powiedziała Alicja.

— Uciąć jej głowę! — wrzasnęła Królowa na cały głos. Nikt nie poruszył się.

— A któż się z wami liczy? — powiedziała Alicja, która osiągnęła w tej chwili swój zwykły wzrost. — Jesteście tylko zwykłą talią kart!

Na te słowa cała talia uniosła się w powietrze i pofrunęła w jej kierunku; krzyknęła cicho, na pół lękliwie, na pół gniewnie, starając się odpędzić je, i znalazła się na brzegu z głową wspartą na kolanach siostry próbującej delikatnie usunąć z jej twarzy kilka zwiędłych liści, które opadły z drzew. — Zbudź się, Alicjo, moja miła! — powiedziała siostra. — A cóż to się stało, że tak długo spałaś?

— Och, miałam taki zdumiewający sen! — powiedziała Alicja. I opowiedziała siostrze, tak jak je zapamiętała, przedziwne **Przygody**, o których właśnie czytaliście; a gdy skończyła, siostra pocałowała ją i powiedziała: — To był rzeczywiście zdumiewający sen, moja miła, ale teraz biegnij, bo już herbatka czeka: robi się późno. — Więc Alicja zerwała się i pobiegła, a biegnąc myślała o tym, jak cudowny był to sen.

Ale siostra jej nadal siedziała nieruchomo tam, gdzie Alicja ją pozostawiła, z głową wspartą na dłoni, przyglądając się zachodzącemu słońcu, myśląc o małej Alicji i tych wszystkich jej cudownych Przygodach, póki i ona nie zaczęła snić na swój sposób, a sen jej był taki:

Najpierw przyśniła się jej malutka Alicja: raz jeszcze drobne rączki zaplotły się na jej kolanie, a błyszczące, ciekawe oczy zajrzały w jej oczy... wsłuchiwała się w falowanie głosu i dostrzegała ów śmieszny niewielki ruch głowy, którym Alicja odgarniała zabłąkany kosmyk włosów nieustannie spadający na oczy... a gdy tak słuchała, a raczej zdawało jej się, że słucha, cała okolica ożywiła się i wypełniła dziwnymi stworzeniami ze snu jej maleńkiej siostrzyczki.

Wysoka trawa zaszeleściła u stóp, gdy przebiegł pośród niej Biały Królik... przestraszona Myszka przepłynęła z pluskiem sąsiednią sadzawkę... udało jej się nawet usłyszeć szcęk filizanek, gdy Marcowy Zając i jego przyjaciele spożywali swój nie kończący się posiłek, i piskliwy głos Królowej nakazujący egzekucję jej nieszczęsnych gości. Raz jeszcze kichnął prosiak-dziecko na kolanach Księżny, pośród roztrząskujących się naokół garnków i półmisek... raz jeszcze wrzask Gryfa, skrzyp ołówka Jaszczurki i dławienie się stłumionych świnek morskich, zmieszane z odległym łkaniem Żółwiciela, wypełniły powietrze.

Na pół uwierzywszy w Krainę Czarów siedziała z opuszczonymi powiekami, choć wiedziała, że wystarczy unieść je znowu i wszystko przemieni się w nudną rzeczywistość... to



tylko wiatr będzie szeleścił w trawach, sadzawka zaszemrze rozkołysana ruchem trzciny... szcękające filiżanki przemienia się w dzwoneczki owiec, a piskliwe okrzyki Królowej w głos pastuszka... kichanie niemowlęcia, wrzask Gryfa i wszystkie inne przedziwne dźwięki przemienia się (wiedziała o tym) w pomieszane głosy dobiegające z wiejskiego obejścia... nawet żalosny lament Żółwiciela także okaże się nauczaniem bydła.

W końcu wyobraziła sobie, że gdy jej maleńka siostrzyczka przemieni się w czasie, który nadejdzie, w dorosłą kobietę, zachowa przez wszystkie dojrzałe lata szczere i pełne miłości serce dzieciństwa; będzie zwoływała ku sobie gromadkę innych małych dzieci i sprawi, że ich oczy zabłysną ciekawie przy wielu przedziwnych opowieściach, być może nawet o owym dawno minionym śnie w Krainie Czarów; i będzie współczuła ich niewielkim smutkom znajdując radość w ich niewielkich uciechach i wspominając swe własne, radosne dni lata.

Część 2

**O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie
lustra**



Dziecko o czole jasnym, świeżym
I oczach czarodziejsko lśniących!
Choć życie między nami leży
I czas nas dzieli szybko mknący,
Twą miłość uśmiech twój ukaże,
Gdy, miłą, bajką cię obdarzę.

Ucichł w mych uszach śmiech srebrzysty
I zaszło twarzy twojej słońce;
Już nigdy o mnie nie pomyślisz
W latach młodości nadchodzącej...
Lecz już niczego więcej nie chcę;
Dość, gdy wysłuchać bajki zechcesz.

Bajki zrodzonej w dniach minionych,
Która jak dzwonka dźwięk się niosła;
Wśród lata dni rozpromienionych
W jej rytmie były nasze wiosła...
Echo jej wciąż powraca do mnie,
Choć czas zły każe: „Masz zapomnieć!”

Więc mnie wysłuchaj, choć dokoła
Gorzki głos trwogi nieustannej
Do nieprzytulnych łóżek woła
Melancholijne, smutne panny!
Gdyż my, jak dzieci nieco większe,
Do łóżek nie pójdziemy jeszcze.

Na zewnątrz wicher jak szalony
Dmie w oczy śniegiem wśród ciemności;
Wewnątrz kominka blask czerwony
I dziecko w gniazdku swej radości.
Magią słów moich cię zachwyczę,
Nie będziesz zważać na śnieżycę.

A choć w opowieść tę się wplata
Jak nikły cień westchnienie małe,
Gdy żegna „dni szczęśliwe lata”
I lata przeminioną chwałę,
Ow podmuch nawałnicy ciemnej

Rozdział I

Dom po Drugiej Stronie Lustra



Jedno było pewne, biały kociak nie miał w tym żadnego udziału: wina leżała całkowicie po stronie czarnego kociaka. Gdyż w ciągu ostatniego kwadransa stara kotka myła buzię białemu kociakowi (który, zważywszy okoliczności, znosił to znakomicie), więc, jak widzicie, nie mógł przyłożyć ręki do tej psoty.

Dina myła buzię swoich dzieci w sposób następujący: najpierw przytrzymywała biedne stworzonko za ucho jedną łapą, a drugą pocierała jego buzię dokoła, od prawej do lewej, rozpoczynając w okolicy noska. Właśnie w tej chwili, jak powiedziałem, trudziła się nad białym kotkiem, który leżał zupełnie spokojnie próbując mruczeć — i wierząc bez wątpienia, że to wszystko było pomyślane dla jego dobra.

Ale praca nad czarnym kotkiem została ukończona już wcześniej tego popołudnia; i tak, podczas gdy Alicja siedziała skulona w wielkim fotelu, trochę senna, a trochę pogrążona w rozmowie z samą sobą, kociak rozfiglował się niesłychanie wokół motka wełny, który Alicja starała się zmotać, i toczył go tak długo to tu, to tam, póki motek znowu całkowicie się nie rozmotał; i oto wyglądał teraz jak płatanina leżących na dywanie przed kominkiem supełków i węzełków, a kociak tańczył pośrodku ścigając własny ogon.

— Och, ty paskudne, paskudne stworzonko! — zawołała Alicja, chwytając kotka i obdarzając go pocałunkiem, który powinien był przyjąć jako naganę. — Naprawdę, Dina powinna nauczyć cię lepszych manier! Powinnaś była, Dino, wiesz przecież, że powinnaś! — dodała spoglądając z wyrzutem na kotkę i przemawiając głosem tak zagniewanym, jak tylko umiała... Później wgramoliła się z powrotem na fotel zabierając z sobą kociaka i rozmotaną wełnę, żeby znów ją zmotać w kulę. Ale nie szło jej to bardzo szybko, bo przez cały czas przemawiała, raz do kociaka, to znowu do siebie. Kociak siedział bardzo potulnie na jej kolanie, udając,

że śledzi jej pracę; od czasu do czasu wysuwał łagodnie łapkę i dotykał motka, jak gdyby ukazując, że chętnie pomógłby, gdyby umiał. — Czy wiesz, co jutro będzie, Kiciu? — zaczęła



Alicja. — Zgadłbyś, gdybyś był przy oknie ze mną...ale Dina myła cię, więc nie mogłeś. Przyglądałam się chłopcom, zbierającym patyki na ognisko...i było tych patyków okropnie wiele, Kiciu! Tylko, że zrobiło się tak zimno i padał taki śnieg, że musieli przerwać. Nie przejmuj się, Kiciu, pójdziemy jutro przyjrzeć się ognisku. — Tu Alicja okręciła dwu- czy trzykrotnie wełną szyję kotka, żeby zobaczyć, jak będzie mu w tym do twarzy: doprowadziło to do utarczki, podczas której motek upadł na podłogę i odwinęły się go ponownie całe jardy.

— Czy wiesz, Kiciu, że byłam bardzo rozzłoszczona — powiedziała Alicja, gdy znowu usiedli wygodnie — kiedy zobaczyłam, ile napsociłeś! Chciałam otworzyć okno i wyrzucić cię na śnieg! I zasłużyłbyś na to, ty małe paskudne kochanie! Co masz do powiedzenia na swoją obronę! Nie przerywaj mi! — ciągnęła, unosząc ostrzegawczo palec. — Mam zamiar powiedzieć ci o wszystkich twoich przewinieniach. Po pierwsze, pisałeś dwa razy, kiedy Dina myła ci buzię dziś rano. Nie możesz zaprzeczyć temu, Kiciu, bo sama cię słyszałam! Co mówisz? — (udając, że kociak przemówił): — Że wsadziła ci łapkę do oka? Cóż, to była twoja wina, że miałeś otwarte oczy...gdybyś je mocno zamknął, nie przydarzyłoby się to. A teraz nie próbuj żadnych więcej wymówek, tylko posłuchaj! Po drugie, pociągnąłeś Snieżyczkę za ogon, kiedy postawiłam przed nią spodeczek z mlekiem! Co, chciało ci się pić? Czy być może? A skąd wiesz, że jej się nie chciało? A teraz, po trzecie, odmotaleś caluteńką wełnę, kiedy nie patrzyłam!

To trzy wykroczenia, Kiciu, i nie zostałeś ukarany za żadne z nich do tej pory. Wiesz, że zbieram wszystkie kary dla ciebie i odkładam je do środy...Przypuśćmy, że zbieraliby tak wszystkie moje kary! — ciągnęła, mówiąc teraz nie do kotka, lecz do siebie. — Cóż by musieli uczynić pod koniec roku? Posłano by mnie do więzienia, jak przypuszczam, kiedy

nadszedłby ten dzień. Albo...zastanówmy się...przypuśćmy, że każda kara, to byłoby pójście spać bez kolacji: wówczas, kiedy wreszcie nadszedłby ten nieszczęsny dzień, musiałabym się obyć bez pięćdziesięciu kolacji na raz! Cóż, nie bardzo bym się tym przejęła! Sto razy wolę obywać się bez nich, niż jeść je!

Czy słyszysz śnieg na szybach, Kiciu? Jaki to miły i miękki dźwięk! Jak gdyby ktoś obcałowywał całe okna od zewnątrz. Ciekawa jestem, czy śnieg kocha drzewa i pola, jeżeli całuje je tak delikatnie? A poza tym, otula je miękko białą kołderką i może mówi im: „Uśnijcie, najmilsze, śpijcie, póki nie powróci lato”. A kiedy lato budzi je, Kiciu, ubierają się w zieleń i tańczą...kiedy wietrzyk wieje...och, to musi być bardzo ładne! — zawołała Alicja, upuszczając motek wełny, żeby klasnąć w ręce. — I jak bardzo bym chciała, żeby to była prawda! Pewna jestem, że lasy wyglądają sennie, kiedy liście robią się brązowe.

Kiciu, czy umiesz grać w szachy? Nie uśmiechaj się, kochanie, pytam zupełnie serio. Bo kiedy graliśmy niedawno, przyglądałeś się tak, jakbyś rozumiał, a kiedy powiedziałam: „Szach!”, zaczęłaś mruczeć! Cóż, był to bardzo ładny szach, Kiciu, i naprawdę mogłam wygrać, gdyby nie ta paskudna wieża, która wkręciła się pomiędzy moje figury...Kiciu, kochanie, spróbujmy udawać, że... — I tu pragnąłbym opowiedzieć wam choćby o połowie rzeczy, które Alicja wypowiadała, rozpoczynając od swego ulubionego: „Spróbujmy udawać, że...” Zaledwie wczoraj miała długą sprzeczkę z siostrą...a wszystko dlatego, że zaczęła: „Spróbujmy udawać, że jesteśmy królami i królowymi”, a siostra jej, skłonna zwykle do jak największej dokładności, powiedziała, że nie mogą, gdyż jest ich tylko dwie; więc Alicja była w końcu zmuszona powiedzieć: „No cóż, w takim razie ty bądź jednym z nich, a ja będę wszystkimi pozostałymi”. A razu pewnego naprawdę przestraszyła swą starą nianię, gdy nagle krzyknęła jej do ucha: „Niani! Spróbujmy udawać, że jestem głodną hieną, a ty kością!”

Lecz odwołuje nas to od przemówienia wygłoszonego przez Alicję do kociaka. — Spróbujmy udawać, że jesteś Czerwoną Królową, Kiciu! Czy wiesz, że gdybyś usiadł i splótł ręce, wyglądałbyś zupełnie jak ona. No, spróbuj, kochanie! — I zdjąwszy Czerwoną Królowę ze stołu Alicja postawiła ją przed kotkiem jako model do naśladowania. Przedsięwzięcie to nie zakończyło się sukcesem, gdyż, jak powiedziała Alicja, kociak nie chciał usiąść z rękami splecionymi w odpowiedni sposób. Więc, by go ukarać, uniosła go do Lustra, żeby sam mógł zobaczyć, jaki jest paskudny. — ...I jeżeli zaraz nie będziesz grzeczniejszy, wsadzę cię do Domu po Drugiej Stronie Lustra. No, i jak by ci się to podobało?

A teraz, jeżeli tylko spróbujesz posłuchać, Kiciu, i nie będziesz tyle mówił, opowiem ci o wszystkim, co myślę o Domu po Drugiej Stronie Lustra. Najpierw, jak widzisz, jest tam pokój, który można zobaczyć w głębi...jest zupełnie taki sam jak nasz salon, tylko że wszystkie rzeczy stoją po przeciwnej stronie. Mogę go obejrzeć w całości, kiedy wejdę na krzesło...nie widzę tylko tego kącika, tuż za kominkiem. Och! Och, jak bardzo chciałabym zobaczyć ten kącik! Tak bardzo chciałabym wiedzieć, czy mają oni tam zimą ogień na kominku: nie można tego stwierdzić, wiesz, chyba że nasz kominek zacznie dymić, a wtedy dym zaczyna kłębić się i w tamtym pokoju...ale to może być przecież tylko na niby, żeby wyglądało, że oni też tam mają ogień. No cóż, książki podobne tam są do naszych książek, tyle tylko, że słowa biegną w złym kierunku; wiem o tym, bo przyłożyłam jedną z naszych książek do lustra, a wtedy oni w tamtym pokoju też to zrobili z jedną ze swoich.

Czy chciałbyś mieszkać w Domu po Drugiej Stronie Lustra, Kiciu? Ciekawa jestem, czy dawaliby ci tam mleko? Może to Lustrzane mleko nie nadaje się do picia...Ale, och, Kiciu! Oto jest korytarz. Jeżeli otworzysz drzwi naszego salonu, zobaczysz malusieńki skrawek korytarza w Domu po Drugiej Stronie Lustra: i jak głęboko wzrok sięga, jest on bardzo podobny do naszego korytarza, tylko, wiesz, tam dalej może być zupełnie inny. Och, Kiciu! Jak miło byłoby przedostać się do Domu po Drugiej Stronie Lustra! Jestem pewna, że są tam, och, takie

piękne rzeczy! Spróbujmy udać, że znaleźliśmy sposób przedostania się tam, Kiciu. Spróbujmy udać, że szkło stało się miękkie jak gaza, tak żebyśmy się mogli tam przedostać. Ależ ono naprawdę zaczyna falować jak mgła! Z łatwością będzie można się przedostać... — Mówiąc to znalazła się na obramowaniu kominka, choć nie umiała powiedzieć, jak się tam dostała. A szkło naprawdę zaczęło rozwiewać się jak lśniąca, srebrzysta mgiełka. Już w następnej



chwilczce Alicja była po drugiej stronie Lustra i zeskoczyła lekko do Lustrzanego pokoju. Natychmiast spojrzała na kominek, żeby sprawdzić, czy w nim napalono, i z radością stwierdziła, że płonie tam ogień równie jasny jak ten, który pozostawiła po tamtej stronie. „Będzie mi więc tak ciepło, jak w dawnym pokoju — pomyślała Alicja — cieplej nawet, bo nie będzie tu nikogo, kto odpędzi mnie od kominka. Och, cóż to będzie za uciecha, kiedy zobaczą mnie tu w Lustrze i nie będą mogli się do mnie dostać!” Później zaczęła się rozglądać i zauważyła, że wszystko, co można było dostrzec z dawnego pokoju, było zwykłe i nieciekawe, ale cała reszta była tak inna, jak tylko można sobie wyobrazić. Na przykład obrazy na ścianie nad kominkiem wydawały się ożywione, nawet zegar na kominku (wiecie przecież, że w Lustrze



można zobaczyć tylko jego tylną stronę) miał twarz małego staruszka i uśmiechał się do niej.

„Nie sprzątają tego pokoju tak dokładnie, jak sprzątają tamten” — pomyślała Alicja, widząc figury szachowe porozrzucane i tkwiące w popiele przed paleniskiem kominka. Ale już w następnej chwili z cichym zdumionym „Och!” przykucnęła i zaczęła się im przyglądać. Figury szachowe przechadzały się parami!

— Tu jest Czerwony Król i Czerwona Królowa — powiedziała Alicja (szeptem, gdyż bała się ich przestraszyć) — a tam na krawędzi szufelki siedzi Biały Król i Biała Królowa...a tu dwie Wieże idą sobie ramię w ramię...wydaje mi się, że nie mogą mnie słyszeć — ciągnęła zbliżając ku nim głowę — i jestem prawie pewna, że nie mogą mnie widzieć. Wydaje mi się, że jestem jak gdyby niewidzialna...

W tej samej chwili coś zaczęło piszczeć na stole za plecami Alicji i zmusiło ją do odwrócenia głowy w sam czas, żeby mogła dostrzec Białego Pionka, który przewrócił się i zaczął wierzgać. Zaczęła przyglądać mu się z największym zaciekawieniem, żeby zobaczyć, co dalej nastąpi.

— To głos mego dziecka! — krzyknęła Biała Królowa i ruszyła biegiem, potrącając Króla tak gwałtownie, że runął w popiół paleniska. — Moja najdroższa Lily! Moje królewskie

kociątko! — I zaczęła wspinać się rozpaczliwie po kracie kominka.

— Królewskie bzdurzątko! — powiedział Król, pocierając nos stłuczony w czasie upadku. Miał prawo do lekkiego rozdrażnienia spowodowanego zachowaniem Królowej, gdyż od stóp do głów wytarzany był w popiele.

Alicja bardzo chciała pomóc, a że biedna mała Lily aż dławiła się od krzyku, szybko uniosła Królową i postawiła ją na stole tuż obok jej rozwrzeszczanej córeczki. Królowa gwałtownie



wciągnęła powietrze i usiadła; nagle podróż powietrzna odebrała jej oddech tak, że przez minutę lub dwie zdolna była tylko do tulenia swej malutkiej Lily w zupełnym milczeniu. Gdy odzyskała nieco równowagi, zawołała do Białego Króla, który nadal siedział posępnie w popiele:

— Strzeż się wulkanu!

— Jakiego wulkanu? — zapytał Król zerkając niespokojnie w głąb kominka, jak gdyby przypuszczał, że tam właśnie jest najbardziej odpowiednie miejsce, w którym mógłby znajdować się wulkan.

— Wysadził... mnie... w po... wie... trze — wydyszała Królowa, której wciąż jeszcze brakowało tchu. — Wejdz tu... zwykłą drogą... nie daj się wysadzić!

Alicja przyglądała się Białemu Królowi, który mozolnie zaczął wspinać się po kracie kominka; wreszcie powiedziała: — Przecież zajmie ci to nie wiem ile czasu, zanim wdrapiesz się na ten stół. Powinnam ci chyba pomóc, prawda? — Lecz Król nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej zapytanie; było zupełnie jasne, że nie mógł jej ani słyszeć, ani widzieć.

Więc Alicja uniosła go delikatnie i przeniosła o wiele wolniej niż Królową, żeby nie pozbawiać go tchu, ale nim postawiła go na stole, przyszło jej na myśl, że można by go troszeczkę odkurzyć, żeby nie był tak bardzo umazany popiołem. Opowiadała później, że w ciągu całego swego życia nie widziała wyrazu twarzy podobnego do tego, który miał Król, gdy zrozumiał, że niewidzialna dłoń unosi go w powietrzu podczas tego odkurzania; był o wiele zaniepokojony, aby krzyczeć, lecz jego oczy i usta stawały się coraz większe i większe, okrągłejsze i okrągłejsze, póki nie zaczęła śmiać się tak, że dłoń jej zadrżała i omal nie upuściła go na podłogę.

— Och, błagam, nie. rób takich grymasów, kochanie! — zawołała, zapominając zupełnie, że Król nie może jej usłyszeć. — Rozśmieszasz mnie tak, że nie mogę cię utrzymać! I nie rozdziawiaj tak ust! Popiół ci do nich wpadnie... No, teraz chyba jesteś mniej więcej czysty! — dodała, przyczesawszy mu włosy i stawiając go na stole w pobliżu Królowej.



Król niezwłocznie upadł na wznak i leżał zupełnie nieruchomo, tak że Alicję zaniepokoiło to trochę, wstała więc i obeszła pokój w poszukiwaniu choćby odrobiny wody, którą mogłaby go spryskać. Ale znalazła tylko butelkę atramentu, a kiedy powróciła z nią do stołu, zobaczyła, że przyszedł już do siebie i rozmawia przerażonym szeptem z Królową... tak cicho, że Alicji z trudem udało się usłyszeć, o czym rozmawiają.

Król powiedział: — Zapewniam cię, kochanie, że skostniałem aż po koniuszki wąsów!

Na co Królowa odparła: — Nie masz ani odrobiny wąsów.

— Tej straszliwej chwili — ciągnął Król — nigdy, przenigdy nie zapomnę!

— A jednak zapomnisz — powiedziała Królowa — jeżeli nie zanotujesz jej sobie.

Alicja przyglądała się z największym zaciekawieniem, gdy Król wyjął z kieszeni ogromny notatnik i zaczął pisać. Uderzona nagłą myślą ujęła koniec ołówka, który wystawał trochę spoza jego ramienia, i zaczęła pisać.

Biedny, zaskoczony Król walczył w milczeniu przez pewien czas z ołówkiem; lecz Alicja była zbyt silnym przeciwnikiem i w końcu powiedział zupełnie bez tchu: — Kochanie, naprawdę muszą się postarać o cieńszy ołówek. Zupełnie nie mogę sobie z tym dać rady; wypisuje najrozmaitsze rzeczy, których w ogóle nie mam zamiaru napisać...

— Jakie rzeczy? — powiedziała Królowa zerkając do notesu (w którym Alicja zanotowała: „Biały Rycerz ześlizguje się wzdłuż pogrzebacza. Bardzo źle utrzymuje równowagę”). — To nie jest zapis twoich uczuć!

Na stole w pobliżu Alicji leżała książka, więc przyglądając się nadal Białemu Królowi (gdyż wciąż jeszcze niepokoiła się o niego i trzymała w pogotowiu butelkę atramentu, którym chciała go oblać, gdyby zemdłał ponownie) przewróciła kilka kartek, żeby znaleźć jakiś fragment nadający się do odczytania. — ...Bo wszystko to napisano w języku, którego nie znam — powiedziała do siebie. A brzmiało to tak:

DŹABBERSMOK
 Było smaszno, a jaszmijie smutkwijie
 Zwidrokretnie na zedwiku wężały
 Feliczaple stały smutchoijie
 I zpląkinie rzkoświstąkają.



Zdumiona, zastanawiała się nad tym przez pewien czas, lecz w końcu rozbłysła jej nagła myśl: „Oczywiście, to Lustrzana książka! Jeśli przyłożę ją do Lustra, słowa ułożą się znowu prawidłowo”.

A oto poemat, który Alicja odczytała:

DŻABBERSMOK

Było smaszno, a jasmije smukwijnie
Świdrokrętnie na zegwniku wężały,
Peliczaple stały smutcholijne
I zbłąkinie rykoświstąkały.

„Ach, Dżabbersmoka strzeż się, strzeż!
Szponów jak kły i tnących szczęk!
Drżysz, gdy nadpełga Banderzwierz
Lub Dżubdżub ptakojęk!”

W dłoń ujął migbłystalny miecz,
Za swym pogromnym wrogiem mknie...
Stłumiwszy gniew, wśród Tumtum drzew
W zadumie ukrył się.

Gdy w czarsmutśleniu cichym stał,
Płomiennooki Dżabbersmok
Zagrzmudnił pośród srożnych skał,
Sapgulcząc poprzez mrok!

Raz-dwa! Raz-dwa! I ciach! I ciach!
Miecz migbłystalny świstotnie!
Łeb uciął mu, wziął i co tchu
Galumfujaco mknie.

„Cudobry mój, uściśnij mnie,
Gdy Dżabbersmoka ściął twój cios!
O wielny dniu! Kalej! Kalu!”
Śmieselił się rad w głos.

Było smaszno, a jasmije smukwijnie
Świdrokrętnie na zegwniku wężały,
Peliczaple stały smutcholijne
I zbłąkinie rykoświstąkały.



— Wydaje się bardzo ładne — powiedziała, gdy skończyła czytać — ale trochę trudno to zrozumieć! — (Widzicie, nie chciała przyznać się nawet sama przed sobą, że w-ogóle tego nie może pojąć). — Nasuwa to jakieś myśli... ale nie wiem dokładnie jakie! Bądź co bądź, ktoś zabił coś: to jest oczywiste w każdym razie...

„Lecz, och! — pomyślała Alicja zrywając się szybko — jeżeli się nie pośpieszę, będę musiała wrócić przez Lustro, zanim zobaczę, jak wygląda reszta domu! Rzućmy najpierw okiem na ogród!” W jednej chwili znalazła się za drzwiami pokoju i zbiegła po schodach... a raczej nie był to bieg, lecz nowy szybki i łatwy sposób obniżania się po schodach, jak stwierdziła Alicja. Po prostu dotknęła koniuszkami palców poręczy schodów i spłynęła łagodnie w dół nie tknąwszy nawet stopni nogami, a zapewne wydostałaby się tak przez drzwi, gdyby nie chwyciła za framugę. Zaczęło jej trochę wirować w głowie od tego unoszenia się w powietrzu i ucieszyła się, gdy odkryła, że może nadal chodzić w zwykły sposób.

Rozdział II

Ogród o Żywych Kwiatach

Obejrzałam ten ogród o wiele dokładniej — powiedziała do siebie Alicja — gdybym mogła wydostać się na szczyt tego pagórka. A oto ścieżka, która prowadzi ku niemu prosto, jak strzelił...a przecież, nie, nie prowadzi tam wcale... — (po przejściu kilku kroków ścieżką i minięciu paru ostrych zakrętów) — ale przypuszczam, że w końcu mnie tam doprowadzi. Ale jak dziwnie się wiję! Bardziej przypomina korkociąg niż ścieżkę! Ale ten zakręt prowadzi w kierunku wzgórza, jak mi się wydaje. Nie, nie prowadzi! Zawraca wprost ku domowi! No, to spróbuję pójść w przeciwnym kierunku.

I uczyniła tak; błdziła to tu, to tam, próbując to tego zakrętu, to innego, lecz zawsze powracając do domu bez względu na to, jaki kierunek wybrała. Szczerze mówiąc, raz, gdy minęła zakręt prędzej niż poprzednie, wpadła na dom, zanim zdołała się zatrzymać.

— Nie ma celu mówić o tym — powiedziała Alicja, spoglądając na dom i udając, że się z nim sprzecza. — Nie wejdę jeszcze do środka. Wiem, że musiałabym ponownie przejść przez Lustro...z powrotem do dawnego pokoju...i to byłby koniec moich wszystkich przygód!

Więc odwróciwszy się rezolutnie plecami ku domowi, ruszyła raz jeszcze ścieżką, zdecydowana, że tak długo będzie szła przed siebie, aż dojdzie do wzgórka. Przez kilka minut wszystko układało się doskonale i właśnie zaczęła mówić: — Tym razem naprawdę tam dojdę... — gdy ścieżka wygięła się nagle i otrząsnęła (jak to Alicja określiła później), a w następnej już chwili Alicja była przed drzwiami zmierzając wprost ku nim.

— Och, to nazbyt okropne! — zawołała. — Nigdy nie spotkałam jeszcze domu, który by tak włąził w drogę! Nigdy!

Mimo to wzgórek nadal był doskonale widoczny, więc nie pozostawało nic innego, tylko wyruszyć ponownie. Tym razem natknęła się na wielki klomb, obrzeżony Stokrotkami i z wierzbą rosnącą pośrodku.

— O, Tygrysia Lilia — powiedziała Alicja, zwracając się do kwiatu rozkołysanego wdzięcznie na wietrze. — Jakże chciałabym, żebyś umiała mówić!

— Umiemy mówić — powiedziała Tygrysia Lilia — gdy nadarzy się ktoś, z kim warto mówić.

Alicję zaskoczyło to tak, że przez minutę nie mogła wymówić słowa: po prostu pozbawiło ją to tchu. Wreszcie, patrząc na rozkołysaną Tygrysią Lilię, odezwała się ponownie nieśmiałym głosikiem, niemal szeptem: — A czy wszystkie kwiaty umieją mówić?

— Nie gorzej niż ty — powiedziała Tygrysia Lilia. — Ale o wiele głośniej.

— Okazałybyśmy złe maniery, gdybyśmy zagadnęły cię pierwsze — powiedziała Róża. — Naprawdę byłam bardzo ciekawa, kiedy przemówisz! Powiedziałam do siebie: „Sądząc z twarzy wygląda dość rozsądnie, chociaż nie jest to bardzo mądra twarz!” Ale masz właściwy kolor, a to już dużo.

— Nie obchodzi mnie kolor — zauważyła Tygrysia Lilia. — Gdyby tylko jej płatki były nieco więcej zakręcone, wszystko byłoby w porządku. Alicja nie lubiła krytycznych ocen na



swój temat, więc zaczęła zadawać pytania: — Czy czasem nie trwoży was to, że rośniecie tu, a nie ma nikogo, kto by się o was troszczył?

— To drzewo, tam pośrodku — powiedziała Róża — zostało zasadzone tylko w tym celu.

— Ale cóż mogłoby zrobić, gdyby nadeszło jakieś niebezpieczeństwo? — zapytała Alicja.

— Mogłoby wierzbnać — powiedziała Róża.

— Mogłoby wierzbnać z całej siły! — zawołała Stokrotka. — Dlatego przecież nazwano je wierzbą!

— Czyżbyś nie wiedziała o tym? — zawołała inna Stokrotka i wszystkie zaczęły krzyczeć jedna przez drugą tak, że powietrze wypełniło się nikłymi, piskliwymi głosikami.

— Milczeć, wszystkie co do jednej! — zawołała Tygrysia Lilia kołysząc się gwałtownie w obie strony i drżąc z podniecenia. — Wiedzą, że nie mogę ich pochwycić — powiedziała dysząc ciężko i pochylając rozdygotaną głowę w kierunku Alicji — inaczej nie śmiałyby się tak zachowywać!

— Nie przejmuj się! — powiedziała Alicja pojednawczym tonem i pochyliwszy się ku Stokrotkom, które właśnie rozpoczęły od nowa, szepnęła: — Jeżeli nie będziecie trzymały języka za zębami, zerwę was!

Nastąpiła natychmiastowa cisza, a kilka różowych Stokrotek zbieleło.

— W porządku! — powiedziała Tygrysia Lilia. — Te Stokrotki są najgorsze z wszystkich. Gdy ktokolwiek spróbuje się odezwać, zaczynają wrzeszczeć wszystkie równocześnie i można

zwiędnąć od słuchania ich bez przerwy.

— Jak to się dzieje, że wszystkie umiecie tak doskonale mówić? — powiedziała Alicja mając nadzieję, że wprowadzi ją tym komplementem w lepsze usposobienie. — Byłam już w wielu ogrodach, ale nigdzie nie było kwiatów, które umiałyby mówić.

— Opuść rękę i przyłóż dłoń do ziemi — powiedziała Tygrysia Lilia. — Wówczas zrozumiesz, dlaczego tak się dzieje.

Alicja uczyniła tak. — Ziemia tu jest bardzo twarda — powiedziała — ale nie pojmuję, co jedno może mieć wspólnego z drugim.

— W większości ogrodów — powiedziała Tygrysia Lilia — okopuje się grządki i ziemia jest miękka jak kołderka, więc kwiaty śpią pod nią nieustannie.

Zabrzmiało to dość przekonująco i Alicja ucieszyła się, że wyjaśniono jej, dlaczego tak się dzieje. — Nigdy przedtem nie pomyślałam o tym — powiedziała.

— Moim zdaniem nigdy w ogóle nie pomyślałaś o czymkolwiek — powiedziała Róża surowo.

— Nigdy nie widziałam osoby wyglądającej bardziej głupio — powiedział Fiołek tak niespodziewanie, że Alicja drgnęła gwałtownie. Nie odezwał się dotąd ani słowem.

— Trzymaj język za zębami! — zawołała Tygrysia Lilia. — Jak gdybyś ty w ogóle mógł widzieć kogokolwiek! Trzymasz głowę pod liśćmi i chrapiesz bez przerwy tak, że wiesz o świecie mniej, niż wiedziałeś, gdy byłeś pączkiem!

— Czy prócz mnie znajdują się w tym ogrodzie inni ludzie? — powiedziała Alicja postanowiwszy, że nie usłyszała ostatniej uwagi Róży.

— Jest w ogrodzie jeszcze jeden kwiat, który umie poruszać się tak jak ty — powiedziała Róża. — Dziwi mnie, jak potraficie to robić... (— Zawsze cię coś dziwi — powiedziała Tygrysia Lilia). — ale jest on bardziej krzacasty niż ty.

— Czy jest podobny do mnie? — zapytała pośpiesznie Alicja, gdyż przebiegło jej przez myśl, że w ogrodzie może znajdować się inna mała dziewczynka.

— No cóż, jest równie niezgrabny jak ty — powiedziała Róża — ale jest czerwiejszy... i, jak mi się wydaje, ma krótsze płatki.

— Są one stulone jak u dalii — powiedziała Tygrysia Lilia — a nie skołtunione jak u ciebie.

— Ale to nie twoja wina — dodała łagodnie Róża — zaczynasz wędznąć, wiesz... a wtedy płatki wyglądają nieporządnie i trudno temu zapobiec.

Alicji wcale nie spodobała się ta myśl, więc żeby zmienić temat, zapytała: — Czy przychodzi on tu kiedykolwiek?

— Pewna jestem, że wkrótce go zobaczysz — powiedziała Róża. — Należy do gatunku, który ma dziewięć pręcików.

— W którym miejscu je ma? — zapytała Alicja z pewnym zdumieniem.

— Jak to? Naokół głowy, oczywiście — odpowiedziała Róża. — Dziwiłam się, że ty nie masz ich wcale. Myślałam, że wszyscy muszą je mieć.

— Nadchodzi! — zawołała Ostróżka. — Słyszę jego kroki tup, tup po ścieżce!

Alicja rozejrzała się pośpiesznie i zobaczyła Czerwoną Królową. — Urosła bardzo! — powiedziała natychmiast. I rzeczywiście: miała tylko trzy cale wzrostu, gdy Alicja znalazła ją w popiele... a oto teraz była o pół głowy wyższa niż Alicja!

— To świeże powietrze tak działa! — powiedziała Róża. — Cudowne mamy tu powietrze.

— Sądzę, że powinnam ruszyć na jej spotkanie — powiedziała Alicja, bo choć kwiaty były dość interesujące, czuła jednak, że rozmowa z prawdziwą Królową jest czymś o wiele donioślejszym.

— Nie uda ci się to w żaden sposób — powiedziała Róża. — Radzę ci pójść w przeciwnym kierunku.

Wydało się to Alicji tak nonsensowne, że bez słowa ruszyła natychmiast w kierunku Czerwonej Królowej. Ku swemu zdumieniu od razu straciła ją z oczu i znalazła się przed drzwiami domu. Wzburzona nieco, zawróciła i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu Królowej (którą dostrzegła wreszcie w oddaleniu); dopiero wtedy przyszło jej do głowy, że trzeba spróbować marszu w przeciwnym kierunku. Poskutkowało to wspaniale. Po niecałej minucie



spaceru znalazła się twarzą w twarz z Czerwoną Królową i tuż obok wzgórką, na który od tak dawna chciała wejść.

— Skąd przybywasz? — zapytała Czerwona Królowa. — I dokąd idziesz? Wyprostuj się, mów grzecznie i nie młynkuj palcami.

Alicja zastosowała się do tych wszystkich wskazówek i wyjaśniła, jak umiała, że zgubiła swoją drogę.

— Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „moją drogę” — powiedziała Królowa. — Wszystkie drogi w tej okolicy należą do mnie... Ale dlaczego w ogóle tu przybyłaś? — dodała uprzejmiejszym tonem. — Dygaj, kiedy zastanawiasz się, co powiedzieć. To pozwala zyskać na czasie.

Alicję zdumiało to trochę, ale tak trwożyła ją Królowa, że nie okazała niewiary. „Wypróbuję to po powrocie do domu — powiedziała do siebie — kiedy spóźnię się trochę na obiad”.

— Czas już, żebyś odpowiedziała — powiedziała Królowa spoglądając na zegarek — mówiąc otwórz usta nieco szerzej i zawsze zwracaj się do mnie: „Wasza Królewska Mość”.

— Chciałam tylko obejrzeć ten ogród, Wasza Królewska Mość...

— Słusznie — powiedziała Królowa i poklepała ją po głowie, co Alicji wcale się nie spodobało — chociaż, kiedy już wspominasz o ogrodzie, to widziałam Ogrody, w porównaniu z którymi ten wydałby ci się leśną głuszą.

Alicja nie odważyła się rozpocząć dyskusji na ten temat, lecz ciągnęła: — ...więc pomyślałam, że spróbuję znaleźć drogę prowadzącą na szczyt tego pagórka...

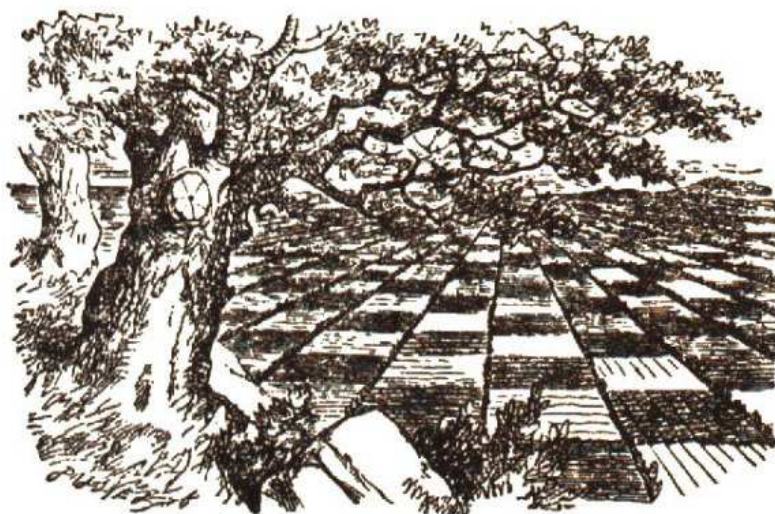
— Kiedy już wspominasz o pagórku — przerwała Królowa — mogłabym ci pokazać pagórki, w porównaniu z którymi nazwałabyś ten doliną.

— Nie, nie nazwałabym — powiedziała Alicja, tak zdumiona, że wreszcie odważyła się jej zaprzeczyć. — Pagórek nie może być doliną, jak wiadomo. To byłby nonsens...

Czerwona Królowa potrząsnęła głową. — Możesz to nazwać „nonsensem”, jeżeli sobie życzysz — powiedziała — ale ja słyszałam nonsensy, w porównaniu z którymi ten wydałby ci się tak sensowny jak słownik.

Alicja ponownie dygnęła, gdyż sądząc z tonu Królowej, była ona troszeczkę obrażona; szły więc dalej w milczeniu do chwili, gdy znalazły się na szczycie małego pagórka.

Przez kilka minut Alicja nie odzywała się, przyglądając się okolicy... a była to przedziwna okolica. Przecinała ją pewna ilość wąskich strumieni płynących zupełnie prosto i dzielących cały obszar na równe pasma, przecięte z kolei żywopłotami, które rozciągając się od strumyka do strumyka, dzieliły teren na kwadraty. — Wygląda to zupełnie jak wielka szachowni-



ca! — powiedziała wreszcie Alicja. — Powinno być widać na niej poruszające się figury... i oto są! — dodała uradowanym głosem, a serce jej zaczęło bić szybciej z podniecenia, gdy ciągnęła dalej: — Rozgrywa się tu ogromna partia szachów... wielka jak świat... jeżeli to w ogóle jest świat. Och, cóż to za zabawa! Jakbym chciała być jedną z tych figur! Mogłabym być nawet Pionkiem, gdyby tylko dano mi do nich dołączyć... chociaż, oczywiście, najbardziej chciałabym być Królową.

Mówiąc to, zerknęła wstydliwie na prawdziwą Królową, lecz towarzyszka jej uśmiechnęła się tylko uprzejmie i powiedziała: — Można to zrobić bez trudności. Możesz być Pionkiem Białej Królowej, jeżeli zechcesz, bo Lily jest za mała, żeby brać udział w grze. Na początek znajdujesz się w Drugim Kwadracie: gdy dotrzesz do Ósmego Kwadratu, zostaniesz Królową... — W tej samej chwili, chcąc nie chcąc, zaczęły biec.

Rozmyślając o tym później, Alicja nie umiała dokładnie zdać sobie sprawy, jak się to zaczęło. Pamięta jedynie, że biegły trzymając się za ręce, a Królowa posuwała się tak szybko, że zaledwie mogła dotrzymać jej kroku, lecz Królowa ciągle wołała: — Prędszej! Prędszej! — Alicja czuła, że prędszf już nie może, lecz brakowało jej tchu, żeby to wypowiedzieć.

Ale najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że drzewa i reszta otoczenia w ogóle nie zmieniały miejsca: bez względu na to, jak szybko pędziły, nie mijały niczego. „Ciekawa jestem, czy wszystkie rzeczy poruszają się razem z nami?” — pomyślała zaintrygowana Alicja. A Królowa zdawała się odgadywać jej myśli, gdyż zawołała: — Prędszej! Nie próbuj mówić!

Alicji ani w głowie to nie powstało. Wydawało jej się, że już nigdy nie będzie zdolna do powiedzenia czegokolwiek, tak bardzo brakowało jej tchu, a Królowa ciągle nawoływała: — Prędszej! Prędszej! — ciągnąc ją za sobą. — Czy już dobiegamy do celu? — wysapała wreszcie Alicja.

— Dobiegamy! — powtórzyła Królowa. — Jak to? Minęłyśmy cel już dziesięć minut temu! Prędszej! — I dalej biegły przez pewien czas w milczeniu. Wiatr świstał w uszach Alicji i wydawało się, że niemal zdiera jej włosy z głowy. — Już! Już! — zawołała Królowa. —



Prędszej! Prędszej! — I pomknęły tak szybko, że w końcu niemal uniosły się w powietrze, zaledwie dotykając ziemi stopami, aż nagle, gdy Alicja była już bliska zupełnego wyczerpania, zatrzymały się i przysiadła na ziemi, zupełnie bez tchu, czując zawrót głowy.

Królowa uniosła ją i oparła plecami o drzewo, mówiąc łagodnie: — Możesz odpocząć trochę teraz.

Alicja rozejrzała się z ogromnym zdumieniem. — Jak to, przecież jestem pewna, że przez cały czas stałyśmy pod tym drzewem! Wszystko jest takie samo, jak było!

— Oczywiście, że jest — powiedziała Królowa. — Czy chciałabyś, żeby było inaczej?

— Cóż, w naszym kraju — powiedziała wciąż jeszcze zdyszana Alicja — zwykle jest się w innym miejscu... jeżeli biegło się tak szybko i tak długo, jak my biegłyśmy.

— Musi to być powolny kraj! — powiedziała Królowa. — Bo tu, jak widzisz, trzeba biec tak szybko, jak się potrafi, żeby zostać w tym samym miejscu. Jeżeli chce się znaleźć w innym miejscu, trzeba biec co najmniej dwa razy szybciej!

— Jeżeli wolno prosić, to raczej wolałabym nie próbować! — powiedziała Alicja. — Jestem bardzo zadowolona, mogąc pozostać tutaj... ale tak mi gorąco i mam tak wielkie pragnienie!

— Wiem, czego byś chciała! — powiedziała dobroduszenie Królowa, wyjmując z kieszeni małe pudełeczko. — Chcesz herbatnika?

Alicja pomyślała, że byłoby nieuprzejmością powiedzieć: „Nie”, choć wcale nie o tym marzyła. Wzięła więc herbatnika i zmusiła się do zjedzenia go. Był on bardzo suchy i doszła do przekonania, że nigdy jeszcze nie była tak bliska udławienia się.

— W czasie, gdy będziesz się odświeżała — powiedziała Królowa — dokonam pomiarów. — Wyjęła z kieszeni wstążkę z calową podziałką i zaczęła mierzyć grunt wbijając to tu, to tam, małe kołeczki.

— Kiedy dojdę do końca drugiego jarda — powiedziała wbijając kołek dla zaznaczenia odległości — udzielę ci wskazówek... chcesz jeszcze jednego herbatnika?

— Nie, dziękuję — powiedziała Alicja — jeden, to zupełnie dosyć!

— Pragnienie ugaszone, mam nadzieję? — powiedziała Królowa.

Alicja nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale na szczęście Królowa ciągnęła dalej nie czekając odpowiedzi: — Po dojściu do trzeciego jarda, powtórzę je... w obawie, że możesz nie zapamiętać. Pod koniec czwartego powiem: „Do widzenia”. A kiedy dojdę do piątego, odejdę!

Wbiła wszystkie kołki; Alicja przyglądała się jej z wielkim zaciekawieniem, gdy powróciwszy do drzewa zaczęła posuwać się powoli wzdłuż rzędu kołków.

Przy kołku, oznaczającym dwa jardy, odwróciła się i powiedziała: — Jak wiesz, pionek w pierwszym ruchu posuwa się o dwa kwadraty. Powinnaś więc bardzo szybko przesunąć się przez Trzeci Kwadrat... pociąganiem, jak sędzę, a wtedy znajdziesz się od razu w Czwartym Kwadracie. Kwadrat ten należy do Tweedleduma i Tweedledee’ego... Piąty zawiera przeważnie wodę... Szósty należy do Humpty Dumpty’ego... Ale nie robisz żadnych uwag?

— Ja... ja nie wiedziałam, że mam robić uwagi... właśnie teraz — wyjąkała Alicja.

— Powinnaś była powiedzieć — ciągnęła Królowa tonem surowej nagany: — „To niezwykle uprzejme z pani strony, że mówi mi pani o tym wszystkim”... ale przyjmujemy, że zostało to powiedziane... Siódmy Kwadrat jest cały porośnięty lasem... mimo to jeden z konnych rycerzy wskaże ci drogę... a w Ósmym Kwadracie wszystkie będziemy Królowymi i pełno tam będzie ucztowania i uciech! — Alicja wstała, dygnęła i ponownie usiadła.

Przy następnym kołku Królowa znów odwróciła się, lecz tym razem powiedziała: — Mów po francusku, jeżeli nie możesz wymyślić angielskiego słowa na określenie jakiejś rzeczy... idąc stawiaj palce nóg na zewnątrz... i nie zapominaj, kim jesteś! — Nie czekając na dygnięcie Alicji, przeszła szybko do następnego kołka, gdzie odwróciła się na chwilę, by powiedzieć: „Do widzenia”, aż wreszcie odbiegła.

Alicja nigdy nie dowiedziała się, jak to nastąpiło, lecz zniknęła dokładnie w tym momencie, kiedy doszła do ostatniego kołka. Czy ulotniła się powietrzem, czy też wbiegła pędem do lasu („a potrafi ona biec bardzo szybko!” — pomyślała Alicja), nie można było odgadnąć, lecz zniknęła i Alicja przypomniała sobie, że jest Pionkiem i za chwilę ma wykonać ruch.

Rozdział III

Lustrzane Owady

Oczywiście, najpierw trzeba było rozejrzeć się dokładnie po okolicy, którą należało przebyć. „To bardzo podobne do nauki geografii — pomyślała Alicja, stając na palcach, żeby dalej sięgnąć wzrokiem. — Głównych rzek...nie ma. Głównych gór...stoję właśnie na jedynej górze, ale wątpię, czy posiada ona jakąś nazwę. Główne miasta...a cóż to za stworzenia, o tam, zajęte przy miodzie? To nie mogą być pszczoły... wiadomo, że nikt nigdy nie dostrzegł pszczoły z odległości całej mili...” Przez pewien czas stała w milczeniu, przyglądając się jednemu ze stworzeń, krzątającemu się pośród kwiatów i wsuwającemu w nie trąbkę, „jak gdyby było prawdziwą pszczolą” — pomyślała Alicja.

Lecz stworzenie to na pewno nie było pszczolą: w rzeczywistości był to słoń...jak wkrótce odkryła Alicja, choć sama myśl o tym odebrała jej na chwilę oddech. „A jakież to muszą być ogromne kwiaty! — pomyślała następnie. — Zupełnie jak domki, z których zdjęto dachy i wsadzono na ich miejsce słupki...a jakież ilości miodu muszą zbierać! Myślę, że powinnam zejść tam i...nie, jeszcze nie teraz — dodała, zatrzymując się w chwili, gdy już zaczęła zbiegać z pagórka, i starając się znaleźć jakąś wymówkę dla swego nagłego załęknienia. — Nie da się zejść pomiędzy te stworzenia, jeżeli nie będę miała długiej, grubej gałęzi, którą mogłabym je odpędzić...a jaka to będzie zabawa, kiedy zapytają mnie, jak mi się podobała moja przechadzka. Powiem... „Och, było dość przyjemnie...(tu wykonała ulubiony ruch głową), ale było bardzo dużo kurzu i wielki upał, a słońce też były bardzo dokuczliwe!”

— Myślę, że trzeba będzie zejść z przeciwnej strony — powiedziała po krótkiej pauzie — a słońce, być może, odwiedzę, ale nieco później. Poza tym, tak bardzo chcę się przedostać do Trzeciego Kwadratu!

Po tej wymówce zbiegła z pagórka i przeskoczyła pierwszy z sześciu wąskich strumieni.

* * *

— Poproszę o bilety! — powiedział Konduktor wsuwając głowę przez okno. Po chwili wszyscy wyciągnęli bilety: były one mniej więcej tej samej wielkości co pasażerowie i zdawały się wypełniać cały przedział.

— No, więc! Pokaż bilet, dziecko! — ciągnął Konduktor spoglądając gniewnie na Alicję. A wiele głosów powiedziało jednocześnie („jak chór w pieśni” — pomyślała Alicja): — Nie każ mu czekać, dziecko! Przecież każda minuta jego czasu ma wartość tysiąca funtów!

— Obawiam się, że nie mam biletu — powiedziała przestraszonym głosem Alicja. — Tam, skąd przybywam, nie było kasy biletowej. — A chór głosów podjął ponownie: — Nie było miejsca dla kasy kolejowej tam, skąd ona przybywa. Każdy cal ziemi tam ma wartość tysiąca funtów!

— Tylko bez wymówek! — powiedział Konduktor. — Powinna byłaś kupić bilet od maszynisty. — I raz jeszcze chór głosów podjął: — Od człowieka, który prowadzi lokomotywę. Przecież każdy kłęb dymu z niej ma wartość tysiąca funtów! Alicja pomyślała: „Rozmowa



z nimi jest bezcelowa”. Głosy nie podjęły jej myśli tym razem, gdyż nie przemówiła, lecz ku jej wielkiemu zdumieniu, wszyscy oni pomyśleli chóralnie (mam nadzieję, że rozumiecie, co to jest chóralne myślenie...bo muszę wyznać, że ja nie rozumiem): „Najlepiej nie mów nic. Każde słowo ma wartość tysiąca funtów!”

„Będę śniła dzisiejszej nocy o tysiącu funtów, wiem, że będę!” — pomyślała Alicja.

W ciągu całego tego czasu Konduktor przyglądał się jej, najpierw przez teleskop, później przez mikroskop, wreszcie przez lornetkę operową. W końcu powiedział: — Jedziesz w złym kierunku. — Zamknął okno i odszedł.

— Tak małe dziecko — powiedział pan siedzący naprzeciw niej (ubrany był w strój z białego papieru) — powinno wiedzieć, w jakim kierunku jedzie, nawet jeśli nie wie, jak ma na imię!

Siedząca obok pana w bieli Koza przymknęła oczy i powiedziała donośnym głosem: — Powinna wiedzieć, w jakim kierunku należy szukać kasy biletowej, nawet jeżeli nie zna abecadła!

Obok Kozy siedział Żuk (dziwny ten wagon wypełniony był po brzegi pasażerami), a ponieważ, jak się wydawało, istniała tu zasada kolejnego zabierania głosu, on właśnie ciągnął dalej: — Będzie musiała powrócić stąd jako bagaż!

Alicja nie mogła dostrzec, kto siedzi obok Żuka, ale dobiegł do niej ochrypły głos: — Trzeba zebrać... — powiedział i ucichł, najwyraźniej zdławiony.

„Zabrzmiało to jak głos zebry” — pomyślała Alicja. A niezwykle nikły, głosik tuż przy jej uchu powiedział: — Mogłabyś wymyślić jakiś żarcik z tego...coś ze słów „zebra” i „zebrać”, rozumiesz!

Później jakiś bardzo łagodny głos w oddali powiedział: — Powinno się ją zaopatrzyć nalepką: „Ostrożnie przetaczać”, rozumiecie...

Następnie rozległy się inne głosy („Ileż osób znajduje się w tym wagonie!” — pomyślała Alicja), mówiąc: — Trzeba polecieć i polecić, żeby była polecona...Trzeba ją przesłać telegraficznie...Musi ciągnąć pociąg ciągle jednym ciągiem... — I tak dalej.

Ale pan ubrany w biały papier pochylił się ku przodowi i szepnął jej do ucha: — Nie przejmuj się tym wszystkim, co mówią, kochanie, ale wykupuj powrotny bilet na każdym przystanku.

— Nie zrobię niczego podobnego! — powiedziała Alicja z pewnym zniecierpliwieniem. — Przecież ja w ogóle nie należę do tej podróży pociągiem...przed chwilą byłam w gęstym borze i...i, mój Boże, jak bardzo chciałabym się tam znów znaleźć!

— Mogłabyś wymyślić jakiś żarcik z tego — powiedział nikły głosik tuż przy jej uchu — coś ze słów „borze” i „Boże”, rozumiesz!

— Przestań mnie dręczyć — powiedziała Alicja rozglądając się i próbując nadaremnie ustalić, skąd ów głos pochodzi. — Jeżeli tak ci zależy na wymyślaniu żarcików, dlaczego sam ich nie wymyślasz?

Małeńki głosik westchnął głęboko: był najwyraźniej bardzo nieszczęśliwy i Alicja chętnie powiedziałaby coś, co mogłoby go pocieszyć; „gdyby tylko wzdychał tak jak inni ludzie!” — pomyślała. Ale było to tak cudownie małeńkie westchnienie, że nie usłyszałaby go w ogóle, gdyby nie rozległo się tuż przy jej uchu. A wynik był taki, że połaskotało ją ono w ucho i odciągnęło jej uwagę od biednego, małego stworzonka.

— Wiem, że jesteś przyjacielem — ciągnął nikły głosik— droгим przyjacielem i wypróbowanym przyjacielem. I nie skrzywdzisz mnie, choć jestem tylko owadem.

— Jakiego rodzaju owadem? — zapytała nieco zaniepokojona Alicja. W rzeczywistości chciała się dowiedzieć, czy posiada on żądło, czy go nie posiada, ale doszła do wniosku, że bezpośrednie pytanie na ten temat byłoby nieuprzejmością.

— Jak to, a więc nie...? — rozpoczął nikły głosik, lecz został zagłuszony przenikliwym wyciem lokomotywy. Wszyscy zerwali się z przestrichem, a Alicja razem z innymi.

Zebra, która wysunęła głowę przez okno, cofnęła się spokojnie w głąb przedziału i powiedziała: — To tylko strumyk, który musieliśmy przeskoczyć. — Wszystkich zadowoliła najwyraźniej ta odpowiedź, choć Alicja nadal odczuwała pewne zdenerwowanie na myśl o jakichkolwiek skokach wykonywanych przez jakikolwiek pociąg. — Ale przenosi nas to do Czwartego Kwadratu, a to już jakaś pociecha! — powiedziała do siebie. W następnej chwili uczuła, że wagon wznosi się w powietrze i pochwyciła za najbliższą rzecz znajdującą się pod ręką; okazało się, że rzeczą tą jest broda Kozy.

* * *

Lecz broda rozwiła się pod jej dotykiem i oto znów siedziała pod drzewem...podczas gdy Komar (gdyż on to właśnie był owadem, z którym rozmawiała uprzednio) bujał na gałązce tuż ponad jej głową i wachlował ją skrzydełkami.

Z całą pewnością był to bardzo wielki Komar, „mniej więcej wielkości kurczęcia” — pomyślała Alicja. Mimo to po tak długiej wspólnej rozmowie nie wzbudzał w niej niepokoju.

— ...a więc nie wszystkie owady wydają ci się sympatyczne? — ciągnął Komar tak spokojnie, jak gdyby nic nie zaszło.

— Lubię te, które umieją mówić — powiedziała Alicja. — Ale tam, skąd ja przybywam, żaden z nich nigdy nie mówi.

— A w jakich rodzajach owadów lubowałaś się tam, skąd przybywasz? — zapytał Komar.

— Nie lubowałam się w żadnym rodzaju owadów — wyjaśniła Alicja — ponieważ boję się ich trochę...to znaczy, tych większych. Ale mogę ci powiedzieć, jak się niektóre z nich nazywają.

— Oczywiście, odpowiadają, kiedy się je zawoła po imieniu? — zauważył mimochodem Komar.

— Nigdy nie słyszałam, aby tak robiły.

— I cóż za pożytek z posiadania imion — powiedział Komar — jeśli się ich nie używa?

— One nie mają z tego żadnego pożytku — powiedziała Alicja — ale, jak mi się wydaje, jest to pożyteczne dla ludzi, którzy nadali im imiona. Gdyby było inaczej, po cóż by w ogóle nadawano rzeczom imiona?

— Nie wiem — odparł Komar. — Tam w głębi lasu nic nie ma imienia...ale opowiadaj dalej o wadach; tracisz tylko czas. — A więc, mamy Konika Polnego — zaczęła Alicja,



odliczając imiona na palcach.

— W porządku — powiedział Komar. — Jeżeli zechcesz unieść głowę, zobaczysz pośrodku tej gałęzi, tam w górze, Konika Polnego na Biegunach.

Wykonany jest całkowicie z drzewa i posuwa się kołysząc, z gałęzi na gałąź.

— A czym się żywi? — zapytała Alicja z największym zaciekawieniem.

— Sokami drzewnymi i trocinami — powiedział Komar. — Wyliczaj dalej.

Alicja przyjrzała się z wielkim zainteresowaniem Konikowi Polnemu na Biegunach i doszła do wniosku, że musi on być świeżo malowany, gdyż lśnił i sprawiał wrażenie, jakby był lepki. Podjęła znów:

— I mamy jeszcze Ważkę.

— Spójrz na gałąź, którą masz nad głową — powiedział Komar — a zobaczysz na niej Lekceważkę. Lekceważy ona wszystko do tego stopnia, że sama składa się z byle czego: ciało jej zrobione jest z puddingu śliwkowego, skrzydła z liści ostrokrzewu, a głowę stanowi płonące winogrono oblane spirytusem.

— A czym się żywi? — powtórzyła Alicja swe poprzednie pytanie.

— Kaszą manną i ciasteczkami rodzynkowymi — odparł Komar — a zamieszkuje puszki dla ubogich. — I jest jeszcze Boża Krówka — ciągnęła Alicja, przyjrzawszy się dobrze owadowi o płonącej głowie i pomyślawszy: „Ciekawa jestem, czy to jest właśnie powód, dla którego owady tak chętnie wpadają w płomień świecy...pewnie chcą przemienić się w Lekceważki!”

— U stóp twych możesz właśnie — powiedział Komar — zaobserwować pełznącą (zaniepokojona Alicja szybko cofnęła nogi) Hożą Krówkę; ciało ma z masła, a skrzydła z sera.

— A czym się żywi?

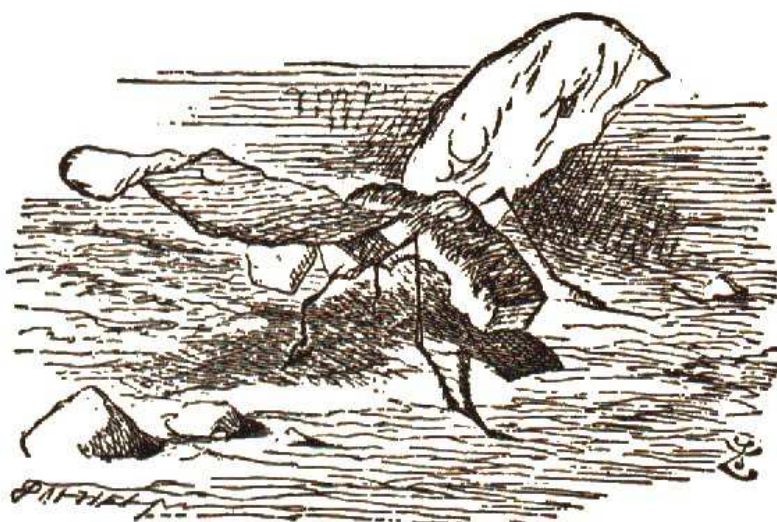
— Słabą herbatką ze śmietaną.

Nowa przeszkoda pojawiła się w myślach Alicji. — A przypuśćmy, że nie znajdzie nigdzie ani herbaty, ani śmietany? — podsunęła.



— Wówczas, oczywiście, musi umrzeć — powiedział Komar.

— Ale to musi zdarzać się bardzo często — zauważyła Alicja w zamyśleniu. — Zawsze się



zdarza — powiedział Komar. Alicja zapadła w zadumę i przez minutę czy dwie nie odzywała się. Komar zabawiał się w ciągu tego czasu krążeniem wokół jej głowy; w końcu przysiadł ponownie i zauważył: — Sądzę, że nie chciałabyś utracić swego imienia?

— Oczywiście, że nie — powiedziała trochę zaniepokojona Alicja.

— A jednak nie jestem pewien — ciągnął Komar swobodnie — czy nie doszłabyś do wniosku, że o wiele wygodniej byłoby powrócić do domu bez niego! Na przykład, gdyby guwernantka chciała zawołać cię do odrabiania lekcji, powiedziałaby: „Wracaj...” i musiałaby urwać w tym miejscu, bo nie byłoby żadnego imienia, którym mogłaby cię przywołać, a ty, oczywiście, jak sama rozumiesz, nie musiałabyś odpowiadać.

— Jestem pewna, że nic by z tego nie wyszło — powiedziała Alicja. — Guwernantka nigdy nie zgodziłaby się, żebym nie odrobiła lekcji z tak błahego powodu. Gdyby nie mogła sobie przypomnieć mego imienia, zawołałaby: „Proszę tu przyjść, mój kwiatuszkule!”

— Gdyby powiedziała: — „Proszę tu przyjść, mój kwiatuszkule!” — zauważył Komar — nie musiałabyś, oczywiście, przyjść, bo kwiatuszki nie umieją chodzić, i nie odrobiłabyś lekcji.

To żarcik. Jakżebym chciał, żebyś to ty go wymyśliła.

— Dlaczego chciałbyś, żebym to ja go wymyśliła? — zapytała Alicja. — To bardzo marny żarcik.

Ale Komar tylko westchnął głęboko, a po policzkach jego stoczyły się dwie wielkie łzy.

— Nie powinienes żartować — powiedziała Alicja — jeżeli czyni cię to tak nieszczęśliwym.

Nastąpiło nowe, melancholijne westchnienie i tym razem biedny Komar odwdychał się najprawdopodobniej w dal, bo gdy Alicja uniosła głowę, na gałęzce nie pozostał już z niego najmniejszy ślad, a że przeziębła od tak długiego siedzenia, wstała i ruszyła przed siebie.

Wkrótce znalazła się na łące, a po przeciwnej stronie tej łąki znów rósł las. Panował w nim znacznie większy mrok niż w tym, z którego wyszła Alicja, więc z pewną obawą pomyślała o tym, że będzie musiała do niego wejść. Lecz przemyślawszy to powtórnie, doszła do wniosku, że trzeba iść naprzód, „gdyż z całą pewnością nie zawrócę” — pomyślała zdając sobie sprawę, że jest to jedyna droga do Ósmego Kwadratu.

— Musi to być właśnie ten las — powiedziała do siebie — gdzie rzeczy nie mają imion. Ciekawe, co stanie się z moim imieniem, kiedy tam wejdę? Nie chciałabym go stracić...bo musieliby mi nadać inne, a byłoby na pewno brzydkie. Ale jaka to by była zabawa, poszukiwanie istoty, która dostała po mnie moje dawne imię! Zupełnie, wiecie, jak w tych ogłoszeniach, pisanych przez ludzi, którzy zgubili psa: „wabi się „Skok”; miał nabijaną mosiądzem obrożę...wyobraźcie sobie tylko, że musiałabym wołać do wszystkiego, co napotkam: „Alicjo!”, aż wreszcie coś podbiegłoby do mnie! Ale gdyby było mądre, udałoby, że nie rozumie.

I paplała sobie dalej na ten temat, póki nie doszła do lasu: wydawał się on bardzo chłodny i cienisty. — W każdym razie, to bardzo przyjemnie — powiedziała wchodząc pomiędzy drzewa — gdy z takiego upału przechodzi się do...do...dokąd? — i urwała zdumiona tym, że nie przychodzi jej na myśl odpowiednie słowo. — Chciałam powiedzieć, że weszłam pomiędzy...pomiedzy...pomiedzy te, no wiecie! — dokończyła kładąc dłoń na pniu drzewa. — Ciekawe, jakże się one nazywają? Zdaje się, że nie mają żadnej nazwy...tak, na pewno nie mają!

Przez chwilę stała w cichym zamyśleniu; w końcu, niespodzianie zaczęła od nowa: — A więc naprawdę to się wydarzyło! W takim razie, kimże ja jestem? Muszę sobie przypomnieć, jeżeli potrafię! Postanawiam, że tak uczynię!

Lecz powzięcie postanowienia niewiele jej pomogło, a po długim zastanawianiu się potrafiła powiedzieć tylko: — L, wiem, że zaczyna się na L!

Właśnie w tej chwili zobaczyła przechodzącego Jelonka: spojrzał on na Alicję wielkimi, łagodnymi oczyma, ale nie wydawał się przestraszony. — Chodź tu! Chodź tu! — powiedziała Alicja wyciągając do niego rękę i próbując go pogłaskać; lecz odskoczył i stanął przyglądając się jej.

— Jak masz na imię? — powiedział wreszcie Jelonek. A jakże słodki i miękki miał głos!

„Chciałabym wiedzieć!” — pomyślała biedna Alicja. Odparła z pewnym smutkiem: — Wcale nie mam imienia, przynajmniej w tej chwili.

— Pomyśl jeszcze raz — powiedział Jelonek. — To nie jest odpowiedź.

Alicja pomyślała, ale nic z tego nie wyszło. — Bardzo cię proszę, powiedz mi, jak ty się nazywasz? — powiedziała potulnie. — Myślę, że to może by trochę pomogło.

— Powiem ci, jeżeli pójdziesz ze mną jeszcze kawałek — powiedział Jelonek. — Tu nie mogę sobie przypomnieć. Ruszyli więc razem przez las, Alicja otoczyła miłośnie ramieniem gładką szyję Jelonka, aż wreszcie wyszli na inną polanę i tu Jelonek podskoczył nagle i strząsnął z szyi ramiona Alicji. — Jestem Jelonkiem! — zawołał rozradowanym głosem. — A ty, mój Boże, jesteś ludzkim dzieckiem! — Nagły niepokój pojawił się w jego pięknych, piwnych



oczach i już w następnej chwili odbiegł jak strzała.

Alicja stała spoglądając za nim, bliska łez i rozżalona nagłą utratą tego miłego, maleńkiego współtowarzysza wędrowki. — Ale bądź co bądź, znam już moje imię — powiedziała — a to jednak pewna pociecha. Alicja... Alicja... nie zapomnę go po raz drugi. A teraz, za którym z tych drogowskazów powinienam się udać?

Odpowiedź na to pytanie nie była trudna, gdyż przez las biegła tylko jedna droga, a oba drogowskazy wskazywały ten sam kierunek. — Ustalę to — powiedziała do siebie Alicja — kiedy dojdę do rozwidlenia drogi i zobaczę, że wskazują w różnych kierunkach.

Ale nie wydawało się to wielce prawdopodobne. Szła i szła, minęło sporo czasu, ale gdziekolwiek droga rozwidlała się, oba drogowskazy zawsze wymierzone były w tę samą stronę; na jednym odczytała napis: DO DOMU TWEEDLEDUMA, a na drugim: DO TWEEDLEDEE'EGO DOMU.

— Zaczynam wierzyć — powiedziała wreszcie Alicja — że mieszkają obaj w tym samym domu. Ciekawe, że przedtem o tym nie pomyślałam... Ale nie mogę tu pozostawać zbyt długo. Zajrzę tylko, powiem: „Jak się macie?” i zapytam ich o drogę, która wyprowadzi mnie z lasu. Obym tylko mogła dotrzeć do Ósmego Kwadratu, zanim zrobi się ciemno! — Powędrowała więc dalej, rozmawiając z sobą w drodze, aż wreszcie, minąwszy ostry zakręt, natknęła się na dwóch tłusciutkich, maleńkich ludzi; a stało się to tak niespodziewanie, że odskoczyła przestraszona, lecz już po chwili opanowała się nabrawszy pewności, że są to:

Rozdział IV

Tweddledum i Tweddledee

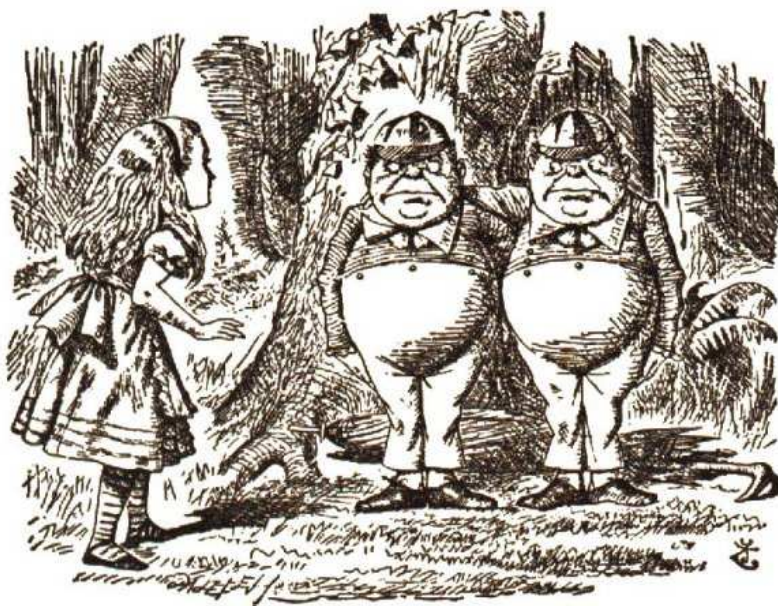
Stali pod drzwiami, obejmując się ramionami za szyję i Alicja od razu dowiedziała się, który jest którym, ponieważ jeden z nich miał na kołnierzu wyhaftowane DUM, a drugi DEE. — Zapewne obaj mają wypisane z tyłu na kołnierzach: TWEEDLE — powiedziała do siebie.

Zapomniała zupełnie o tym, że są żywi, tak bardzo byli nieruchomi; gdy chciała obejść ich, żeby sprawdzić, czy mają słowo TWEEDLE wypisane z tyłu na kołnierzach, spłoszył ją głos wydobywający się z tego, który był oznaczony napisem DUM.

— Jeżeli sądzisz, że jesteśmy figurami woskowymi — powiedział — powinnaś zapłacić, wiesz. Figur woskowych nie robi się po to, żeby je oglądano za darmo. Co to, to nie!

— Przeciwnie wprost — dodał ten, który był oznaczony napisem DEE — jeśli sądzisz, że jesteśmy żywi, powinnaś przemówić.

— Och, bardzo mi przykro, bardzo — zdołała wybąkać Alicja, gdyż w głowie jej jak tykanie zegara zaczęły płynąć słowa starej piosenki i z najwyższym trudem powstrzymywała się, by nie wypowiedzieć ich na głos:



Tweddledum, a z nim Tweddledee,
Stają oto zgodnie do walki,
Gdyż rzekł Tweddledum, że mu Tweddledee
Grzechotkę nową potłukł w kawałki.

Lecz nadleciała ogromna wrona,
Ptak czarny i wielce okrutny,
I tak bohaterów strwożyła ona,
Ze zapomnieli o kłótni.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział Tweedledum — ale wcale tak nie jest; o, co to, to nie.

— Przeciwnie wprost — ciągnął Tweedledee — gdyby tak było, mogłoby tak być, a gdyby mogło tak być, byłoby tak; a ponieważ nie jest, nie jest. To logiczne.

— Myślałam o tym — powiedziała Alicja bardzo uprzejmie — jaką drogą najłatwiej wydostać się z tego lasu: robi się ciemno. Czy bylibyście tak grzeczni, żeby mi ją wskazać? Lecz obaj tłuści, maleńcy ludkowie spojrzeli tylko na siebie i uśmiechnęli się.

Tak bardzo przypominali parę uczniów, że Alicja nie mogła powstrzymać się i wskazując palcem Tweedleduma, powiedziała: — Pierwszy z Chłopców!

— Co to, to nie! — zawołał Tweedledum ostro i zamknął usta z trzaskiem.

— Następny Chłopiec! — powiedziała Alicja podchodząc do Tweedledee'ego, choć była absolutnie pewna, że tylko krzyknie: — Przeciwnie wprost! — co zresztą uczynił.

— Rozpoczęłaś niewłaściwie! — zawołał Tweedledum. — Podczas wizyty trzeba przede wszystkim powiedzieć: „Jak się macie?” i uścisnąć ręce! — Po tym obaj bracia objęli się ramionami i wyciągnęli ku Alicji wolne ręce, żeby uścisnąć jej dłonie.

Alicja nie chciała uścisnąć ręki któregokolwiek z nich wcześniej niż drugiego, żeby nie zranić uczuć tego ostatniego, a więc, uważając to za najlepsze wyjście z kłopotliwej sytuacji, podała im obie ręce równocześnie; w następnej chwili zatańczyli wszyscy w kółeczko. Wydawało się to zupełnie naturalne (jak sobie później przypomniała) i nie zdziwiły jej nawet dźwięki muzyki, zdawały się one dobiegać od strony drzewa, pod którym tańczyli, a wykonywały ją (o ile mogła stwierdzić) gałęzie ocierające się o siebie jak smyczki o skrzypce.

— Ale było to na pewno bardzo śmieszne — powiedziała później Alicja, opowiadając siostrze tę historyjkę — słyszeć siebie śpiewającą: *Wokół drzewa morwy tańczymy w krąg*. Nie wiem nawet, kiedy zaczęłam, ale wydawało mi się, że śpiewam już od dłuższego czasu!

Obaj pozostali tancerze byli otyli i wkrótce zabrakło im tchu. — Cztery razy, dokoła to dość, jak na jeden taniec — powiedział zdyszany Tweedledum i przestali tańczyć tak nagle, jak zaczęli. W tej samej chwili ucichła muzyka.

Później puścili ręce Alicji i stali przez pewien czas przyglądając się jej. Nastąpiła pełna zakłopotania przerwa, gdyż Alicja nie wiedziała, jak należy podjąć konwersację z ludźmi, z którymi tańczyło się przed chwilą. — Na pewno nie należy mówić: „Jak się macie?” po tym wszystkim — powiedziała do siebie. — Wydaje mi się, że posunęliśmy się nieco dalej poza te słowa!

— Mam nadzieję, że nie jesteście bardzo zmęczeni? — powiedziała wreszcie.

— Co to, to nie. I dziękuję ci bardzo, że zapytałaś o to — powiedział Tweedledum.

— Jestem niezwykle zobowiązany! — dodał Tweedledee. — Czy lubisz utwory poetyckie?

- Ta-ak, bardzo lubię...niektóre — powiedziała niepewnie Alicja. — Czy moglibyście powiedzieć mi, którą z tych dróg mogłabym się wydostać z lasu?

— Co mam jej zarecytować? — powiedział Tweedledee, spoglądając na Tweedleduma wielkimi, poważnymi oczyma i nie zwracając uwagi na pytanie Alicji.

— *Mors i Stolarz* jest najdłuższy — odparł Tweedledum, obdarzając brata serdecznym uściskiem.

Tweedledee natychmiast rozpoczął:

Rzuciło słońce jasny blask...

Tu Alicja odważyła się przerwać mu. — Jeśli ten wiersz jest bardzo długi — powiedziała tak grzecznie, jak umiała — czy nie moglibyście powiedzieć mi najpierw, która droga... Tweedledee uśmiechnął się łagodnie i rozpoczął ponownie:

Rzuciło słońce jasny blask
Na morze całą mocą;
Promienie jego miękko lśnią,
Na grzbietach fal migocą...
Dziwne, gdyż nastąpiło to
Na chwilę przed północą. Księżyc posępne blaski snuł



I zły po niebie płynął,
Gdyż czuł, że słońce czyni źle
Wracając, choć dzień minął...
„Wyłącznie z jego winy — rzekł
Mój nastrój się rozpułnął!”
Morze — najbardziej mokrym z mórz,
Piach był najsuchszym z piachów.
Lecz nie dostrzegłeś w niebie chmur,
A to dla chmur tych braku.
I nie przeleciał żaden ptak.
Bowiem zabrakło ptaków.
Mors przy Stolarzu, w dłoni dłoń,
Szli tam wstrząsani łkaniem
Na widok zwałów piasku tak
Rozległych niesłychanie.
„Gdyby to — rzekli — sprzątnął ktoś,
Cóż za widok, kochanie!”
„Gdy panien sześć miotełek sześć
Weźmie i przez lat trzysta
Będzie sprzątało tu — rzekł Mors —
Czy sprzątną to do czysta?”
„Wątpię w to” — Stolarz rzekł i łąza
Z ocz mu spłynęła czysta.
„Ostrygi, pójdźcie z nami w dal! —
Mors prosił najgoręcej —
Wiaterek ten, spacererek ten,
Wzdłuż plaży! Cóż chcieć więcej?
Możemy tylko cztery wziąć,
Chcąc trzymać je za ręce”.

Stara Ostryga słysząc go
 Nie rzekła ani słowa;
 Mrugnęła raz, stuknęła raz
 O dno jej mądra głowa,
 Jakby rzec chciała, że na dnie
 Najlepiej się uchowa.
 Lecz młodych Ostryg czwórka wnet
 Zbliżyła się z ochotą;
 Twarzyczki ich, trzewiczki ich
 Czyste i lśnią jnk złoto...
 Dziwne, bo przecież wiecie, że
 Nóżek nie mają oto.
 W ślad jeszcze cztery pędem mkną
 I innym drogę wskażą!
 A po nich sto opuszcza dno
 I tłumnie biegną plażą,
 Za nimi nowe mkną wśród fal
 I ciężko na brzeg wążą. Ruszyli: Stolarz, przy nim Mors...



Pół mili przeszli blisko,
 Wreszcie znaleźli miły głaz,
 Który spoczywał nisko;
 Siedli, a wokół Ostryg tłum
 Stanął tworząc kolisko.
 „Nadszedł już czas — powiedział Mors —
 Pogrążyć się w rozmowie
 O tym, czym but jest, łódź i lak,
 Kapusta i Królowie,
 I czemu w morzu woda wrze,
 A wieprz ma skrzydła sowie”.
 „Czekaj! — Ostrygi na to w krzyk —
 Przed naszą pogawędką
 Chcemy odpocząć, brak nam tchu!
 Biegłyśmy nazbyt prędko!”
 „Nie ma pośpiechu” — Stolarz rzekł.
 Pospieszyły z podzięką.
 „Przydałby się — powiedział Mors —
 Kawałek chleba świeży,

Poza tym ocet, no i pieprz,
I będzie jak należy.
Ostrygi drogie, nadszedł czas:
Siadajmy do wieczerzy". Ostrygi w krzyk: „Nie jedzcie nas! —



Zsiniąły wręcz dosłownie. —
Skąd zmiana ta? Nie bądźcie tak
Okrutni niewymownie!"
„Ach, co za noc! — powiedział Mors. —
Spójrzcie, jak tu cudownie!"
„Szczęśliwy jestem goszcząc, was,
Dziękuję wam serdecznie!"
Stolarz rzekł tylko: „Gdzież ten chleb?
Daj kromkę, proszę grzecznie!
Czyś ogłuchł? Proszę drugi raz!
Czy mam powtarzać wiecznie?!"
„To wielki wstyd — powiedział Mors —
Że są tak oszukane!
Przecież tak długo biegły tu
I były tak zdyszane!"
Stolarz rzekł tylko: „Kromki zbyt
Grubo posmarowane".
„Współczuję wam — powiedział Mors —
I płaczę tu nad wami!"
Wyjął chusteczkę, spojrzał raz,
Ogarnął je oczami
I wybrał wszystkie tłuste, i
Obficie skropił łzami.
„Ostrygi miłe — Stolarz rzekł —
Było nam tu wspaniale,
Lecz chyba już do domu czas?"
Tak je zapytał, ale
Nie odpowiedział nikt, gdyż już
Ostryg nie było wcale.

— Najbardziej podoba mi się Mors — powiedziała Alicja — ponieważ choć trochę było mu żal biednych ostryg.

— Mimo to zjadł ich więcej niż Stolarz — powiedział Tweedledee. — Bo, wiesz, trzymał chusteczkę przy twarzy tak, żeby Stolarz nie mógł policzyć, ile ich zjadł. Przeciwnie wprost.

— To było paskudne! — powiedziała zgorszona Alicja. — W takim razie, najbardziej podoba mi się Stolarz... skoro nie zjadł tyle, ile zjadł Mors.

— Ale zjadł tyle, ile udało mu się zjeść — powiedział Tweedledum.

To było zagadkowe. Po pauzie Alicja znowu zaczęła: — Cóż! W takim razie, obaj mieli bardzo niemiłe charaktery... — Urwała przestraszona, słysząc niedaleko w lesie coś, co przypomniało jej sapanie wielkiej maszyny parowej, choć obawiała się, że jest to raczej dzika bestia. — Czy są tu w okolicy lwy albo tygrysy? — zapytała płochliwie.

— To tylko chrapanie Czerwonego Króla — powiedział Tweedledee.

— Podejdź i spójrz na niego! — zawołali obaj bracia i pochwyciwszy Alicję za ręce poprowadzili ją do miejsca, gdzie spał Król. — Czyż nie przedstawia on pięknego widoku? —



powiedział Tweedledum.

Alicja nie mogła szczerze potwierdzić tej opinii. Ubrany był w wysoką czerwoną szlafmycę z kutasem i leżał zwinięty w nieporządną kłębkę, chrapiąc donośnie... — Łeb mu może odlecieć od tego chrapania! — zauważył Tweedledum.

— Obawiam się, że może się zaziębić leżąc tak na wilgotnej trawie — powiedziała Alicja, która była bardzo przezorną dziewczynką.

— Śni teraz — powiedział Tweedledee. — A jak sądzisz, o czym śni?

— Tego nikt nie potrafi odgadnąć — powiedziała Alicja.

— Jak to? O tobie! — wykrzyknął Tweedledee i tryumfalnie klasnął w dłonie. — A gdyby przestał śnić o tobie, to jak sądzisz, gdzie byłabyś?

— Tu, gdzie jestem, oczywiście — powiedziała Alicja.

— O nie! — odparł pogardliwie Tweedledee. — Nie byłoby cię nigdzie. Jesteś tylko byle czym z jego snu!

— Gdyby ten Król ocknął się — dodał Tweedledum — zdmuchnąłoby cię... dmuch!... jak płomień świecy.

— Nieprawda! — zawołała obrażona Alicja. — A poza tym, jeżeli ja jestem tylko byle czym w jego śnie, to kim wy jesteście, chciałabym to wiedzieć?

— Ditto — powiedział Tweedledum.

— Ditto, ditto! — zawołał Tweedledee. Wykrzyknął to tak głośno, że Alicja nie umiała powstrzymać się od powiedzenia: — Cicho! Obawiam się, że obudzicie go, jeżeli będziecie robili tyle hałasu.

— Cóż, twoje mówienie o obudzeniu go nie ma sensu — powiedział Tweedledum — skoro jesteś tylko czymś w jego śnie. Wiesz przecież bardzo dobrze, że nie jesteś prawdziwa.

— Jestem prawdziwa! — powiedziała Alicja i wybuchnęła płaczem.

— Nie staniesz się ani trochę prawdziwsza przez to, że płaczesz — zauważył Tweedledee. — Nie ma żadnego powodu do płaczu.

— Gdybym nie była prawdziwa — powiedziała Alicja zaczynając uśmiechać się przez łzy, gdyż wszystko to wydało jej się nagle bardzo śmieszne — nie byłabym zdolna do płaczu.

— Mam nadzieję, że nie uważasz tych łez za prawdziwe? — przerwał jej Tweedledum niezwykle pogardliwym tonem.

„Wiem, że mówią głupstwa — pomyślała Alicja — i nie warto płakać z tego powodu”. Otarła więc łzy i ciągnęła tak pogodnie, jak umiała: — W każdym razie, dobrze będzie, jeżeli wydostanę się z lasu, bo robi się już bardzo późno. Czy sądzicie, że zacznie padać deszcz?

Tweedledum rozpostarł wielki parasol nad sobą i swym bratem, a później spojrzał w górę. — Nie, nie sędzę — powiedział. — W każdym razie...nie pod tym. Co to, to nie.

— Ale może padać wokół tego?

— Może...jeśli zechce — powiedział Tweedledee. — Nie mamy nic przeciw temu. Przeciwnie wprost.

„Samolubne stworzenia!” — pomyślała Alicja i właśnie miała zamiar powiedzieć: „Dobranoc” i odejść od nich, gdy Tweedledum wyskoczył spod parasola i pochwycił ją za rękę.

— Czy widzisz to? — powiedział głosem zdławionym wściekłością, a oczy jego w jednej chwili stały się wielkie i żółte, gdy wskazał drżącym palcem niewielki biały przedmiot leżący pod drzewem.

— To tylko grzechotka — powiedziała Alicja obejrzawszy dokładnie niewielki biały przedmiot. — Nie grzechotnik — dodała pospiesznie, sądząc, że to go przeraziło — to tylko stara grzechotka...zupełnie stara i połamana.

— Wiedziałem, że to ona! — zawołał Tweedledum, przestępując wściekle z nogi na nogę i rwąc włosy z głowy. — Jest popsuta, oczywiście! — I tu spojrzał na Tweedledee’ego, który natychmiast przysiadł na ziemi, próbując skryć się pod parasolem.

Alicja wzięła go pod rękę i powiedziała łagodnie: — Nie powinienes złościć się tak o starą grzechotkę.

— Ale ona nie jest stara! — zawołał Tweedledum z jeszcze większą wściekłością niż poprzednio. — Jest nowa, powiadam ci...Wczoraj ją kupiłem...moja śliczna NOWA GRZECHOTKA! — Głos jego urósł i przemienił się niemal w wycie.

W ciągu całego tego czasu Tweedledee próbował usilnie zamknąć parasol i znaleźć się wewnątrz tegoż parasola: było to tak niezwykle zdumiewające, że odwróciło całkowicie uwagę Alicji od jego rozgniewanego brata. Ale nie powiodło mu się to całkowicie i zakończyło tym, że potoczył się upłątany całkowicie w parasol, z którego wystawała mu głowa; i oto leżał, otwierając i zamykając usta, a jego wielkie oczy... „i przypominając bardziej rybę niż cokolwiek innego” — pomyślała Alicja. — Oczywiście, zgadzasz się stanąć do walki? — zapytał Tweedledum spokojniejszym głosem.

— Przypuszczam, że tak — odparł ten drugi posępnym głosem, wyczołgując się z parasola — ale ona musi pomóc nam się ubrać, jak wiesz.

Tak więc obaj bracia udali się zgodnie do lasu i powrócili po krótkim czasie niosąc w ramionach całą masę przedmiotów...takich jak poduszki tapicerskie, koce, dywaniki, obrusy, pokrywy garnków i wiadra na węgiel. — Mam nadzieję, że umiesz przywiązywać i przypinać różne rzeczy? — powiedział Tweedledum. — Każda z tych rzeczy musi zostać użyta w jakiś sposób.

Alicja opowiedziała później, że nigdy w życiu obaj...a ileż rzeczy nałożyli na siebie...a ileż



kłopotu sprawili jej wiązaniem tych sznurków i zapinaniem guzików... — Zanim będą gotowi, bardziej upodobnią się do tłumoków ze starymi łachmanami niż do czego innego! — powiedziała do siebie, przytwierdzając poduszkę tapicerską do piersi Twedledee'ego, „aby ustrzec go od ucięcia głowy” — jak powiedział. — A wiesz — dodał z niezwykłą powagą —



że jest to jedna z najpoważniejszych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się w czasie bitwy walczącemu... myślę o ucięciu głowy.

Alicja roześmiała się na głos, ale udało jej się przemienić śmiech w kaszel, gdyż nie chciała urazić jego uczuć.

— Czy jestem bardzo blady? — powiedział Tweedledum, podchodząc, aby umocowała mu hełm. (Nazwał to hełmem, choć przedmiot ów przypominał o wiele bardziej rondel).

— No... tak... troszeczkę — odparła łagodnie Alicja.

— Zwykle jestem bardzo dzielny — ciągnął przyciszonym głosem — ale dziś gnębi mnie ból głowy.

— A mnie boli ząb! — powiedział Tweedledee, który usłyszał tę uwagę. — Czuję się o wiele gorzej niż ty!

— Więc może lepiej zrobicie nie walcząc dzisiaj? — powiedziała Alicja uważając to za dobrą sposobność do zawarcia pokoju.

— Musimy walczyć przez pewien czas, ale nie zależy mi na tym, aby trwało to zbyt długo — powiedział Tweedledum. — Która godzina?

Tweedledee spojrział na zegarek i powiedział: — Pół do piątej.

— Więc walczmy do szóstej, później zjedźmy kolację — powiedział Tweedledum.

— Bardzo dobrze — powiedział ten drugi z pewnym smutkiem — a ona może się nam przyglądać...ale nie zbliżaj się zanedo — dodał — kiedy jestem podniecony, uderzam we wszystko, co mogę dostrzec.

— A ja uderzam we wszystko, czego dosięgnę — zawołał Tweedledum — bez względu na to, czy dostrzegam to, czy nie!

Alicja roześmiała się. — Można by przypuszczać, że uderzacie bardzo często w drzewa — powiedziała.

Tweedledum rozejrzał się z pełnym satysfakcji uśmiechem. — Nie wierzę — powiedział — że pozostanie tu naokół choć jedno drzewo w chwili, gdy zakończymy walkę.

— A wszystko to z powodu grzechotki! — powiedziała Alicja nadal mając nadzieję, że może ich trochę zawstydzi myśl o walce z powodu takiej błahostki.

— Nie dotknęłoby mnie to tak — powiedział Tweedledum — gdyby nie była nowa.

„Jakbym chciała, żeby pojawiła się ogromna wrona!” — pomyślała Alicja.

— Jak wiesz, mamy tylko jeden miecz — powiedział Tweedledum do brata — ale ty możesz wziąć parasol...jest równie ostry. Musimy jak najprędzej zacząć. Zaczyna już być zupełnie ciemno.

— A nawet ciemniej — powiedział Tweedledee. Ściemniło się tak nagle, że Alicja pomyślała o nadejściu nagłej burzy. — A cóż to za ciężka, czarna chmura! — powiedziała. — I jak szybko nadciąga! Cóż to? Wydaje mi się, że ma skrzydła!

— To wrona! — krzyknął Tweedledum piskliwym, przerażonym głosem. I wzięwszy nogi za pas obaj bracia zniknęli w jednej chwili.

Alicja wbiegła do lasu i zatrzymała się pod drzewem.

„W żaden sposób mnie tu nie dostanie — pomyślała. — Jest o wiele za duża, żeby przecisnąć się pomiędzy drzewami. Ale bardzo bym chciała, żeby nie wymachiwała tak skrzydłami...w lesie wieje zupełny huragan...a tu oto nadlatuje czyjś szal!”

Rozdział V

Wełna i Woda

Mówiąc to, pochwyciła szal i zaczęła rozglądać się za jego właścicielem: już w następnej chwili Biała Królowa nadbiegła pędząc na łeb na szyję przez las z ramionami rozkrzyżowanymi szeroko, jak gdyby chciała ulecieć w powietrze. Grzeczna Alicja wybiegła na jej spotkanie trzymając szal.

— Bardzo się cieszę, że znalazłam się akurat na jego drodze — powiedziała Alicja pomagając jej otulić się szalem.

Biała Królowa spojrzała tylko na nią bezradnymi, przestraszonymi oczyma i zaczęła powtarzać cicho coś, co brzmiało jak „Chleb z masłem, chleb z masłem”, Alicja poczuła, że jeśli mają prowadzić jakąkolwiek rozmowę, musi sama się tym zająć. Zaczęła więc, trochę nieśmiało: — Zdaje się, że nie jesteś w najlepszym nastroju, Biała Królowo?

— Tak, jeśli w ogóle można to nazwać strojem — powiedziała Królowa, która, jak się zdawało, nie słuchała jej zbyt uważnie. — W moim przekonaniu trudno to uważać za strój.

Alicja doszła do wniosku, że nie można rozpoczynać rozmowy od poprawiania jej, więc uśmiechnęła się i powiedziała: — Jeżeli tylko Jej Majestat wskaże mi, jak mam to zrobić, spróbuję upiąć to tak dobrze, jak potrafię.

— Ależ ja wcale nie chcę, żebyś się tym zajmowała! — jęknęła biedna Królowa. — W ciągu ostatnich dwóch godzin nie zajmowałam się niczym innym.

Alicja była przekonana, że Królowa najlepiej zrobiłaby udając się do kogoś, kto pomógłby w doprowadzeniu jej stroju do porządku, gdyż wyglądała w tej chwili niezwykle nieporządknie. „Wszystko leży na niej krzywo — pomyślała Alicja — i cała jest poupinana szpilkami!” — Czy mogłabym wyprostować ten szal? — dodała głośno.

— Nie wiem, co się z nim dzieje! — powiedziała Królowa melancholijnym głosem. — Wściekł się chyba, jak sądzę! Upięłam go tu i upięłam go tam, ale nie można go niczym zadowolić!

— Nie może leżeć prosto, jeżeli wszystkie szpilki będą po jednej stronie — powiedziała Alicja, prostując go ostrożnie — i, o mój Boże, w jakim stanie znajdują się włosy pani!

— Szczotka się w nie zaplątała! — westchnęła Królowa. — A grzebień zgubiłam wczoraj.

Alicja ostrożnie wyplątała szczotkę i zrobiła, co mogła, żeby doprowadzić do porządku włosy Królowej. — No, teraz wygląda to o wiele lepiej! — powiedziała upiawszy je szpilkami. — Ale szczerze mówiąc, powinna pani mieć garderobianą!

— Z największą przyjemnością mogę przyjąć ciebie — powiedziała Królowa. — Dwa pensy tygodniowo i dżem co drugi dzień.

Alicja nie mogła powstrzymać się od śmiechu, mówiąc: — Nie chciałabym się nająć... a poza tym, nie lubię dżemu.

— To bardzo dobry dżem — powiedziała Królowa.

- A w każdym razie, dziś nie chciałabym dżemu.
- Nie dostałabyś dżemu dziś, nawet gdybyś chciała — powiedziała Królowa. — Istnieje zasada: dżem jutro, dżem wczoraj... ale żadnego dżemu dziś.
- Ale czasem musi zdarzyć się, że będzie „dżem dziś” — zaproponowała Alicja. — Nie,



nie może się tak zdarzyć — powiedziała Królowa. — Dżem jest co drugi dzień, a dziś nie jest drugi dzień, prawda?

— Nie rozumiem — powiedziała Alicja. — To okropnie zagmatwane!

— Są to skutki życia na wspak — powiedziała łagodnie Królowa. — Wszystkim się od tego początkowo kręci w głowie...

— Życia na wspak! — powtórzyła Alicja z ogromnym zdumieniem. — Nigdy nie słyszałam o czymś takim!

— ...ale ma to jedną wielką zaletę: pamięć działa w obie strony.

— Jestem pewna, że moja działa tylko w jedną stronę — zauważyła Alicja. — Nie jestem w stanie zapamiętać rzeczy, które się jeszcze nie wydarzyły.

— To bardzo nędzny rodzaj pamięci, taki, który działa tylko w przeszłość — zauważyła Królowa.

— Ale jaki rodzaj rzeczy pamięta pani najlepiej? — odważyła się zapytać Alicja.

— Och, rzeczy, które wydarzyły się za dwa tygodnie — odparła swobodnie Królowa. — Na przykład teraz — ciągnęła owijając sobie palec plastrem — znajduje się w więzieniu Wysłannik Królewski, który odsiaduje tam karę, a proces rozpocznie się dopiero w przyszłą środę. Oczywiście, przestępstwo zostanie dokonane na samym końcu.

— Ale przypuśćmy, że nie popełni on w ogóle tego przestępstwa? — powiedziała Alicja.

— Tym lepiej dla niego, prawda? — powiedziała Królowa przewijając wstążeczką plaster, którym owinęła sobie palec. Alicja pojęła, że temu nie da się zaprzeczyć.



Oczywiście, tym lepiej dla niego — powiedziała — ale wcale nie byłoby lepiej, gdyby go ukarano.

— Popełniasz tu bezwzględną omyłkę — powiedziała Królowa. — Czy ukarano cię kiedykolwiek?

— Tylko za przewinienia — powiedziała Alicja. — Jestem pewna, że byłeś po tym o wiele lepsza! — powiedziała Królowa tryumfująco.

— Tak, ale ja popełniłam wykroczenia, za które mnie ukarano — powiedziała Alicja — a to wielka różnica.

— Ale gdybyś nie popełniła tych wykroczeń — powiedziała Królowa — byłoby o wiele lepiej, lepiej, lepiej, lepiej! — Z każdym „lepiej” głos jej rósł, aż wreszcie przemienił się w pisk.

Alicja właśnie zaczęła mówić: — Musi tu być gdzieś jakaś omyłka... — gdy Królowa zmusiła ją do milczenia, krzycząc na cały głos: — Och, och! och! — i potrząsając dłonią tak gwałtownie, jakby chciała ją oderwać od ciała. — Mój palec krwawi! Och, och, och!

Krzyk jej tak bardzo przypominał świst maszyny parowej, że Alicja zatkała uszy palcami.

— Co się stało? — powiedziała, gdy tylko doszła do wniosku, że tamta ją słyszy. — Czy ukłuła się pani w palec?

— Nie ukłułam się jeszcze — powiedziała Królowa — ale ukłuję się wkrótce... och, och, och!

— A przypuszcza pani, że kiedy to nastąpi? — zapytała Alicja, tłumiąc śmiech.

— Kiedy będę próbowała znowu upiąć szal — jęknęła biedna Królowa — broszka odepnie się natychmiast. Och, och! — Zaledwie przestała mówić, broszka się otworzyła i Królowa pochwyciła ją gwałtownie, starając się ją zapiąć.

— Ostrożnie! — zawołała Alicja. — Żle ją pani trzyma! — I sama pochwyciła broszkę, ale było już za późno: szpilka zapięcia obsunęła się i ukłuła Królową w palec.

— Z tego właśnie powstaje krwawienie — powiedziała do Alicji Królowa i uśmiechnęła się. — Teraz zrozumiałaś już chyba, w jakiej kolejności następują tu wypadki.

— Ale dlaczego pani teraz nie krzyczy? — powiedziała Alicja, trzymając ręce w gotowości do ponownego zatkania sobie uszu.

— Po co? Przecież krzyczałam już dostatecznie — powiedziała Królowa. — Jakiż byłby pożytek z powtarzania tego od początku?

Zaczęło rozjaśniać się.

— Wydaje mi się, że wrona musiała już chyba odlecieć — powiedziała Alicja. — Tak się cieszę, że już jej nie widać. Myślałam, że noc nadchodzi.

— Jakże ja chciałabym umieć się cieszyć! — powiedziała Królowa. — Ale nigdy nie umiem przypomnieć sobie, na czym to polega. Musisz być bardzo szczęśliwa, mogąc mieszkać w lesie i cieszyć się, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota!

— Ale bardzo tu samotnie! — powiedziała Alicja melancholijnym głosem i na myśl o tej samotności dwie wielkie łzy stoczyły się po jej policzkach.

— Och, nie rób tego! — zawołała biedna Królowa załamując rozpaczliwie ręce. — Weź pod uwagę, jaką jesteś dużą dziewczynką. Weź pod uwagę, jaką długą drogę dzisiaj przebyłaś. Weź pod uwagę, która jest godzina. Weź pod uwagę wszystko jedno co, tylko nie płacz!

Na to Alicja nie mogła powstrzymać się od śmiechu, chociaż łzy nie przestawały płynąć. — Czy można powstrzymać się od płaczu tylko dlatego, że weźmie się coś pod uwagę? — zapytała.

— Tak właśnie należy postępować — powiedziała jak najbardziej stanowczo Królowa. — Jak wiesz, nikt nie może robić dwóch rzeczy na raz, Weźmy, na przykład, pod uwagę twój wiek... ile masz lat?

— Mam dokładnie siedem i pół.

— Nie musisz mówić „dokładnie” — zauważyła Królowa. — Wierzę ci i bez tego. Teraz chciałabym, żebyś uwierzyła w coś, co ci powiem. Mam sto jeden lat, pięć miesięcy i dzień.

— W to nie mogę uwierzyć! — powiedziała Alicja.

— Nie możesz? — powiedziała Królowa głosem, z którego przebijała litość. — Spróbuj raz jeszcze: zrób głęboki wdech i zamknij oczy.

Alicja roześmiała się. — Nie ma celu próbować — powiedziała — nikt nie może uwierzyć w rzeczy niemożliwe.

— Wydaje mi się, że niewiele masz wprawy — powiedziała Królowa. — Gdy byłam w twoim wieku, wprawiałam się co dnia przez pół godziny. Ach, czasem udawało mi się uwierzyć w sześć niemożliwych rzeczy już przed śniadaniem. Mój szal znów ucieka!

Kiedy przemawiała, broszka odpięła się, a niespodziany powiew wiatru zdmuchnął szal Królowej na drugą stronę strumienia. Królowa ponownie rozłożyła ramiona i poleciała za nim; tym razem udało się jej pochwycić szal bez żadnej pomocy. — Mam go! — zawołała tryumfalnym głosem.

— Mam nadzieję, że pani palec ma się już lepiej? — powiedziała jak najuprzejmiej Alicja, przekraczając strumień w ślad za Królową.

* * *

— Och, o wiele lepiej! — zawołała Królowa, a w miarę jak mówiła, głos jej znowu zaczął przemieniać się w pisk: — Jest lepiej! Będzie lepiej! Będzie le-piej! Beee! — Ostatnie słowo przemieniło się w bek owcy tak niespodziewanie, że Alicja przestraszyła się.

Spojrzała na Królową, która nagle, jak się wydawało, otoczyła się przędzą wełnianą. Alicja przetarła oczy i spojrzała raz jeszcze. W ogóle nie mogła pojąć, co się stało. Czy znajdowała się w sklepie? I czy naprawdę...czy naprawdę była to prawdziwa owca, siedząca po przeciwnej stronie lady? Czy przecierała oczy, czy nie, nic się nie zmieniało i nie mogła tego w ogóle zrozumieć: znajdowała się w małym, ciemnym sklepiku i stała wsparta łokciami na ladzie, a naprzeciw niej siedziała w fotelu stara Owca, która robiła na drutach i od czasu do czasu unosiła głowę, żeby spojrzeć na nią przez wielkie okulary.

— Co chciałabyś kupić? — zapytała wreszcie Owca, unosząc na chwilę oczy sponad robótki.

— Nie jestem jeszcze zupełnie pewna, co — powiedziała bardzo uprzejmie Alicja. — Jeżeli można, chciałabym się najpierw rozejrzeć dokoła.

— Możesz spojrzeć przed siebie i na obie strony, jeżeli zechcesz — powiedziała Owca — ale nie możesz się rozejrzeć dokoła...chyba że masz oczy umieszczone na tyle głowy.

Lecz tak się złożyło, że Alicja nie miała oczu umieszczonych na tyle głowy; musiała więc zadowolić się spacerem wzdłuż biegnących dokoła półek.

Sklep wydawał się wypełniony najrozmaitszymi przedziwnymi przedmiotami...ale najdziwniejsze było to, że gdy zaczynała wpatrywać się uważnie w którąkolwiek z półek, żeby sprawdzić dokładnie, co się na niej znajduje, ta właśnie półka okazywała się zupełnie pusta, choć wszystkie otaczające ją półki nadal wypełnione były po brzegi. — Przedmioty tutaj fruwać bez przerwy... — powiedziała w końcu płacząc, gdy straciła minutę albo więcej w daremnym pościgu za wielkim, lśniącym przedmiotem, który chwilami wyglądał jak pudełko do robótek, a czasem jak wielka lalka, i zawsze znajdował się na półce tuż ponad tą, w którą się wpatrywała. — A ten jest najbardziej denerwujący z wszystkich...ale powiem pani, co zrobię... — dodała, gdy błysnął jej nagły pomysł. — Będę posuwała się za nim aż do najwyższej półki. Spodziewam się, że przedostanie się przez sufit będzie dla niego za trudnym orzechem do zgryzienia!

Ale nawet ten plan nie powiódł się: „przedmiot” przedostał się przez sufit tak łatwo, jakby nie stanowiło to dla niego żadnego kłopotu i jakby był do tego przyzwyczajony.

— Czy jesteś dzieckiem, czy bąkiem do zabawy? — powiedziała Owca biorąc następną parę drutów. — Jeżeli będziesz wirowała tak bez przerwy, zakręci mi się w końcu w głowie. — Pracowała teraz czternastoma parami drutów naraz i Alicja nie mogła powstrzymać się od spoglądania na nią z największym zdumieniem.

„Jak może robić na drutach tyloma parami naraz? — pomyślało zaintrygowane dziecko. — Coraz bardziej robi się podobna do jeża!”



— Czy umiesz wiosłować? — zapytała Owca, podając jej dwa druty do trykotowania.

— Tak, trochę...ale nie na ładzie...i nie drutami... — zaczęła mówić Alicja, lecz oto nagle druty w jej rękach przemieniły się w wiosła i odkryła, że siedzą w małej łódeczce ślizgającej się po powierzchni między brzegami: nie pozostawało więc nic innego, jak wiosłować z całej mocy.

— Piórko! — zawołała Owca biorąc następną parę drutów.

Nie zabrzmiało to jak uwaga wymagająca jakiegokolwiek odpowiedzi: więc Alicja nie odpowiedziała ani jednym słowem i wiosłowała dalej. Zauważyła, że z wodą dzieje się coś dziwnego, gdyż od czasu do czasu wiosła grzęzły w niej i z trudem udawało się je wyciągać.

— Piórko! Piórko! — zawołała znowu Owca biorąc nowe druty. — Za chwilę złowisz kraba.

„Małego, ślicznego kraba! — pomyślała Alicja. — Bardzo bym chciała”.

— Czy nie dosłyszałaś, kiedy powiedziałam: „Piórko”?! — zawołała gniewnie Owca, biorąc tym razem cały pęk drutów.

— Oczywiście, że usłyszałam — powiedziała Alicja. — Powtarzasz to bez przerwy...i bardzo głośno. Przepraszam, a gdzie są te kraby?

— W wodzie, oczywiście! — powiedziała Owca, wsuwając sobie pewną ilość drutów we włosy, gdyż miała ich już pełne ręce. — Piórko, powiadam!

— Dlaczego tak często mówisz: „Piórko”? — zapytała w końcu Alicja, trochę zbита z tropu. — Nie jestem przecież ptakiem!

— Jesteś — powiedziała Owca. — Jesteś gąską. Alicję nieco to uraziło, więc nastąpiła przerwa w konwersacji na przeciąg minuty czy dwóch; łódź tymczasem sunęła miękko, chwilami pośród pól wodorostów (co powodowało, że wiosła grzęzły w wodzie bardziej nawet niż przedtem), a chwilami pod konarami drzew, lecz zawsze w cieniu wysokich brzegów rzeki wznoszących się nad głowami.

— Och, proszę! Jakie piękne pachnące trzciny! — zawołała Alicja w nagłym przypływie uciechy. — Naprawdę pachną...a jakie piękne!

— Nie musisz mówić do mnie „proszę” mówiąc o nich — powiedziała Owca nie unosząc głowy znad swej robótki. — Nie ja je tam zasadziłam i nie ja je będę zrywać.

— Nie, ale chciałam powiedzieć... „proszę pani, czy możemy przystanąć tu i zerwać ich trochę?” — powiedziała błagalnie Alicja. — Oczywiście, gdyby nie sprawiało pani różnicy, że łódź zatrzyma się na chwilę.

— A jakże ja mam ją zatrzymać? — powiedziała Owca. — Jeżeli przestaniesz wiosłować, sama się zatrzyma.

Pozwolono więc łodzi płynąć swobodnie z biegiem rzeki, póki nie wśliznęła się łagodnie pomiędzy rozkołysane trzciny. A wtedy podwinęto maleńkie rękawy, a malutkie rączki zagłębiły się aż po łokcie, żeby uchwycić trzinę i złamać ją poniżej powierzchni...i na czas pewien Alicja zapomniała zupełnie o Owcy i jej drutach, gdy pochyliła się nad burtą łodzi tak głęboko, że końce rozplecionych włosów dotykały wody, a błyszczące źrenice odnajdywały kolejne kępy ukochanych pachnących trzin.

— Mam nadzieję, że łódka się nie przewróci! — powiedziała do siebie. — Och, jaka piękna! Ale nie udało mi się jej dosięgnąć. — I rzeczywiście, było to bardzo denerwujące („jak gdyby działa się naumyślnie” — pomyślała), że choć udało się jej zerwać wiele pięknych trzin, pośród których ślizgała się łódź, to jednak zawsze dostrzegała inne, o wiele piękniejsze, których nie mogła dosięgnąć.

— Najładniejsze są zawsze najdalej! — powiedziała wreszcie, westchnąwszy nad uporem, z jakim trzciny zdawały się wyrastać poza jej zasięgiem. Z zarumienionymi policzkami i mokrymi rękami i włosami wgramoliła się na swoje miejsce i zaczęła układać w bukiety swoje nowo pozyskane skarby.

Nie obchodziło jej przy tym wcale, że w chwilę po zerwaniu trzciny zaczęły więdnąć, tracąc przepiękny zapach i wygląd. Nawet prawdziwe pachnące trzciny, jak wiecie, żyją bardzo krótko...a te, będąc trzinami ze snu, rozpląnęły się niemal tak szybko jak śnieg, leżąc tak całymi naręczami u jej stóp...lecz Alicja i na to nie zwróciła niemal uwagi, tak wiele ciekawych rzeczy zaprzątnęło jej myśli.

Nie zdołały upłynąć daleko, gdy pióro jednego z wioseł uwięzło w wodzie i nie dało się w żaden sposób wyciągnąć (tak to później przedstawiła Alicja), a na skutek tego uchwyt wbił jej się pod brodę i, pomimo serii cichych okrzyków: — Och, och, och! — biednej Alicji, wyrzucił ją z siedzenia wprost na stos trzin. Mimo to nic się jej nie stało i po chwili wstała już na nogi. Owca przez cały czas zajęta była robieniem na drutach, jak gdyby nic się nie wydarzyło. — Ślicznego kraba uловиłaś! — zauważyła, gdy Alicja uszczęśliwiona tym, że nadal znajduje się w łodzi, powróciła na swoje miejsce.

— Czy tak? Nie widziałam go — powiedziała Alicja zerkając ostrożnie ponad burtą łodzi w głąb ciemnej wody. — Jak żałuję, że pozwoliłam mu uciec... tak bardzo chciałabym zabrać z sobą do domu malutkiego kraba! — Ale Owca tylko roześmiała się pogardliwie i ponownie zagłębiła w swej robótkę.

— Czy jest tu wiele krabów? — powiedziała Alicja.

— Krabów i rozmaitych innych rzeczy — powiedziała Owca. — Wszystko do wyboru, ale musisz się zdecydować. Więc co, w końcu, chcesz kupić?



— Kupić! — zawtórowała jak echo Alicja głosem na pół wyrażającym zdumienie, a na pół przestach...gdyż wiosła, łódź i rzeka zniknęły w jednej chwili i znalazła się na powrót w małym, ciemnym sklepiu.

— Chciałabym kupić jajko, jeżeli można — powiedziała nieśmiało. — Po ile je pani sprzedaje?

— Po pięć pensów i ćwierć za sztukę...i dwa pensy za parę — odparła Owca.

— Więc dwa są tańsze niż jedno? — zapytała Alicja zdziwionym głosem, wyjmując portmonetkę.

— Ale jeżeli kupisz dwa, musisz je oba zjeść — powiedziała Owca.

— W takim razie, poproszę o jedno, powiedziała Alicja kładąc pieniądze na ladzie, gdyż pomyślała: „Jak wiecie, mogą się okazać niedobre”.

Owca wzięła pieniądze i odłożyła je do pudełka; później powiedziała: — Nigdy nie podaję rzeczy ludziom do ręki...to nie uchodzi...musisz je sobie sama wziąć. — To mówiąc udała się w drugi koniec sklepu i postawiła jajko pionowo na półce. „Ciekawa jestem, dlaczego to nie uchodzi? — pomyślała Alicja torując sobie drogę pośród stołów i krzeseł, niemal po omacku, gdyż tamten koniec sklepu pogrążony był w mroku. — Wydaje mi się, że jajko oddala się

coraz bardziej, w miarę jak przybliżam się do niego. Zaraz, cóż to jest? Krzesło? Jak to, mogę przecież przysiąc, że ma gałęzie! Jakie to dziwne, natknąć się tu na rosnące drzewo! A oto i mały strumyczek! No, no, jest to najdziwniejszy sklep, jaki widziałam w życiu!”

* * *

I szła nadal, zdumiewając się coraz to bardziej i bardziej po każdym następnym kroku, gdyż wszystko, do czego się zbliżała, przemieniało się natychmiast w drzewa, i zaczęła spodziewać się, że jajko uczyni to samo.

Rozdział VI

Humpty Dumpty

Lecz jajko stawalo się tylko coraz to większe i większe i coraz bardziej i bardziej podobne do człowieka; gdy zbliżyła się do niego na odległość kilku jardów, spostrzegła, że posiada ono nos, usta i oczy, a gdy podeszła zupełnie blisko, zobaczyła wyraźnie, że to sam Humpty Dumpty we własnej osobie. — Nie może to być nikt inny! — powiedziała do siebie. — Jestem tego tak pewna, jak gdyby miał imię wypisane na twarzy!

Na tak ogromnej twarzy można byłoby je z łatwością wypisać nawet sto razy. Humpty Dumpty siedział z nogami skrzyżowanymi po turecku na szczycie wysokiego muru... tak wąskiego, że Alicja zaczęła zastanawiać się ze zdumieniem, jakim cudem udaje mu się utrzymać równowagę... a ponieważ oczy jego patrzyły nieruchomo w przeciwnym kierunku i zdawał się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi, doszła do wniosku, że zapewne musi to być wypchana postać.

— A jak zupełnie przypomina jajko! — powiedziała głośno, przystanawszy z wyciągniętymi rękami, gotowa do pochwycenia go, gdyż spodziewała się, że lada chwila spadnie.

— To bardzo irytujące — powiedział po długim milczeniu Humpty Dumpty, odwracając wzrok od Alicji — być nazwanym jajkiem... bardzo!

— Powiedziałam, że przypomina pan jajko, proszę pana — wyjaśniła uprzejmie Alicja. — A niektóre jajka są bardzo ładne, wie pan — dodała, mając nadzieję, że uda jej się przemienić poprzednią uwagę w coś w rodzaju komplementu.

— Niektórzy ludzie — powiedział Humpty Dumpty, odwracając od niej wzrok tak jak poprzednio — nie mają więcej rozsądku niż nowo narodzone dzieci!

Alicja nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie była to w żadnym wypadku rozmowa, pomyślała, gdyż nie odezwał się ani razu do niej; w rzeczywistości ta ostatnia jego uwaga była najwyraźniej skierowana do drzewa... Stała więc nadal i półgłosem powtórzyła:

Humpty Dumpty na murze siadł

I Humpty Dumpty z muru spadł.

A nie sprawią wszystkie Króla konie ni żołnierze,

Ze w jedną Humpty Dumpty całość znów się zbierze.

— Ostatnie linijki tego utworu są zdecydowanie za długie — dodała niemal na głos, zapominając, że Humpty Dumpty może ją usłyszeć.

— Nie stój tak, gawędząc sama z sobą — powiedział Humpty Dumpty, spoglądając na nią po raz pierwszy — ale powiedz mi, jak ci na imię i jaką masz do mnie sprawę.

— Na imię mam Alicja, ale...

— Jest to dostatecznie głupie imię! — przerwał niecierpliwie Humpty Dumpty. — Cóż ono oznacza?

— Czy imię musi coś oznaczać? — zapytała Alicja z powątpiewaniem.

— Oczywiście, że musi — powiedział Humpty Dumpty i roześmiał się krótko. — Moje imię podkreśla mój kształt...a jest to bardzo piękny kształt. Mając takie imię, jak ty masz, można posiadać niemal każdy kształt.



— Czemu pan siedzi tu tak samotnie? — powiedziała Alicja nie odważywszy się zaprzeczyć — Czy nie sądzi pan, że byłby pan bezpieczniejszy na ziemi? — ciągnęła Alicja, nie pragnąc wcale zadawać mu następnej zagadki, lecz z dobrego serca, zaniepokojona o los tego dziwnego stworzenia. — Ten mur jest tak bardzo wąski!

— Jakże ogromnie łatwe zagadki zadajesz! — warknął Humpty Dumpty. — Oczywiście, że tak nie sędzę! Gdybym kiedykolwiek spadł...a nie ma najmniejszej szansy, aby się tak stało...ale gdybym spadł... — Tu zasznurował wargi i przybrał wygląd tak dostojny i poważny, że Alicja z trudem powstrzymała się od śmiechu. — Gdybym spadł — ciągnął — Król przyrzekł mi...ach, możesz sobie blednąć, jeżeli chcesz! Nie przyszło ci do głowy, co chciałem powiedzieć, prawda? Król przyrzekł mi...swymi własnymi ustami...że...że...

— Że wyśle wszystkie swe konie i wszystkich żołnierzy — przerwała nieco nierozsądnie Alicja. — O, przysięgam, że to przechodzi wszelkie oczekiwania! — zawołał Humpty Dumpty, wybuchając nagłą wściekłością. — Podśluchiwałaś pod drzwiami...i spoza drzew...i w kominach...inaczej nie mogłabyś tego wiedzieć!

— Oczywiście, że nie podśluchiwałam! — powiedziała Alicja jak najłagodniej. — Znajduje się to w książce.

— Ach tak! Mogli napisać coś takiego w książce — powiedział Humpty Dumpty spokojniejszym tonem. — W tej, którą nazywają Historią Anglii, tak. A teraz, przyjrzyj mi się dobrze! Jam jest tym, który rozmawiał z Królem, tak, ja! Być może, nigdy nie spotkasz niko-

go takiego, i aby przekonać cię, że nie jestem pełen pychy, możesz uścisnąć moją rękę! — I uśmiechnął się, niemal od ucha do ucha, gdy pochylił się ku przodowi (a robiąc to, omal nie spadł z muru) i podał Alicji dłoń. Ściskając ją przyglądała mu się z pewnym niepokojem. „Gdyby uśmiechnął się jeszcze szerzej, końce jego warg mogłyby się spotkać z tyłu — pomyślała — i nie wiem, co stałoby się wówczas z jego głową! Obawiam się, że odpadłaby!”

— Tak, wszystkie swe konie i wszystkich żołnierzy — ciągnął Humpty Dumpty. — Podnieśliby mnie oni w jednej chwili, to jasne! Ale nasza konwersacja posuwa się zbyt szybko, cofnijmy się do przedostatniej twojej uwagi.

— Obawiam się, że nie mogę jej sobie przypomnieć — powiedziała Alicja jak najuprzejmiej.

— W takim razie możemy zacząć od początku — powiedział Humpty Dumpty — i teraz jest moja kolej, żeby wybrać przedmiot... — („Mówi o tym zupełnie, jakby to była gra!” — pomyślała Alicja). — A więc, oto pytanie dla ciebie. Powiedziałaś, że ile miałaś lat?

Alicja dokonała krótkiego obliczenia i powiedziała: — Siedem lat i sześć miesięcy.

— Żle! — zawołał tryumfalnie Humpty Dumpty. — Nie powiedziałaś niczego podobnego!

— Zdawało mi się, że miałaś na myśli: „Ile masz lat?” — wyjaśniła Alicja.

— Gdybym to miał na myśli, tobym to powiedział — odparł Humpty Dumpty.

Alicja nie chciała rozpoczynać nowej sprzeczki, więc nie odpowiedziała.

— Siedem lat i sześć miesięcy! — powtórzył zamyślony Humpty Dumpty. — Bardzo niewygodny wiek. Gdybyś poprosiła mnie o radę, powiedziałbym ci, że należy poprzestać na siedmiu...ale teraz już za późno.

— Nie zasięgam niczych rad w sprawie mojego wieku — powiedziała Alicja z oburzeniem.

— Jesteś na to zbyt zarozumiała? — zapytał. Alicja poczuła, że to pytanie oburza ją jeszcze bardziej niż poprzednie. — Chcę przez to powiedzieć — powiedziała — że jedno jest nie do uniknięcia: to, że się rośnie.

— Jedno jest nie do uniknięcia, ale dwoje może tego uniknąć — powiedział Humpty Dumpty. — Przy odpowiedniej współpracy z kimś, mogłabyś poprzestać na siódmym roku życia.

— Jaki piękny masz pasek! — powiedziała niespodziewanie Alicja. (Doszła do wniosku, że dość już mówili o sprawach wieku; a jeśli naprawdę mieli prawo do kolejnego wyboru przedmiotu rozmowy, to w tej chwili wybór należał do niej). — Albo — powiedziała po zastanowieniu — jest to piękny krawat...tak chyba powinnam go była określić, nie, to chyba pasek, chcę powiedzieć...proszę o wybaczenie! — dodała w rozterce, gdyż Humpty Dumpty sprawiał wrażenie kogoś głęboko dotkniętego i natychmiast zaczęła żałować, że wybrała właśnie ten przedmiot rozmowy. „Gdybym tylko wiedziała — pomyślała — gdzie jest szyja, a gdzie są jego biodra!”

Najwyraźniej Humpty Dumpty wpadł w wielki gniew, choć przez minutę lub dwie milczał. Lecz gdy przemówił, burknął tylko niskim, warkliwym głosem.

— Jest to...najbardziej...irytująca...rzecz — powiedział wreszcie — gdy ktoś nie umie odróżnić krawata od paska!

— Wiem, że jestem bardzo głupiutka — powiedziała Alicja głosem tak pełnym pokory, że Humpty Dumpty udobruchał się od razu.

— Jest to krawat, moje dziecko, i to bardzo piękny krawat, jak powiedziałaś. Jest to prezent od Białego Króla i Białej Królowej. Teraz już wiesz!

— Czy naprawdę? — powiedziała Alicja, bardzo zadowolona, że jednak dobrze wybrała przedmiot rozmowy.

— Dali mi go — ciągnął w zamyśleniu Humpty Dumpty, krzyżując nogi i otoczywszy je splecionymi dłońmi — dali mi go...jako prezent nieurodzinowy.

— Przepraszam bardzo? — powiedziała Alicja nie rozumiejąc.

— Nie obrażam się — powiedział Humpty Dumpty.

— Chciałam tylko zapytać, co to jest nieurodzinowy prezent?

— Jest to, oczywiście, prezent, który otrzymujesz nie w dniu twoich urodzin.

Alicja rozważała to przez chwilę. — Najbardziej lubię urodzinowe prezenty — powiedziała w końcu.

— Nie wiesz, o czym mówisz! — zawołał Humpty Dumpty. — Ile jest dni w-roku?

— Trzysta sześćdziesiąt pięć — powiedziała Alicja.

— A ile masz urodzin rocznie?

— Jedne.

— A jeśli odejmiesz jeden od trzystu sześćdziesięciu pięciu, ile pozostanie?

— Trzysta sześćdziesiąt cztery, oczywiście. Humpty Dumpty spojrzał z powątpiewaniem. — Wolałbym to zobaczyć na papierze — powiedział. Alicja nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, gdy wzięwszy notesik wypisała mu działanie:

$$\begin{array}{r} 365 \\ -1 \\ \hline 364 \end{array}$$

Humpty Dumpty wziął książeczkę i przyjrzał się dokładnie. — Wydaje się, że rozwiązanie jest prawidłowe... — zaczął.

— Trzymasz ją do góry nogami! — przerwała Alicja.

— To prawda! — powiedział wesoło Humpty Dumpty, gdy przekręciła ją, żeby mógł spojrzeć. — Od razu osądziłem, że wygląda to nieco dziwnie. Jak powiedziałem, wydaje się, że rozwiązanie jest prawidłowe...choć w tej chwili nie mam czasu, żeby to dokładnie zbadać...To udwadnia, że istnieją trzysta sześćdziesiąt cztery dni, podczas których możesz otrzymać nieurodzinowe prezenty...

— Oczywiście — powiedziała Alicja.

— A, jak wiesz, tylko jednego dnia można otrzymać prezent urodzinowy. Oto i koniec twojej chwały!

— Nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc „chwały”? — powiedziała Alicja.

Humpty Dumpty uśmiechnął się pogardliwie. — Oczywiście, że nie rozumiesz...i nie zrozumiesz, póki ci nie powiem. Mówiąc to, chciałem powiedzieć: „Oto nokautujący argument w rozmowie z tobą!”

— Ale „chwała” nie ma nic wspólnego z „nokautującym argumentem” i oznacza co innego — zaprotestowała Alicja.

— Gdy ja używam jakiegoś słowa — powiedział Humpty Dumpty z przekąsem — oznacza ono dokładnie to co mu każe oznaczać...ni mniej, ni więcej.

— Pozostaje pytanie — powiedziała Alicja — czy potrafisz nadawać słowom tak wiele rozmaitych znaczeń?

— Pozostaje pytanie — powiedział Humpty Dumpty — kto ma być panem...to wszystko.

Alicja była zbyt zakłopotana, aby odpowiedzieć cokolwiek, więc po pewnym czasie Humpty Dumpty znowu rozpoczął: — Posiadają one rozmaite usposobienia...szczególnie dumne są

czasowniki...z przymiotnikami możesz uczynić, co zechcesz, ale nie z czasownikami...mimo to ja potrafię sobie dawać radę z nimi wszystkimi! Nieprzenikliwość! To właśnie powiadam!

— Czy mógłbyś mi, proszę, wyjaśnić, co to oznacza? — powiedziała Alicja.

— Teraz przemówiłaś jak rozsądne dziecko — powiedział Humpty Dumpty z wyraźnym zadowoleniem. — Mówiąc „nieprzenikliwość” chciałem powiedzieć, że dość już mówimy o tym przedmiocie i równie dobrze można by porozmawiać o tym, co chcesz teraz przedsięwziąć, bo, jak przypuszczam, nie masz zamiaru stać tu do końca życia.

— To ogromnie trudno zmusić jedno słowo, żeby tyle znaczyło — powiedziała Alicja popadając w zadumę.

— Kiedy zmuszam słowo do wykonania tak wielkiej pracy — powiedział Humpty Dumpty — zawsze dopłacam mu za to.

— Och! — powiedziała Alicja. — Była tak zmieszana, że nie umiała powiedzieć nic więcej.

— Ach, gdybyś widziała je w sobotę wieczorem, gdy przychodzą tu po wypłatę — powiedział Humpty Dumpty kołyszając na boki swą ogromną głowę.

(Alicja nie odważyła się zapytać, czym dokonuje on tej wypłaty, a więc ja także nie umiem wam tego powiedzieć).

— Wydaje się, że umie pan bardzo mądrze wyjaśniać znaczenie wyrazów, proszę pana — powiedziała Alicja. — Czy byłby pan na tyle uprzejmy, żeby wyjaśnić mi znaczenie poematu o nazwie „Dżabbersmok”?

— Posłuchajmy go — powiedział Humpty Dumpty. — Umiem wyjaśniać znaczenie wszystkich poematów, które do tej pory napisano...a także wielu, których nie napisano do tej pory.

Zabrzmiało to tak obiecująco, że Alicja wyrecytowała pierwszą strofę:

Było smaszno, a jaszmije smukwijne
Świdrokrętnie na zegwniku wężały,
Peliczaple stały smutcholijne
I zbłąkinie rykoświstakały.

— To dość na początek — przerwał Humpty Dumpty — jest w tym cała masa trudnych słów. *Smaszno* oznacza czwartą po południu, zwykle bywa duszno o tej porze i zaczyna się już smażyć rzeczy na kolację.

— To dobre wytłumaczenie — powiedziała Alicja — a *smukwijne*?

— No cóż, *smukwijne* oznacza smukłe i wijące się. Jest to, jak widzisz, podobne do walizki...dwa znaczenia pakuje się do jednego słowa.

— Teraz rozumiem — powiedziała Alicja po namyśle — a czym są *jaszmije*?

— Cóż, *jaszmije* to coś podobnego do borsuczych żmij...i podobnego do jaszczurek...i podobnego do korkociągów.

— Bardzo dziwnie muszą chyba wyglądać te stworzenia. — Zapewne — powiedział Humpty Dumpty — a gniazda wiją na trawnikach wokół zegarów słonecznych...i żywią się serem.

— A co to znaczy: *świdrokrętnie* i *węzać*?

— *Świdrokrętnie* oznacza: kręcić się w kółko i w głąb jak korkociąg. *Węzać* oznacza robienie poprzedniego węzowym ruchem.

— A *zegwnik* jest to zapewne trawnik otaczający zegar słoneczny? — powiedziała Alicja zdumiona własną przenikliwością.

— Oczywiście, że tak. Później mamy *smutcholijny*, oznacza to smutny i melancholijny (oto masz nową walizkę). A *peliczaple* są to nħude, wynędniałe ptaki o piórach sterczących na wszystkie strony...przypominające żywe motyle do odkurzania.



— A *zbląkinie* — powiedziała Alicja. — Obawiam się że sprawiam panu bardzo wiele kłopotu.

— Cóż, *zbląkinie* jest to pewien rodzaj zielonych świi, które zbląkały się w drodze z łąki, rozumiesz?

— A co oznacza *rykoświstąkały*?

— *Rykoświstąkać* to coś pomiędzy rykiem a świstem, z odrobiną chrząkania pośrodku; ale może sama to usłyszysz... tam, w głębi lasu... a gdy raz to usłyszysz, zrozumiesz dokładnie wszystko. Któż ci recytował tę tak trudną rzecz?

— Przeczytałam to w książce — powiedziała Alicja. — Ale nieco krótszy utwór poetycki wyrecytował mi... Tweedledee, jak mi się wydaje.

— Jeśli chodzi o utwory poetyckie — powiedział Humpty Dumpty wyciągając przed siebie jedno ze swych potężnych ramion — ja umiem recytować nie gorzej niż inni, gdy zachodzi tego potrzeba...

— Och, nie zajdzie tego potrzeba! — odparła pospiesznie Alicja w nadziei, że powstrzyma go od rozpoczęcia recytacji.

— Utwór, który zarecytuje — ciągnął, nie zwracając uwagi na jej słowa — napisany został w całości dla twojej rozrywki.

Alicja poczuła, że w takim wypadku, naprawdę powinna go wysłuchać, usiadła więc i powiedziała nieco zasmucona:

— Dziękuję panu.

Zimą, gdy śnieg pokryje strzechy

Śpiewam tę pieśń dla twojej uciechy...

— Ale jej nie śpiewam — dodał dla wyjaśnienia.

— Widzę, że nie — powiedziała Alicja.

— Jeżeli widzisz, czy śpiewam, czy nie, musisz mieć ostrzejszy wzrok niż inni — zauważył z przyganą Humpty Dumpty. Alicja umilkła.

Wiosną, gdy las okryją liście,
Wyjaśnię ci to, oczywiście!

— Dziękuję bardzo — powiedziała Alicja.

Latem, gdy dni staną dłuższe,
Sens mojej pieśni ci wyłuszcę.
Jesienią, gdy już liści mało,
Weź pióro: zapisz pieśń tę całą.

— Zrobię to, jeśli będę ją pamiętała tak długo — powiedziała Alicja.

— Nie musisz robić tego rodzaju uwag — powiedział Humpty Dumpty. — Są one bezsensowne i zbijają mnie z tropu.

Do ryb żądanie moje ślę,
Mówiąc im: „Oto czego, czego chcę”.
A rybki małe z wszystkich mórz
Oto odpowiedź ślą mi już.
Maleńkich ryb odpowiedź brzmi:
„Niestety, Drogi Panie, my...”

— Obawiam się, że niezupełnie jasno to zrozumiałam — powiedziała Alicja.

— Dalej będzie łatwiejsze — odparł Humpty Dumpty.

Więc napisałem jeszcze raz:
Lepiej posłuchać, póki czas!
Odparły: „Mamy tego dość!
Czemu Pan ciągle wpada w złość?” Rzekłem raz, że; drugi raz, że;
Ale nie chciały słuchać mnie.
Więc kocioł wielki chwytam ja,
W którym się czyn mój spełnić ma.
Me serce: bom, me serce: bim,
Pod pompą stoję z kotłem tym.
Lecz podszedł do mnie człowiek ten
I rzekł: „Już rybki zmorzył sen”.
Więc rzekłem ja, więc rzekłem mu:
„Musisz obudzić je ze snu!”
Wyrzekłem to na cały głos,
Krzyknąłem to mu prosto w nos.

Głos Humpty Dumpty’ego przeszedł niemal w krzyk, gdy recytował ostatni dwuwiersz, i Alicja pomyślała z dreszczem: „Za żadne skarby nie zgodziłabym się być jego gońcem!”

Lecz ostro rzekł, gdyż hardy był:
Nie musisz krzyczeć z całych sił!”
Hardy i drwiący był; w tym rzecz.
Rzekł: „Poszedłbym je zbudzić, lecz...”
Korkociąg z półki wziąłem sam
I zbudzić je poszedłem tam.
Lecz, że zamknięte były drzwi,
Kopię i biję, stukam i
Wyważyć chcę je, lecz na klucz
Były zamknięte, a ja, prócz...

Nastąpiła długa pauza.

— Czy to wszystko? — zapytała nieśmiało Alicja.

— To wszystko — powiedział Humpty Dumpty. — Do widzenia.

Alicja pomyślała, że jest to raczej niespodziewane: lecz po tak bardzo przejrzystej aluzji, dotyczącej jej odejścia, poczuła, że dalsze pozostawanie tutaj byłoby w bardzo złym tonie. Wstała więc i wyciągnęła rękę. — Do widzenia i do zobaczenia przy następnej okazji! — powiedziała tak wesoło, jak umiała.

— Nie poznałbym cię, nawet gdybyśmy rzeczywiście mieli się jeszcze kiedyś zobaczyć — odparł niechętnie Humpty Dumpty podając jej do uściśnięcia jeden palec. — Jesteś tak bardzo podobna do innych ludzi.

— Ludzi rozpoznaje się zwykle po rysach twarzy — powiedziała Alicja w zamyśleniu.

— Właśnie na to się skarżam — powiedział Humpty Dumpty. — Masz taką samą twarz jak wszyscy pozostali...dwoje oczu, o tu...(kciukiem w powietrzu określił ich miejsce) nos pośrodku, a pod nim usta. Zawsze się to powtarza. Ale gdybyś, na przykład, miała dwoje oczu po jednej stronie nosa...albo usta tam w górze...mogłoby to być w pewien sposób pomocne.

— Nie wyglądałabym ładnie — zaprotestowała Alicja. Lecz Humpty Dumpty przymknął tylko oczy i powiedział: — Nie mów tak, póki nie spróbujesz.

Alicja odczekała chwilę, żeby przekonać się, czy nie przemówi ponownie, ale nie otworzył nawet oczu i zdawał się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi, więc raz jeszcze powiedziała: — Do widzenia! — i, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, oddaliła się na palcach, a odchodząc powiedziała do siebie: — Z wszystkich antypatycznych...(powtórzyła to na głos, gdyż wymówienie tak długiego słowa stanowiło dla niej wielką pociechę) z wszystkich antypatycznych osób, jakie kiedykolwiek spotkałam... — Nigdy nie dokończyła tego zdania, gdyż w tej samej chwili rozległ się trzask tak głośny, że las zakołysał się od końca do końca.



Rozdział VII

Lew i Jednorożec

I oto przez las zaczęli biec żołnierze, początkowo parami i trójkami, później grupkami po dziesięciu i dwudziestu, a w końcu tak tłumnie, że zdawali się wypełniać cały bór. W obawie przed stratowaniem Alicja ukryła się za drzewem i przyglądała się im, gdy przebiegali obok niej.

Pomyślała, że w ciągu całego swego życia nie widziała jeszcze żołnierzy tak niepewnie trzymających się na nogach; potykali się nieustannie na tym lub owym, a gdy którykolwiek z nich runął, natychmiast padało nań kilku innych, tak że wkrótce ziemia pokryła się leżącymi ludźmi.

Potem nadbiegły konie. Posiadając cztery nogi dawały sobie nieco lepiej radę niż piechurzy, ale nawet one potykały się od czasu do czasu, a z reguły, gdy któryś z koni potknął się, jeździec natychmiast spadał na ziemię. Zamieszanie powiększało się z każdą chwilą i Alicja bardzo była uradowana, gdy udało się jej wydostać na otwartą przestrzeń, gdzie odnalazła Białego Króla, siedzącego na ziemi i zapisującego coś pracowicie w notesie.

— Wysłałem ich wszystkich! — zawołał rozradowanym głosem, zwracając się do Alicji. — Kochanie, czy idąc przez las, nie spotkałaś przypadkiem żołnierzy?

— Tak, spotkałam — powiedziała Alicja — kilka tysięcy, jak mi się wydawało.

— Cztery tysiące dwustu siedmiu, jeśli chcesz poznać dokładną liczbę — powiedział Król zaglądając do notesu. — Nie mogłem wysłać wszystkich koni, gdyż dwa, jak wiesz, potrzebne są do gry. I nie wysłałem także obu Gońców. Obaj udali się do miasta. Zerknij no na drogę i powiedz mi, czy nie widzisz któregoś z nich? — Widzę, że nikogo nie ma na drodze — powiedziała Alicja.

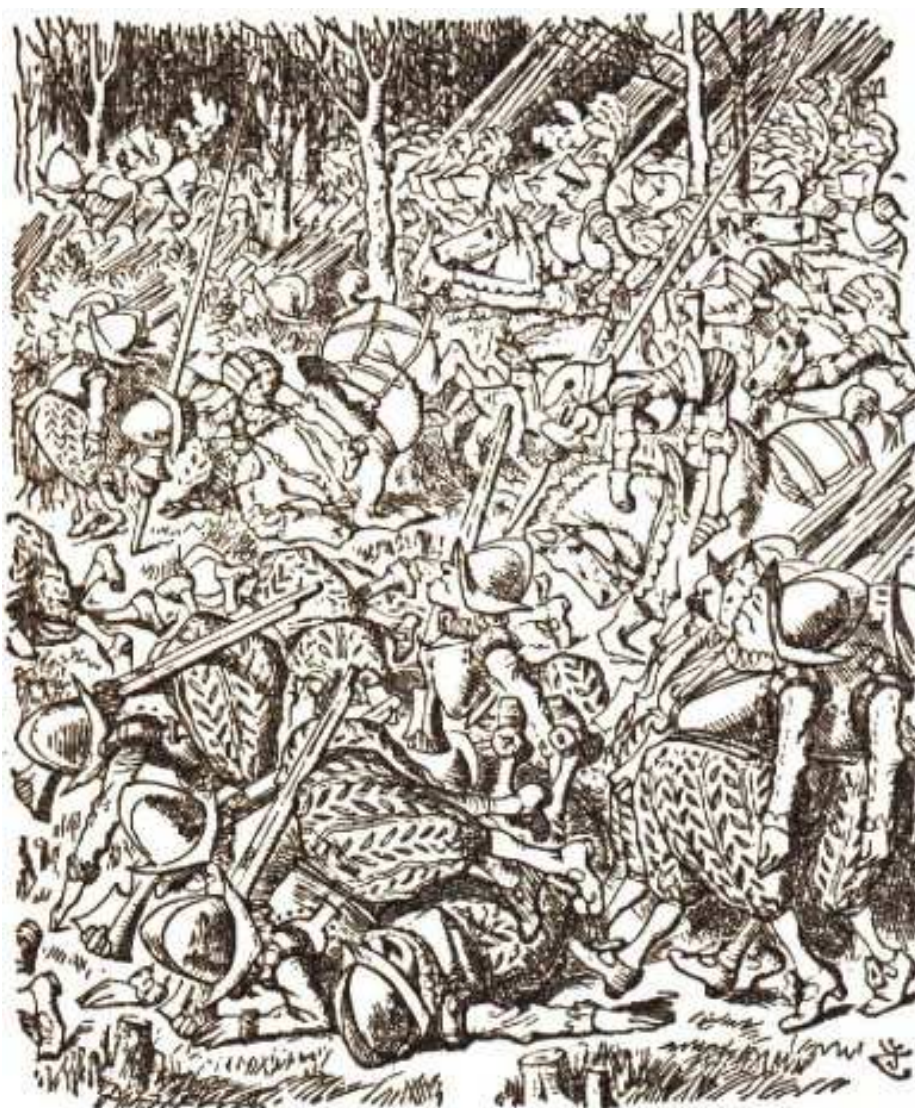
— Jakże chciałbym mieć takie oczy — powiedział Król strapiionym głosem. — Widzieć, że Nikogo nie ma na drodze! I to z takiej odległości! Przy tym świetle zaledwie jestem w stanie stwierdzić, że nie ma tam prawdziwych osób!

Alicja nie usłyszała tego, gdyż wpatrywała się nadal w drogę, przysłoniwszy oczy dłonią. — Teraz widzę kogoś! — zawołała — ale nadchodzi on bardzo powoli...i jakie dziwne pozy przybiera! (Gdyż Goniec bez przerwy podskakiwał i wił się jak piskorz, rozkładając wachlarzowato palce obu rąk).

— Wcale nie dziwne — powiedział Król. — To Anglosaski Goniec, a to są anglosaskie pozy. Przybiera je tylko wtedy, kiedy jest szczęśliwy. Na imię ma Haigha. (Wymawiał to „Hejdzó”).

— Kocham mego kochanego na H — Alicja nie mogła powstrzymać się od rozpoczęcia tej gry w wyrazy — bo jest Hardy. Nienawidzę go na H, bo jest Hałaśliwy. Karmię go...karmię go...Homarami. Na imię ma Haigha, a mieszka...

— Mieszka w Hiszpanii — dodał Król po prostu, nie mając najmniejszego pojęcia, że



włączył się do gry, gdy Alicja medytowała nad nazwą kraju, rozpoczynającą się na H. — Drugi Goniec nazywa się Hatta. Muszę ich mieć dwóch, jak wiesz... żeby mogli odchodzić i przybywać. Jednego, żeby odchodził, a drugiego, żeby przybywał.

— Żebrzę o wybaczenie — powiedziała Alicja — ale nie ro...

— Żebranina jest rzeczą niegodną — powiedział Król.

— Chciałam tylko powiedzieć, że nie rozumiem — powiedziała Alicja. — Dlaczego jednego, żeby odchodził, i drugiego, żeby przybywał?

— Czyżbym ci tego nie wyjaśnił? — powiedział Król niecierpliwie. — Muszę mieć ich dwóch... dla przynoszenia i odnoszenia. Jednego, żeby przynosił, a drugiego, żeby odnosił.

W tej samej chwili przybył Goniec; tak bardzo brakło mu tchu, że nie był w stanie powiedzieć słowa, więc tylko wymachiwał rękami i wyczyniał najokropniejsze grymasy spoglądając na Króla.

— Ta młoda dama kocha cię na „H” — powiedział Król przedstawiając Alicję w nadziei, że odwróci uwagę Gońca od stanu, w jakim się znajdował. Ale nie przyniosło to najmniejszego pożytku, gdyż anglosaskie pozy stawały się z każdą chwilą coraz dziwniejsze, a źrenice Gońca zaczęły przewracać się dziko w ogromnych oczach.

— Budzisz we mnie niepokój! — powiedział Król. — Wydaje mi się, że omdlewam... Daj mi kanapkę z szynką!

Na to Goniec, ku wielkiemu rozbawieniu Alicji, otworzył zawieszony na szyi worek i podał kanapkę Królowi, który pożarł ją łapczywie.

— Jeszcze jedną kanapkę! — powiedział Król.

— Nie pozostało już nic prócz siana — powiedział Goniec, zerkając do worka.

— A więc siano — wyszeptał omdlewająco Król. Alicja ucieszyła się zobaczywszy, że przywróciło mu ono siły. — Nic tak dobrze nie robi jak siano, kiedy człowiek jest bliski omdlenia — zauważył zwróciwszy się ku Alicji i przeżuwać bez przerwy.

— Wydawało mi się zawsze, że najlepiej jest spryskać takiego człowieka zimną wodą — podsunęła Alicja — albo podać mu sole trzeźwiące.

— Nie powiedziałem, że siano działa najlepiej — odparł Król. — Powiedziałem, że nic tak dobrze nie robi jak siano. — Alicja nie odważyła się zaprzeczyć temu. — Kogo minąłeś



na drodze? — ciągnął Król, wyciągając do Gońca rękę po jeszcze trochę siana.

— Nikogo — powiedział Goniec.

— Zupełnie słusznie — powiedział Król — ta młoda dama też go zauważyła. Oczywiście, ten Nikt musiał iść wolniej niż ty.

— Staram się, jak umiem — powiedział Goniec urażonym tonem. — Pewien jestem, że nikt nie potrafi posuwać się o wiele prędzej niż ja!

— Nie jest on w stanie tego dokonać — powiedział Król — inaczej byłby tu przed tobą. Lecz skoro odzyskałeś już oddech, możesz nam opowiedzieć, co się wydarzyło w mieście.

— Wyszepczę to — powiedział Goniec, składając dłonie w trąbkę, przytykając je do ust i pochylając się, żeby być jak najbliżej królewskiego ucha. Jednak, zamiast szepnąć, wrzasnął po prostu na cały głos: — Znowu zaczęli!

— Czy nazywasz to szeptem — krzyknął biedny Król, który odskoczył i zatrzęsł się cały. — Jeśli uczynisz jeszcze raz coś podobnego, każę cię wysmagać! Przeszyło mi to głowę jak trzęsienie ziemi!

„Musiałoby to być bardzo maleńkie trzęsienie ziemi!” — pomyślała Alicja. — Kto znowu zaczął? — odważyła się zapytać.

— Jak to kto? Lew i Jednorożec, oczywiście — powiedział Król.

— Walczący o koronę?

— Tak, to jasne — powiedział Król — ale najśmieszniejsze jest to, że chodzi tu o moją koronę! Pobiegnijmy, żeby się im przyrzyć. — I pobiegli truchtem, a wraz z nimi Alicja, która biegnąc powtarzała w duchu słowa starej piosenki:

Lew stanął z Jednorożcem do boju o koronę.
Przechylił Lew zwycięstwo w boju na swoją stronę.
Dano im trochę pszennego, a trochę żytniego ciasta
I trochę placka ze śliwek, i wybębiono ich z miasta

— Czy ten, który zwycięży...otrzyma koronę? — zapytała przerywanym głosem, gdyż biegła już zupełnie bez tchu.

— Mój Boże, nie! — powiedział Król. — A cóż to za pomysł?

— Czy...byłby pan...na tyle...uprzejmy... — wydyszała Alicja po przebiegnięciu jeszcze kawałka drogi — stanąć...na chwilę...bo już nie mam czym...od...dy...chać?

— Jestem na tyle uprzejmy — powiedział Król — ale nie jestem na tyle silny. Bo widzisz, chwila przebiega tak straszliwie szybko, że nie tylko nie mogę na niej stanąć, ale nawet jej dotknąć. Równie dobrze mogłabyś chcieć dotknąć Banderzwierza!

Alicja nie miała już więcej tchu do prowadzenia rozmowy, więc biegli dalej truchtem w milczeniu, aż wreszcie ujrzeli wielki tłum, pośrodku którego walczyli Lew i Jednorożec. Otoczeni byli tak gęstą chmurą, że w pierwszej chwili Alicja nie umiała ich odróżnić; lecz wkrótce mogła już ustalić, który z nich jest Jednorożcem, gdyż dostrzegła jego róg. Przystanęli tuż obok miejsca, gdzie drugi Goniec o imieniu Hatta stał przyglądając się walce



i mając w jednej ręce filiżankę herbaty, a w drugiej kromkę chleba z masłem.

— Dopiero co wyszedł z więzienia, a gdy go zamykano, nie miał czasu dopić herbaty — wyszeptał Haigha do Alicji — a w więzieniu karmił ich wyłącznie skorupkami ostryg...rozumiesz więc, że jest głodny i ma pragnienie. Jak się masz, drogie dziecko? — powiedział otaczając serdecznie ramieniem szyję Hatty.

Hatta obejrzał się, przytaknął i ponownie zabrał się do swego chleba z masłem.

— Czy byłeś szczęśliwy w więzieniu, drogie dziecko? — zapytał Haigha.

Hatta obejrzał się ponownie i kilka łez spłynęło mu po policzkach, ale nie chciał powiedzieć ani słowa.

— Czy nie umiesz mówić?! — zawołał niecierpliwie Haigha, lecz Hatta nadal żuł popijając herbatą.

— Przemów wreszcie! — zawołał Król. — Jak przebiega walka?

Hatta zdobył się na rozpaczliwy wysiłek i przełknął ogromny kęs chleba z masłem. — Walka przebiega bardzo pięknie — powiedział dławiąc się. — Obaj leżeli już po mniej więcej osiemdziesiąt siedem razy.

— Więc pewnie przyniosą im już wkrótce trochę pszennego i żytniego ciasta? — odważyła się zauważyć Alicja.

— Czekaj już ono na nich — powiedział Hatta. — To właśnie kawałek pszennego zjadłem w tej chwili.

Właśnie wówczas nastąpiła przerwa w walce, Lew i Jednorożec usiedli zdyszani, podczas gdy Król obwieścił: — Dziesięć minut przerwy dla nabrania sił! — Haigha i Hatta natychmiast przystąpili do pracy, obnosząc wokół tace z psennym i żytnim ciastem. Alicja wzięła kawałek i spróbowała, ale było ono bardzo wyschnięte.

— Nie wydaje mi się, aby byli dziś zdolni do podjęcia walki — powiedział Król do Hatty. — Idź i rozkaż, aby rozpoczęto wybębnianie. — A Hatta odbiegł w podskokach jak konik polny.

Przez pewien czas Alicja stała nieruchomo spoglądając za nim. Nagle twarz jej się rozjaśniła. — Spójrzcie, spójrzcie! — zawołała wskazując z podnieceniem. — Oto Biała Królowa przebiega okolicę! Wyleciała z lasu, o tego, tam... Jakże szybko potrafią biec te Królowe!

— Bez wątpienia ściga ją jakiś nieprzyjaciel — powiedział Król, nie spojrzawszy nawet w tamtym kierunku. — Las jest ich pełen.

— Ale czy nie pospieszy jej pan na pomoc? — zapytała Alicja, niesłychanie zdumiona tym, że przyjął całą rzecz tak spokojnie.

— To nic nie da, to nic nie da! — powiedział Król. — Biegnie ona tak strasznie szybko. Równie dobrze mogłabyś spróbować dogonić Banderzwierza! Ale mogę to zanotować, jeżeli sobie życzysz... Jest ona kochanym, miłym stworzeniem — powtórzył łagodnie półgłosem i otworzył notes. — Czy „stworzenie” pisze się przez „w” czy przez „f”?

W tej samej chwili przeszedł obok nich Jednorożec; szedł bez pośpiechu trzymając ręce w kieszeniach. — Tym razem ja miałem przewagę! — powiedział do Króla, obrzuciwszy go przelotnym spojrzeniem i nie zatrzymując się.

— Niewielką... niewielką — odparł Król, nieco nerwowo. — Ale wiesz co, nie powinieneś był go przebijać tym rogiem.

— Nie zrobił mu to krzywdy — odpowiedział beztrząsco Jednorożec odchodząc, lecz w tej samej chwili oko jego zatrzymało się na Alicji; zawrócił w miejscu i przez pewien czas stał przyglądając się jej z wyrazem najgłębszego obrzydzenia.

— Cóż... to... jest? — powiedział wreszcie.

— To jest dziecko! — odparł żywo Haigha, wysuwając się przed Alicję, żeby ją przedstawić, i wyciągnąwszy ku niej w anglosaskiej pozie ręce o dłoniach z rozłożonymi wachlarzowato palcami. — Znaleźliśmy je dziś. Jest duże jak żywe i o wiele bardziej prawdziwe!

— Zawsze myślałem, że są to potwory z bajek! — powiedział Jednorożec. — Czy ono jest żywe?

— Umie mówić — powiedział Haigha poważnie. Jednorożec spojrzał sennym wzrokiem na Alicję i powiedział: — Przemów, dziecko.

Alicja nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, gdy zaczęła mówić: — Czy wiesz, że ja też zawsze myślałam, że Jednorożce to potwory z bajek! Nigdy dotąd nie widziałam żywego Jednorożca! — Cóż, teraz, gdy już zobaczyliśmy się nawzajem, ty uwierzysz we mnie, ja



w ciebie. Czy umowa stoi?

— Oczywiście, jeżeli sobie tego życzysz — powiedziała Alicja.

— Przynieś no trochę placka ze śliwek, staruszkule! — ciągnął Jednorożec, przenosząc wzrok z Alicji na Króla. — Nie chcę mieć nic do czynienia z tym twoim żytym ciastem!

— Oczywiście... oczywiście! — wymamrotał Król i skinął na Haighę. — Otwórz worek! — wyszeptał. — Szybko! Nie ten... ten jest pełen siana!

Haigha wyjął z worka wielki placek i dał go do potrzymania Alicji, a później wydobyl nóż i półmisek. Alicja nie umiała odgadnąć, w jaki sposób wszystkie te przedmioty mieściły się w worku. Przypominało to cyrkową sztuczkę.

Podczas tego przyłączył się do nich Lew; wyglądał jak ktoś bardzo zmęczony i senny, oczy miał na pół przymknięte. — Cóż to jest? — zapytał, mrugając leniwie ku Alicji i przemawiając głębokim, głuchym głosem, który zabrzmiał jak dźwięk wielkiego dzwonu.

— Ach, coż to jest? — zawołał wesoło Jednorożec. — Nigdy nie zgadniesz! Ja nie mogłem!

Lew spojrzał na Alicję z wyrazem znużenia. — Czy jesteś zwierzęciem... warzywem... czy minerałem? — powiedział ziewając przy każdym słowie.

— To potwór z bajki! — krzyknął Jednorożec, zanim Alicja zdążyła odpowiedzieć.

— Więc rozdaj każdemu po kawałku placka śliwkowego, Potworze — powiedział Lew wyciągając się i opierając podbródek na łapach. — A wy obaj, siadajcie — (to było do Króla i do Jednorożca). — Rozdzielaj placek, uczciwie, rozumiesz!

Król był najwyraźniej bardzo zaniepokojony tym, że musi zasiąść pomiędzy dwoma ogromnymi stworzeniami, ale było to jedyne miejsce, jakie mógł zająć.

— Jakiż bój moglibyśmy teraz stoczyć o koronę! — powiedział Jednorożec zerkając spode łba na koronę, która tak dygotała na głowie drżącego Króla, że lada chwila mogła spaść.

— Zdobyłbym ją bez trudu — powiedział Lew.

— Nie jestem tego pewien — powiedział Jednorożec.

— Przechyliłbym zaraz zwycięstwo na swą stronę, ty kurczaczku! — odparł gniewnie Lew i dźwignął się na przednie łapy. — Przepędziłbym cię naokół całego miasta!

Nie chcąc dopuścić do kłótni Król przerwał mu; był bardzo zdenerwowany i głos mu się załamywał. — Naokół całego miasta? — powiedział. — To wielki szmat drogi. Czy drogą przez Stary Most, czy przez Rynek? Najlepszy widok jest ze Starego Mostu.

— Nie mam pojęcia — powiedział Lew i pomrukując ułożył się ponownie. — Było zbyt wiele kurzu, żeby zobaczyć cokolwiek. Ileż czasu dzielenie placka zajmuje temu Potworowi! Alicja usiadła nad brzegiem małego strumyczka, trzymając na kolanach wielki półmisek



i wprawnie zabrała się do dzielenia placka wielkim nożem. — To bardzo denerwujące! — powiedziała odpowiadając Lwu (zaczęła się już przyzwyczajać do tego, że nazywają ją „Potworem”). — Odcięłam kilka kawałków, ale natychmiast znowu łączą się z resztą placka!

— Nie umiesz postępować z Lustrzanymi ciastami — zauważył Jednorożec. — Najpierw podaj placek, a tnij go później.

Zabrzmiało to zupełnie nonsensownie, lecz Alicja posłusznie wstała i obniosła patelnię wśród siedzących; gdy uczyniła to, placek sam podzielił się na trzy części. — A teraz podziel go! — powiedział Lew, gdy powróciła na swoje miejsce z pustym półmiskiem.

— Hej, powiadam wam, że to nieuczciwe! — zawołał Jednorożec, gdy Alicja usiadła z nożem w ręce, nie wiedząc zupełnie, jak się zabrać do dzieła. — Potwór dał Lwu dwa razy więcej niż mnie!

— Ale dla siebie nie zatrzymał ani kawałeczka — powiedział Lew. — Czy nie lubisz placka ze śliwkami, Potworze?

Lecz nim Alicja zdołała mu odpowiedzieć, rozległo się bicie bębnow.

Nie mogła ustalić, skąd nadbiegał ów dźwięk. Powietrze zdawało się być nim wypełnione i grzmiał on w głowie tak, że już wkrótce ogłuchła zupełnie. Zerwała się na nogi i w popłochu przeskoczyła przez

* * *

mały strumyczek, zdążywszy tylko zauważyć, że Lew i Jednorożec powstałi, wściekli, że przerwano im ucztę; a zanim opadła na kolana, uniosła dłonie ku uszom, nadaremnie próbując odciąć się od straszliwego łoskotu.

„Jeśli to ich nie wybębni z miasta — pomyślała — nic nie będzie w stanie tego dokonać!”

Rozdział VIII

„To mój Własny Wynalazek”

Po pewnym czasie hałas zaczął zamierać stopniowo i wreszcie nastąpiła śmiertelna cisza. Alicja z pewnym zaniepokojeniem uniosła głowę. Naokół nie można było dostrzec nikogo i pomyślała, że zapewne musiała śnić o Lwie, Jednoroźcu i tych dziwacznych Anglosaskich Gońcach. Lecz u stóp jej nadal leżał wielki półmisek, na którym próbowała pokroić placek ze śliwkami. — A więc, mimo wszystko, nie przyśniło mi się — powiedziała do siebie — chyba że...chyba że wszyscy jesteśmy częścią czyjegoś snu. Ale chciałabym wierzyć, że to mój sen, a nie sen Czerwonego Króla! Nie chciałabym być częścią cudzego snu! — ciągnęła utyskującym głosem. — Chciałabym bardzo pójść, przebudzić go i zobaczyć, co nastąpi!

W tej samej chwili rozmyślanie jej przerwał głośny okrzyk: — Ahoj! Ahoj! Szach! — i Rycerz okryty karmazynową zbroją nadjechał galopem kierując się wprost ku niej i wznosząc nad głowę ogromną maczugę. Dopadł Alicji i wstrzymał gwałtownie konia.

— Jesteś mym więźniem! — zawołał Rycerz, spadając z konia.

Mimo nagłego przestraszenia Alicja bardziej zatrwożyła się w tej chwili o niego niż o siebie i z niepokojem przyglądała mu się, gdy ponownie dosiadł konia. Gdy tylko rozsiadł się wygodnie w siodle, rozpoczął od nowa: — Jesteś mym... — lecz w tej samej chwili rozległ się nowy głos: — Ahoj! Ahoj! Szach! — i Alicja rozejrzała się ze zdumieniem szukając oczyma nowego nieprzyjaciela.

Tym razem był to Biały Rycerz. Zatrzymał się u boku Alicji i spadł z konia, podobnie jak to uczynił przed nim Czerwony Rycerz, później ponownie dosiadł konia i obaj Rycerze siedząc w siodłach spoglądali na siebie przez pewien czas w milczeniu. Alicja z pewnym oszołomieniem wodziła oczyma od jednego do drugiego.

— Jak wiesz, jest ona moim więźniem! — powiedział wreszcie Czerwony Rycerz.

— Tak, lecz ja przybyłem i odbiłem ją! — odparł Biały Rycerz.

— No cóż, musimy więc o nią walczyć — powiedział Czerwony Rycerz, sięgając po swój hełm (który zwiślał u siodła i przypominał nieco kształtem końską głowę) i wkładając go.

— Będziesz oczywiście stosował się do Zasad Prowadzenia Walki? — zapytał Biały Rycerz, także wkładając hełm.

— Zawsze się do nich stosuję — powiedział Czerwony Rycerz i zaczęli okładać się z taką wściekłością, że Alicja skryła się za drzewem, aby nie paść od przypadkowego ciosu.

— Ciekawa jestem, jakie są te Zasady Prowadzenia Walki — powiedziała do siebie przyglądając się walce i zerkając nieśmiało ze swej kryjówki. — Jedna z Zasad brzmi, zdaje się, tak, że gdy któryś z Rycerzy trafi drugiego, tamten musi spaść z konia, a jeśli nie trafi, wtedy spada sam...a druga Zasada brzmi, jak się zdaje, tak że muszą oni trzymać swe maczugi w taki sposób, jak gdyby piastowali niemowlęta. A jakież hałas powstaje, gdy któryś z nich spadnie! Jak gdyby cała masa fajerek upadła na blachę! A jak potulne są te konie! Zachowują

się zupełnie jak stoły, na które tamci wchodzą i z których spadają! Alicja zaobserwowała jesz-



cze jedną Zasadę Walki, mianowicie fakt, że zawsze spadali z konia na głowę i tak wreszcie zakończyli walkę: spadając równocześnie z koni głową naprzód. Wówczas Czerwony Rycerz dosiadł konia i oddalił się galopem.

— Było to pełne chwały zwycięstwo, prawda? — powiedział dźwigając się z ziemi zdyszany Biały Rycerz.

— Nie wiem — powiedziała Alicja z powątpiewaniem. — Nie chcę być niczym więźniem. Chcę być Królową.

— I będziesz nią, gdy przekroczysz jeszcze jeden strumyk — powiedział Biały Rycerz. — Odprowadzę cię bezpiecznie do skraju lasu... a później muszę się cofnąć, jak wiesz. To koniec mojego ruchu.

— Dziękuję panu bardzo — powiedziała Alicja. — Czy mogę dopomóc w zdjęciu hełmu? — Przekraczało to najwyraźniej jego możliwości, lecz w końcu udało jej się wytrząsnąć go z tego hełmu.

— Teraz człowiek może przynajmniej odetchnąć swobodniej — powiedział Rycerz odgarniając do tyłu obiema dłońmi zmierzwiłone włosy i zwracając swe łagodne oblicze ku Alicji. Pomyślała, że nigdy dotąd nie napotkała tak dziwnego żołnierza.

Okryty był blaszaną zbroją, bardzo źle dopasowaną, jak się wydawało, a na piersiach zwiisało, przytrzymywane dwoma skrzyżowanymi rzemieniami, drewniane pudełko, odwrócone dnem do góry tak, że otwarte wieczko kołysało się luźno u spodu. Alicja zaczęła przyglądać mu się z największym zaciekawieniem.

— Widzę, że podziwiasz moje pudełeczko — powiedział Rycerz przyjaznym tonem. — Jest to mój własny wynalazek... trzymam w nim kanapki i stroje. Jak widzisz, mam je przytwierdzone do góry nogami tak, żeby deszcz nie mógł napadać do wnętrza.

— Ale rzeczy mogą wypadać z wnętrza — zauważyła uprzejmie Alicja. — Czy wie pan, że wieczko otworzyło się?

— Nie zauważyłem tego — powiedział Rycerz i oblicze jego stało się mroczne. — A więc wszystkie rzeczy musiały wypaść stamtąd! A bez nich jakież pożytek z mego pudełka? — Mówiąc to rozwiązał rzemienie i chciał cisnąć pudełko w krzaki, lecz nagle, jak gdyby tknięty niespodzianą myślą, zawiesił je ostrożnie na drzewie. — Czy potrafisz zgadnąć, dlaczego tak uczyniłem? — zwrócił się do Alicji.

Alicja potrząsnęła głową.

— W nadziei, że pszczoły, być może, obiorą je sobie jako gniazdo, a wówczas ja zabiorę miód.

— Ależ pan ma już ul...albo coś podobnego do ula...przytroczony do siodła — powiedziała Alicja.

— Tak, to bardzo dobry ul — powiedział Rycerz z nieukontentowaniem w głosie — jeden z najlepszych. Ale do tej pory nie zbliżyła się do niego jeszcze ani jedna pszczoła. A ten drugi przedmiot, to pułapka na myszy. Przypuszczam, że myszy odstraszaają pszczoły...albo pszczoły odstraszaają myszy...nie wiem, kto kogo.

— Zastanawiałam się, do czego może służyć tu ta pułapka na myszy — powiedziała Alicja. — To przecież mało prawdopodobne, żeby jakaś mysz zawędrowała na grzbiet konia.

— Być może, mało prawdopodobne — powiedział Rycerz — lecz jeśli zechciałyby tam zawędrować, nie życzę sobie, aby mi się tam panoszyły.

— Widzisz — powiedział po chwili milczenia — bardzo dobrze jest być przygotowanym na wszystko. Dla tej właśnie przyczyny koń posiada nabijane kolcami pierścienie wokół kostek.

— A do czego one służą? — zapytała Alicja z zaciekawionym głosem.

— Aby go ustrzec przed ukąszeniami rekinów — odparł Rycerz. — Jest to mój własny wynalazek. A teraz ruszajmy. Podjadę z tobą do skraju lasu...A do czego służy ten półmisek?

— Leżał na nim placek ze śliwkami — powiedziała Alicja.

— Lepiej zabierzmy go z sobą — powiedział Rycerz. — Przyda się, jeśli znajdziemy placek ze śliwkami. Pomóż mi go wsunąć do worka.

Dokonanie tego zajęło im bardzo wiele czasu, choć Alicja trzymała worek otwarty na całą szerokość, a działało się tak, gdyż Rycerz jak najprędzej chciał wsunąć półmisek do środka; podczas pierwszych dwóch czy trzech prób sam wpadł do worka. — Ciężko go tam wsunąć, jak widzisz — powiedział, gdy udało im się wreszcie wetknąć półmisek — gdyż świeczniki zajmują zbyt wiele miejsca w tym worku. — I przytroczył go do siodła, wokół którego wisiały już pęczki marchwi, fajerki i wiele innych rzeczy.

— Mam nadzieję, że masz mocno upięte włosy? — podjął Rycerz, gdy ruszyli wreszcie.

— Tak jak zwykle — powiedziała Alicja uśmiechając się.

— To za mało — powiedział zaniepokojony. — Widzisz, wiatr jest tu bardzo silny, posilny jak zupa.

— Czy wynalazł pan sposób, żeby zapobiec urwaniu włosów przez wichurę? — zapytała Alicja.

— Jeszcze nie — powiedział Rycerz. — Ale wynalazłem sposób, jak zapobiegać wypadaniu włosów.

— Bardzo bym chciała o nim usłyszeć.

— Najpierw trzeba postarać się o prosty, skierowany ku górze kij — powiedział Rycerz. — Później tak układasz włosy, żeby wspinały się po nim. Jak wiadomo, przyczyną, dla której wypadają włosy, jest to, że zwisają one w dół...rzeczy nigdy nie wypadają w górę, jak wiesz. Pomysł ten jest moim własnym wynalazkiem. Możesz go wypróbować, jeżeli zechcesz.

Alicja pomyślała, że wynalazek ten nie będzie należał do najwygodniejszych, jeśli zechce się go wypróbować, więc przez kilka minut szła w zupełnym milczeniu zajęta rozważaniem tego pomysłu, a od czasu do czasu przystawała, żeby pomóc biednemu Rycerzowi, który z całą pewnością nie był dobrym jeźdźcem. Gdy tylko koń przystanął (a czynił to bardzo często),



Rycerz spadał z niego do przodu; a gdy tylko ruszał ponownie (co z reguły następowało dość niespodziewanie), Rycerz spadał do tyłu. Poza tym, trzymałby się zupełnie dobrze w siodle, gdyby nie to, że miał zwyczaj spadania od czasu do czasu na boki; a że przeważnie spadał na tę stronę, po której szła Alicja, odkryła ona wkrótce, że najlepiej zrobi idąc niezupełnie blisko konia.

— Obawiam się, że nie ma pan zbyt wiele wprawy w jeździe konnej — odważyła się powiedzieć, pomagając mu powstać z ziemi po piątym z kolei upadku.

Rycerz zrobił bardzo zdumioną minę i, jak się wydawało, dotknęła go nieco ta uwaga. — Czemu tak powiedziałaś? — zapytał gramoląc się z powrotem na siodło i chwytając dłonią za włosy Alicji żeby zapobiec spadnięciu z drugiej strony.

— Ponieważ ludzie, którzy mają trochę wprawy, nie spadają aż tak bardzo często.

— Mam ogromną wprawę! — powiedział Rycerz z całą powagą. — Ogromną wprawę!

Alicja nie umiała wymyślić niczego innego, jak tylko: — Czy rzeczywiście? — lecz wypowiedziała to słowo głosem tak pełnym serdeczności, jak tylko potrafiła. Później posuwali się przez pewien czas w milczeniu. Rycerz miał oczy przymknięte i mamrotał coś do siebie, Alicja zerknęła na niego z niepokojem, czekając na następny upadek.

— Największą sztuką w czasie jazdy na koniu — powiedział Rycerz niespodziewanie donośnym głosem wznosząc prawą rękę przy tych słowach — jest utrzymywanie... — Tu

przemówienie jego urwało się tak nagle, jak się rozpoczęło, gdyż spadł ciężko z konia na głowę, wprost pod stopy Alicji. Tym razem przestraszyło ją to naprawdę i zapytała pełnym niepokojem głosem: — Mam nadzieję, że nie złamał pan sobie żadnej kości?

— Żadnej, która byłaby godna wzmianki — powiedział Rycerz, jak gdyby złamanie dwu lub trzech kości nie mogło go naprawdę obejść. — Największą sztuką w czasie jazdy na koniu jest, jak już powiedziałem... utrzymywanie równowagi w odpowiedni sposób. W taki, na przykład, jak widzisz...

Wypuścił wodze i rozłożył szeroko ramiona, by ukazać Alicji, co ma na myśli. Tym razem spadł płasko na plecy wprost pod nogi konia.

— Mam ogromną wprawę! — ciągnął, gdy Alicja zabrała się do podnoszenia go. — Ogromną wprawę!

— To już nazbyt śmieszne! — zawołała Alicja straciwszy tym razem całą cierpliwość. — Powinien pan mieć drewnianego konika na kółkach, tak, powinien pan!

— Czy ten rodzaj konia posuwa się naprzód łagodnie? — zapytał Rycerz z największym zainteresowaniem, otoczywszy ramionami szyję konia, aby uniknąć ponownego upadku.

— O wiele łagodniej niż żywy koń — powiedziała Alicja wybuchając śmiechem, choć uczyniła wszystko, co było w jej mocy, żeby się nie roześmiać.

— Kupię sobie jednego — powiedział do siebie Rycerz popadając w zadumę. — Jednego albo dwa... kupię kilka.

Później nastąpiło milczenie, aż wreszcie Rycerz podjął: — Jestem niezwykle uzdolniony jako wynalazca. Zauważyłaś chyba, że kiedy podnosiłaś mnie po raz ostatni, byłem bardzo zamyślony?

— Był pań bardzo poważny — powiedziała Alicja.

— Właśnie wtedy zajęty byłem wynajdywaniem nowego sposobu przełożenia przez zamkniętą furtkę... czy chciałabyś, żebym ci o nim opowiedział?

— Oczywiście, bardzo bym chciała — odparła uprzejmie Alicja.

— Opowiem ci, jak przyszło mi to do głowy — powiedział Rycerz. — Po prostu powiedziałem do siebie: „Jedyną rzeczywistą trudność stanowią nogi; głowa od początku znajduje się na odpowiedniej wysokości”. A więc najpierw przesuwam ponad furtkę głowę... a głowa znajduje się przecież ponad nią... później stoję na głowie, rozumiesz... a potem stopy, oczywiście, znajdują się także na odpowiedniej wysokości... no, i jestem po drugiej stronie, jak widzisz.

— Tak, przypuszczam, że znalazłby się pan po drugiej stronie, gdyby to wszystko zostało dokonane — powiedziała Alicja w zamyśleniu — ale czy nie sądzi pan, że byłoby to raczej trudne?

— Nie wypróbowałem tego jeszcze — powiedział Rycerz z powagą — więc nie umiem ci odpowiedzieć z całą pewnością... ale obawiam się, że mogłyby zaistnieć pewne trudności.

Ponieważ pomysł ten zdawał się sprawiać mu wiele wewnętrznej udręki, Alicja pospieszy nie zmieniała przedmiot rozmowy. — Jaki pan ma dziwny hełm?! — powiedziała pogodnie. — Czy to także pana pomysł?

Rycerz spojrzał dumnie na swój przytroczony do siodła hełm. — Tak — powiedział — ale wymyśliłem lepszy niż ten... podobny do głowy cukru. Gdy miałem go na głowie spadając z konia, natychmiast dotykał ziemi. I, jak pojmujesz, mój upadek był wtedy o wiele krótszy... ale istniało niebezpieczeństwo wpadnięcia do hełmu, to pewne! Przydarzyło mi się to raz... ale najgorsze było to, że zanim zdołałem się z niego wydobyć, przybył drugi Biały Rycerz i włożył go na głowę. Myślał, że to jego własny hełm.

Opowiadając o tym Rycerz miał tak poważny wyraz twarzy, że Alicja nie odważyła się wybuchnąć śmiechem. — Obawiam się, że musiał mu pan zrobić krzywdę — powiedziała

drżącym głosem — znajdując się na czubku jego głowy.

— Musiałem go kopnąć, oczywiście — powiedział Rycerz zupełnie serio. — A wtedy zdjął hełm...ale nim wydobyto mnie z niego, minęły całe godziny. Utkwiłem tam jak...jak w pamięci, rozumiesz?

— Ale to inny rodzaj utkwienia — zaprzeczyła Alicja.

Rycerz potrząsnął głową. — Mogę cię zapewnić, że utkwilem tam w każdy możliwy sposób! — powiedział. Mówiąc to, uniósł w podnieceniu ramiona, natychmiast wypadł z siodła i runął głową naprzód w głąb przydrożnego rowu. Alicja podbiegła do skraju rowu i zaczęła



rozglądać się, poszukując go. Upadek ten zatrwożył ją trochę, gdyż od pewnego czasu Rycerz trzymał się nieźle w siodle i obawiała się, że tym razem mógł sobie zrobić krzywdę. Lecz choć dostrzegała tylko podeszwy jego butów, odczuła wielką ulgę, gdy usłyszała, że mówi dalej zwykłym głosem: — Utkwiłem w każdy możliwy sposób — powtórzył — ale to była wielka bezmyślność z jego strony, włożenie na głowę, hełmu innego człowieka...a w dodatku, z tym innym człowiekiem wewnątrz hełmu.

— Jak pan może mówić tak spokojnie, stojąc na głowie? — zapytała Alicja, gdy wreszcie wyciągnęła go za nogi i ułożyła nad brzegiem rowu.

Rycerz wydawał się zdumiony tym pytaniem. — A jakież może mieć znaczenie pozycja, w której znajduje się moje ciało? — powiedział. — Umysł mój pracuje dokładnie tak samo. W rzeczywistości, im bardziej głowa moja skierowana jest w dół, tym więcej wynalazków dokonuję.

Najmądrzejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek wymyśliłem — podjął po pauzie — było wynalezienie nowego puddingu, gdy spożywałem danie mięsne.

— Na czas, aby można go było przyrządzić jako następne danie? — powiedziała Alicja. — No cóż, to była na pewno szybka robota.

— Nie, nie jako następne danie — powiedział z wolna Rycerz i popadł w zadumę — nie, na pewno nie jako następne danie.

— Więc w takim razie danie na dzień następny. Jestem pewna, że nie zjadłby pan dwóch deserów w ciągu jednego dnia.

— Nie, także nie na dzień następny — powtórzył jak poprzednio Rycerz — nie na dzień następny. Szczerze mówiąc — ciągnął coraz cichszym i cichszym głosem, pochyliwszy głowę — nie wierzę, że ten pudding został kiedykolwiek przyrządzony! Szczerze mówiąc, nie

wierzę, że ten pudding zostanie kiedykolwiek przyrządzony! A jednak wynalezienie tego puddingu było czymś bardzo mądrym.

— A z czego chciał pan go zrobić? — powiedziała Alicja mając nadzieję, że pytanie to podtrzyma go na duchu, gdyż biedny Rycerz wydawał się niezwykle przygnębiony.

— Przede wszystkim składał się on z bibuły — odpowiedział Rycerz wzdychając.

— Obawiam się, że to nie byłoby najsmaczniejsze...

— Nie najsmaczniejsze bez dodatków — przerwał pospiesznie — ale nie masz pojęcia, jaką różnicę stanowi wymieszanie jej z innymi rzeczami... takimi jak proch strzelniczy i lak. Lecz tu muszę cię pożegnać. — Osiągnęli właśnie skraj lasu.

Alicja miała bardzo zaaferowaną minę. Myślała wyłącznie o puddingu.

— Posmutniałaś — powiedział zaniepokojonym głosem Rycerz. — Pozwól, że zaśpiem ci piosenkę, żeby cię pocieszyć.

— Czy to bardzo długa piosenka? — zapytała Alicja, która zdążyła już usłyszeć tego dnia bardzo wiele utworów poetyckich.

— Jest długa — powiedział Rycerz — ale jest bardzo, bardzo piękna. Każdemu, kto usłyszał mnie śpiewającego ją... albo napływały łzy do oczu, albo...

— Albo co? — zapytała Alicja, gdyż Rycerz urwał niespodziewanie.

— Albo nie napływały. Nazwa tej piosenki nazywa się *Rybie Oczy*.

— To znaczy, tak się nazywa ta piosenka? — powiedziała Alicja, starając się okazać zainteresowanie.

— Nie, nie rozumiesz — powiedział Rycerz nieco zbity z tropu. — Tak się nazywa jej nazwa. A nazwa brzmi *Staruszek*.

— Więc powinnam była powiedzieć: „Tak się nazywa ta piosenka?” — poprawiła się Alicja.

— Nie, nie powinnaś była, to zupełnie inna sprawa! Piosenka nazywa się *Sposoby i Drogi*; ale tak się tylko nazywa, wiesz!

— W takim razie, cóż to jest za piosenka? — powiedziała Alicja zupełnie już zdezorientowana w tej chwili.

— Właśnie zbliżałem się do tego — powiedział Rycerz. — Jest to piosenka *O siedzącym na furtce*, a melodia jest moim własnym wynalazkiem.

Powiedziawszy to, zatrzymał konia i pozwolił wodzom opaść na szyję zwierzęcia. Później, z wolna wybijając rytm jedną ręką i z nikłym uśmiechem, który rozświetlił jego łagodne, głupkowate oblicze, jak gdyby ucieszone melodią pieśni, rozpoczął.

Spośród wszystkich dziwacznych rzeczy, które Alicja ujrzała w czasie swej wędrówki Po Drugiej Stronie Lustra, tę zapamiętała najdokładniej. Po latach umiała sobie ponownie odtworzyć całą tę scenę, jak gdyby rozegrała się ona wczoraj... łagodne błękitne oczy i dobrotniwy uśmiech Rycerza... zachodzące słońce, prześwitujące przez jego włosy i lśniące na zbroi takim blaskiem, że niemal oślepiało ją... koń z wodzami zwisającymi u szyi, poruszający się powoli, to tu, to tam, i szczypiący trawę u jej stóp... i mroczny cień lasu w głębi... wszystko to utkwilo w niej jak zapamiętany obraz, gdy ocieniwszy dłonią oczy, oparła się o drzewo, przyglądając się dziwacznej parze stworzeń i wsłuchując w półśnie w melancholijną melodię pieśni.

— Ale melodia ta nie jest jego własnym wynalazkiem — powiedziała do siebie — to *Daję ci wszystko, co ci mogę dać*. — Stała słuchając w skupieniu, lecz łzy nie nabiegły jej do oczu.

Śłuchaj mnie pilnie, moja duszko:
Opowiem ci pokrótce,
Jak napotkałem raz staruszkę,
Siedzącego na furtce.

„Kim jesteś, starcze? – rzekłem. — Powiedz,
 Jak zarabiasz na życie?”
 I zaszumiała mi odpowiedź
 W głowie, jak woda w sicie.
 Powiedział: „Szukam ja motyli,
 Gdy zdrzemną się w pszenicy;
 Pasztet z nich robię i po chwili
 Sprzedaję na ulicy.
 Sprzedaję je, za wolą nieba,
 Żeglarzom na przystani;
 I z tego mam kawałek chleba...
 Niewiele go, mój panie”.
 Lecz ja myślałem o sposobie,
 Jak wasy przejarbować
 Na piękną, jasną zieleń sobie
 I pod wachlarzem schować.
 Więc sądząc, że staruszek kryje
 Prawdę już nazbyt długo,
 Krzyknąłem: „Powiedz, z czego żyjesz?”
 I bęc go w łeb maczugą.
 Łagodnym wejrzał na mnie wzrokiem
 I rzekł: „Wyruszam w drogę,
 A jeśli stanę nad potokiem,
 Podpalam go, gdy mogę.
 W Olej się, Rycynowy, zaraz
 Zmienia mikstura taka...
 A ja za cały mój ambaras
 Mam dwa i pół miedziaka”.
 Lecz ja myślałem o sposobie,
 Jak się odżywiać piaskiem,
 I z wolna dzięki temu sobie
 Zgromadzić tłuszcz pod paskiem.
 Więc trząść począłem starca ciałem,
 Chwyciwszy go za szyję.
 „Czym się zajmujesz!? — zawołałem.
 — Powiedz mi, z czego żyjesz?”
 Rzekł: „Zbieram za dnia rybie oczy.
 Gdzie wrzos rozkwita dziki,
 A później je, wśród cichej nocy,
 Przerabiam na guziki.
 I nie za srebro ani złoto
 Sprzedaję ja skarb taki,
 Ale oddaję go z ochotą:
 Tuzin za dwa miedziaki.
 Mam też kopalnię świeżych bułek
 I kraby na lep łowią
 Lub zbieram koła od dwukółek
 Wśród gór albo w parowie.
 I tak to (mrugnął ku mnie) żyję,
 I skarby zbieram moje... „Zaszczyt mi sprawisz, gdy wypiję,
 Mój Panie, zdrowie twoje”. To uszu doszło mych jedynie,
 Gdyż wpadł mi pomysł prosty,
 Jak, dzięki gotowaniu w winie,
 Przed rdzą ratować mosty.
 Podziękowałem mu serdecznie
 Za udział w tej rozmowie,
 Lecz głównie za to, że tak grzecznie



Chciał wypić moje zdrowie.
Więc dzisiaj, gdy przez roztargnienie
Nos w kłajster wetknąć mogę
Lub kiedy pragną wbić szalenie
W but prawy lewą nogę,
Lub gdy usiądę na malinach,
Na pszczole lub na mrówce,
Płaczę, gdyż to mi przypomina
Tego staruszka, tak miłego...
Cichego tak, tak łagodnego,
I tak jak śnieg srebrnowłosego,
Pełnego smutku głębokiego
I tak do wrony podobnego,
Tak bystro i jasnookiego,
I tak powoli szepczącego,
Jakby zjadł ciasta surowego,
I tak jak wieprz chrząkającego...
Przed laty, pośród dnia letniego
Siedzącego na furtce.

Po odśpiewaniu ostatnich słów ballady, Rycerz ujął wodze i zwrócił konia ku drodze, którą nadeszli. — Musisz przejść jeszcze tylko kilka jardów — powiedział — w dół zbocza tego pagórka, a później przekroczyć strumyk, aby wreszcie stać się Królową... Ale pewnie zaczekasz chwilę, żeby mnie pożegnać, prawda? — dodał, gdy Alicja odwróciła się i spojrzała ciekawie w kierunku, który jej wskazał. — To nie potrwa długo. Zaczekaj i powiej ku mnie chusteczką, kiedy będę się zbliżał do zakrętu drogi! Bo, widzisz, myślę, że mi to doda otuchy.

— Oczywiście, zaczekam — powiedziała Alicja. — I dziękuję panu bardzo za to, że odprowadził mnie pan tak daleko... i za piosenkę... bardzo mi się podobała.

— Mam nadzieję, że tak było — powiedział z powątpiewaniem Rycerz. — Ale nie płakałaś tak bardzo, jak przypuszczałem.

Podali więc sobie ręce i Rycerz z wolna wjechał w bór. — Myślę, że zobaczę go znikającego prędzej, niż można by się spodziewać — powiedziała do siebie Alicja, stojąc i odprowadza-

jąc go wzrokiem! Oto znikła! Spadł na głowę jak zwykle! Ale wdrapuje się na konia z wielką łatwością, pewnie dlatego, że tyle rzeczy zwisa wokół siodła... — Mówiła tak, przyglądając się koniowi oddalającemu się stępą drogą i Rycerzowi, który znów spadł z jednej strony, a potem z drugiej. Po czwartym czy piątym upadku osiągnął zakręt i wówczas powiała ku niemu chusteczką i zaczęła, aż zniknie jej z oczu.

— Mam nadzieję, że dodało mu to otuchy — powiedziała, odwracając się, żeby zbiec po zboczu pagórka — a teraz, ostatni strumyk i... będę Królową! Jak wspaniale to brzmi! — Kilka kroków i stanęła nad brzegiem potoku. — Nareszcie Ósmy Kwadrat! — zawołała i skoczyła ponad

* * *

strumykiem, a później położyła się, by wypocząć chwilę na miękkiej jak mech łące, upstrzonej tu i ówdzie pękami polnych kwiatów. — Och, jak szczęśliwa jestem, że znalazłam się tutaj! A cóż to takiego mam na głowie? — zawołała z przestrawieniem, unosząc ręce ku ciężkiemu przedmiotowi, który zdawał się dokładnie opasywać jej skronie.

— Ale jak mógł się tam znaleźć bez mojej wiedzy? — powiedziała do siebie, zdejmując ów przedmiot i kładąc go na kolanach, żeby stwierdzić, coż to takiego może być.

Była to złota korona.



Rozdział IX

Królowa Alicja

Ależ to wspaniałe! ??? powiedziała Alicja. ??? Nigdy nie spodziewałam się, że tak prędko zostanę Królową... i powiem ci coś, Wasza Królewska Mość — ciągnęła surowo (zawsze lubiła ganić siebie) — w żadnym wypadku nie uchodzi, żebyś się tak wylegiwała na trawie! Królowe powinny być pełne godności, wiesz!

Wstała więc i zaczęła się przechadzać... początkowo nieco sztywno, gdyż obawiała się, że korona może spaść z głowy, ale pocieszyła się myślą, że dokoła nie ma nikogo, kto mógłby to zobaczyć. — A jeśli naprawdę stałam się Królową — powiedziała siadając ponownie — nauczę się po pewnym czasie dawać sobie z nią radę.

Wszystko odbywało się w tak zdumiewający sposób, że nie zdziwiła się wcale, ujrawszy, że Czerwona Królowa i Biała Królowa siedzą po obu jej bokach i to bardzo blisko. Ogromnie korciło ją, żeby zapytać, jak się tu znalazły, lecz obawiała się, że nie byłoby to zbyt grzeczne. Ale, bądź co bądź, pomyślała, nie stałoby się nic złego, gdyby zapytała, czy gra jest już zakończona. — Czy mogłaby mi pani powiedzieć, proszę pani... — zaczęła nieśmiało, spoglądając na Czerwoną Królową.

— Nie odzywaj się nie pytała! — przerwała jej ostro Królowa.

— Ale gdyby wszyscy byli posłuszni tej zasadzie — powiedziała Alicja, która zawsze była gotowa posprzeczać się nieco — i gdybyśmy odzywali się tylko wtedy, kiedy ktoś się do nas odezwie, a te inne osoby czekałyby także, aż my się odezwiemy, wtedy, rozumie pani, nikt nie mógłby się odezwać i...

— Śmieszne! — zawołała Królowa. — Jak to? Czy nie pojmujesz, moje dziecko... — Tu urwała i zmarszczyła brwi, a później, zastanowiwszy się, zmieniła nagle przedmiot rozmowy. — Co masz na myśli, mówiąc: „jeśli naprawdę stałam się Królową?” Jakie masz prawo, żeby nazywać się w ten sposób? Jak wiesz, nie możesz zostać Królową, póki nie zdasz koniecznego egzaminu. A im prędzej go rozpoczniemy, tym lepiej.

— Powiedziałam tylko „jeśli”! — zaczęła błagalnie Alicja żałosnym tonem.

Obie Królowe spojrzały na siebie i Czerwona Królowa zauważyła wzdrygając się lekko: — Ona powiada, że powiedziała tylko „jeśli”...

— Ach, lecz ona powiedziała o wiele więcej! — jęknęła Biała Królowa załamując ręce. — Och, o wiele więcej!

— To prawda, sama wiesz, że powiedziałaś więcej — powiedziała Czerwona Królowa do Alicji. — Zawsze mów prawdę... pomyśl, nim zaczniesz mówić... a później zapisuj wszystko.

— Jestem pewna, że to nie miało znaczenia, które... — zaczęła Alicja, lecz Czerwona Królowa przerwała jej niecierpliwie:

— O to właśnie mam pretensję! Powinnaś była chcieć, żeby to miało znaczenie! Jak przypuszczasz, jaki może być pożytek z dziecka, które nie ma znaczenia? Nawet żart powinien

mieć znaczenie...a mam nadzieję, że dziecko chyba jest ważniejsze niż żart. Nie mogłabyś temu zaprzeczyć, nawet gdybyś próbowała oburacz.

— Nie zaprzeczam niczemu rękami — sprzeciwiła się Alicja.

— Nikt nie mówi, że zaprzeczasz — powiedziała Czerwona Królowa. — Powiedziałam, że nie mogłabyś, nawet gdybyś próbowała.

— Znajduje się ona w takim stanie umysłu — powiedziała Biała Królowa — że chce zaprzeczyć czemuś...ale nie wie, czemu!

— Paskudne, złośliwe usposobienie — zauważyła Czerwona Królowa; później przez minutę lub dwie ciągnęło się nieprzyjemne milczenie.

Przerwała je Czerwona Królowa, mówiąc do Białej Królowej: — Zapraszam cię na przyjęcie u Alicji, które odbędzie się dziś po południu.

Biała Królowa uśmiechnęła się blado i powiedziała: — A ja zapraszam ciebie.

— W ogóle nie wiedziałam, że urządzam przyjęcie — powiedziała Alicja — ale jeżeli ma się ono odbyć, myślę, że to ja powinnam zapraszać gości.

— Dałyśmy ci okazję do zrobienia tego — zauważyła Czerwona Królowa — ale ośmielam się stwierdzić, że chyba nie udzielono ci jeszcze zbyt wielu lekcji dobrych manier?

— Manier nie uczy się podczas lekcji — powiedziała Alicja. — Podczas lekcji uczą dodawania i tym podobnych rzeczy.

— Czy potrafisz dodawać? — zapytała Biała Królowa. — Ile to będzie jeden plus jeden plus jeden plus jeden plus jeden plus jeden plus jeden plus jeden plus jeden plus jeden?

— Nie wiem — powiedziała Alicja. — Straciłam rachubę.

— Nie umie dodawać — przerwała Czerwona Królowa. — Czy umiesz odejmować? Odejmij dziewięć od ośmiu.

— Dziewięć od ośmiu, nie mogę, jak pani wie — odpowiedziała Alicja z całą gotowością — ale...

— Nie umie odejmować — powiedziała Biała Królowa. — Czy umiesz dzielić? Podziel bochenek nożem...jaki będzie wynik? — Przypuszczam... — zaczęła Alicja, ale Czerwona



Królowa odpowiedziała za nią:

— Chleb z masłem, oczywiście. Spróbuj innego przykładu z odejmowania. Odejmij kość psu. Ile pozostanie?

Alicja przemyślała to. — Kość, oczywiście, nie pozostanie, jeśli ją odejmę... pies także nie pozostanie, bo podejdzie, żeby mnie ugryźć... i jestem pewna, że ja wtedy także nie pozostanę!

— Więc sądzisz, że nic nie pozostanie? — powiedziała Czerwona Królowa.

— Myślę, że taka byłaby prawidłowa odpowiedź.

— Żle, jak zwykle — powiedziała Czerwona Królowa. — Pozostałaby cierpliwość psa.

— Ale nie rozumiem jak...

— Jak to?! Popatrz tylko! — zawołała Czerwona Królowa. — Pies straciłby cierpliwość, prawda?

— Być może — odpowiedziała przezornie Alicja.

— A wówczas, gdyby pies odszedł, cierpliwość musiałaby pozostać! — wykrzyknęła tryumfalnie Królowa.

— Mogliby odejść w przeciwne strony — powiedziała Alicja tak poważnie, jak potrafiła. Ale nie mogła powstrzymać się od powiedzenia w myśli: „A cóż to za okropne nonsensy wygadujemy”

— Ani trochę nie umie rachunków! — powiedziały obie Królowe jednocześnie z wielkim naciskiem.

— A czy pani umie rachunki? — powiedziała Alicja zwracając się niespodzianie do Białej Królowej, gdyż nie była zachwycona tym wyszukiwaniem wad w jej osobie.

Królowa wciągnęła głęboko powietrze i przymknęła oczy. — Umiem dodawać — powiedziała — jeśli da mi się dość czasu...ale nie potrafię dzielić w żadnych okolicznościach!

— Oczywiście znasz ABCadło? — powiedziała Czerwona Królowa.

— Z całą pewnością — powiedziała Alicja.

— I ja też — szepnęła Biała Królowa.

— Będziemy je sobie często przepowiadały, kochanie. I powiem ci sekret...umiem czytać jednoliterowe wyrazy! Czy to nie wspaniałe! Ale nie zniechęcaj się. Dojdiesz do tego po pewnym czasie.

Tu Czerwona Królowa podjęła ponownie: — Czy umiesz odpowiedzieć na pytania praktyczne? — powiedziała. — Na przykład, z czego i jak robi się chleb?

— Na to umiem odpowiedzieć! — zawołała żywo Alicja. — Oczywiście, grunt to mąka, a później...

— Jaki grunt! Ile gruntu? Nie należy opuszczać tak ważnych szczegółów!

— Nie to miałam na myśli...więc jest mąka...ale najpierw się mąkę miele...

— Miele? Wiele?

— Tyle, ile...

— Miele wiele tyle ile! — przerwała jej Czerwona Królowa. — Trzeba ją trochę powachlować, bo zdaje się, że myślenie przyprawia ją o gorączkę. — Więcabrały się do dzieła i tak długo wachlowały Alicję pękami liści, póki nie zaczęła je błagać, żeby przestały, gdyż rozwiane włosy zupełnie jej się splątały.

— Czuje się dobrze — powiedziała Czerwona Królowa. — Czy znasz języki? — Jak przetłumaczysz „Tra-la-la” na francuski?

— Ależ „Tra-la-la” nie jest po angielsku — odparła poważnie Alicja.

— A kto twierdził, że jest? — powiedziała Czerwona Królowa.

Alicji przyszło do głowy, że tym razem znalazła wyjście. — Jeżeli powie mi pani, w jakim języku jest „Tra-la-la”, powiem pani, jak to brzmi po francusku! — zawołała tryumfalnie.

Lecz Czerwona Królowa wyprostowała się sztywno i powiedziała: — Królowe nigdy nie zawierają umów.

„Jakżebym chciała, żeby królowe nigdy nie zadawały pytań” — pomyślała Alicja.

— Nie sprzecajmy się — powiedziała z niepokojem Biała Królowa. — Skąd się bierze błyskawica?

— Skąd się bierze błyskawica? — powiedziała zdecydowanie Alicja, gdyż była pewna odpowiedzi. — Z gromu...nie, nie! — poprawiła się pospiesznie. — Chciałam powiedzieć odwrotnie.

— Już za późno na poprawki — powiedziała Czerwona Królowa. — Gdy raz coś powiedziałeś, musisz ponosić konsekwencje.

— Co mi przypomina... — powiedziała Biała Królowa spuściwszy oczy i nerwowo zalamując ręce — że mieliśmy taką straszną burzę w zeszły wtorek...chcę powiedzieć, w zeszłą grupę wtorków.

Alicja była zaintrygowana. W naszym kraju — zauważyła — dni następują po sobie pojedynczo.

Czerwona Królowa powiedziała: — Jest to ubogi i cienki sposób następowania dni po sobie. Gdyż tutaj mamy zwykle po dwa albo trzy dni lub noce równocześnie, a czasem zimą miewamy aż po pięć nocy na raz...żeby było cieplej, wiesz.

— Czy pięć nocy daje więcej ciepła niż jedna? — odważyła się zapytać Alicja.

— Pięć razy więcej ciepła, oczywiście.

— Ale na tej samej zasadzie powinny one dawać także pięć razy więcej zimna...

— Dokładnie! — zawołała Czerwona Królowa. — Pięć razy więcej ciepła i pięć razy więcej zimna...tak...jak ja jestem pięć razy bogatsza i pięć razy mądrzejsza niż ty!

Alicja westchnęła i dała za wygraną. „Jest to zupełnie jak zagadka bez odpowiedzi!” — pomyślała.

— Humpty Dumpty też to dostrzegł — podjęła przyciszonym głosem Biała Królowa, jak gdyby mówiąc tylko do siebie. — Podeszedł do drzwi trzymając w dłoni korkociąg...

— Czego chciał? — powiedziała Czerwona Królowa.

— Powiedział, że musi wejść — ciągnęła Biała Królowa — gdyż poszukiwał hipopotama. Ale tak się zdarzyło, że nie było takiego stworzenia w domu tego ranka.

— A czy zwykle przebywa ono tam? — zapytała Alicja zdumionym głosem.

— Cóż, tylko we czwartki — powiedziała Królowa.

— Wiem, dlaczego tam poszedł — powiedziała Alicja. — Chciał ukarać ryby, ponieważ...

Tu Biała Królowa rozpoczęła ponownie: — Była to taka burza, że nie możecie sobie wyobrazić! — Ona nigdy nie może sobie niczego wyobrazić, wiesz? — powiedziała Czerwona Królowa. I kawał dachu oderwał się, a wielka część gromu wpadła do środka...i zaczęła toczyć się po pokoju, i rozpadła się na bryły...i przewróciły one stół i inne rzeczy...A ja tak się przestraszyłam, że nie mogłam sobie przypomnieć, jak mam na imię!

Alicja pomyślała: „Nigdy nie próbowałabym przypomnieć sobie, jak mam na imię, gdybym znajdowała się w tej samej chwili w niebezpieczeństwie! Jakież byłby z tego pożytek?” Ale nie wypowiedziała tego na głos w obawie, by nie urazić uczuć, biednej Królowej.

— Wasza Królewska Mość musi jej wybaczyć — powiedziała do Alicji Czerwona Królowa ujmując jedną z dłoni Białej Królowej i głaszcząc ją łagodnie.

— Ona chce jak najlepiej, ale nie może powstrzymać się od mówienia głupstw.

Biała Królowa spojrzała nieśmiało na Alicję, która poczuła, że powinna powiedzieć coś miłego, ale naprawdę nie umiała w tej chwili niczego takiego wymyślić.

— Nikt nigdy naprawdę nie zajmował się jej wychowaniem — ciągnęła Czerwona Królowa — ale to zdumiewające, jak miłe ma usposobienie! Pogłaszcz ją po głowie, a zobaczysz, jak wielką jej sprawisz przyjemność! — Lecz to było więcej, niż Alicja miała odwagę zrobić.

— Trochę dobroci...i ułożenie jej włosów w papilotach...dokonałoby cudów...

Biała Królowa westchnęła głęboko i położyła głowę na ramieniu Alicji. — Jestem taka senna! — wyjęczała.

— Jest zmęczona, biedactwo! — powiedziała Czerwona Królowa. — Ułóż jej włosy... pożycz jej swój nocny czepeczek... i zaśpiewaj jej kojącą kołysankę.

— Nie mam tu z sobą nocnego czepeczka — powiedziała Alicja, próbując wykonać pierwsze polecenie — i nie znam żadnych kojących kołysanek.

— Więc muszę ją sama zaśpiewać — powiedziała Czerwona Królowa i zaczęła:

Ach, niech na ramieniu Alicji odpocznie!
Niech śni, nim się uczta wspaniała rozpocznie,
Po uczcie, na balu, zatańczy nam śmiało
Alicja z Królową Czerwoną i Białą!

— A teraz, kiedy znasz już słowa — dodała, kładąc głowę na drugim ramieniu Alicji — po prostu zaśpiewaj to raz jeszcze dla mnie. Ja także jestem senna. — Po chwili obie Królowe były już głęboko uśpione i chrapały głośno.

— I co ja teraz pocznę? — zawołała Alicja, rozglądając się wokół z ogromnym zakłopotaniem, gdy najpierw jedna krągła głowa, a później druga zsunęły się jej z ramion i opadły ciężko na kolana. — Myślę, że nikt przedtem nie musiał opiekować się dwiema Królowymi na raz! Nie, w całej Historii Anglii nie było tego!... Nie mogło być, wiecie, bo nigdy nie było dwóch Królowych równocześnie. Zbudźcie się, wy, ciężkie stworzenia! — ciągnęła niecierpliwym tonem, ale jedyną odpowiedzią było łagodne chrapanie. Chrapanie to stawało



się wyraźniejsze z każdą minutą i coraz bardziej zaczęło przypominać piosenkę; wreszcie udało się jej rozróżnić poszczególne słowa i wsłuchiwała się tak pilnie, że gdy dwie wielkie głowy zniknęły nagle z jej kolan, niemal nie zwróciła na to uwagi. Stała przed sklepioną ostrołukową bramą, nad którą widniały wypisane wielkimi literami słowa: KRÓLOWA ALICJA, a po obu stronach bramy znajdowały się uchwyty dzwoneków, jeden oznaczony napisem: „Dzwonek dla Gości”, a drugi: „Dzwonek dla Służby”.

„Zaczekam na koniec piosenki — pomyślała Alicja — a później pociągnę za... pociągnę za... za który dzwonek mam pociągnąć? — ciągnęła zmieszana. — Nie jestem gościem i nie jestem służącą. Powinien znajdować się tu dzwonek z napisem: „Dla Królowej”, wiecie...”

W tej samej chwili drzwi uchyliły się nieco i wystawiło przez nie głowę stworzenie ozdobione długim dziobem, które powiedziało: — Wstęp wzbroniony, aż do przyszłego tygodnia! — i z łoskotem zamknęło drzwi.

Alicja przez tak długi czas pukała i dzwoniła bezskutecznie, że w końcu pewna bardzo



stara Żaba, która do tej pory siedziała pod drzewem, wstała i podeszła utykając; ubrana była w jaskrawożółty strój i miała na nogach ogromne buciory.

— Cóż tam znowu? — powiedziała Żaba głuchym, ochrypłym szeptem.

Alicja odwróciła się ku niej, gotowa wystąpić z pretensją wobec każdego, kto się nawinie. — Gdzie jest służący, którego obowiązkiem byłoby odpowiadanie u tych drzwi? — zaczęła gniewnie.

— U jakich drzwi? — powiedziała Żaba.

Alicja niemal tupnęła, tak zirytowało ją powolne cedzenie słów przez Żabę. — U tych drzwi, oczywiście!

Żaba spojrzała na drzwi i przyglądała się im przez pełną minutę wielkimi, pozbawionymi wyrazu oczyma, później zbliżyła się do nich i potarła je kciukiem, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy farba z nich zejdzie, wreszcie spojrzała na Alicję.

— Odpowiadanie u tych drzwi? — powiedziała. — A czy pytano tu o coś?

Głos był tak ochrypły, że Alicji zaledwie udało się rozróżnić słowa.

— Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć — powiedziała.

— Mówię po angielsku, prawda? — zauważyła Żaba. — Czy jesteś głucha? O co pytałaś?

— O nic! — powiedziała Alicja tracąc cierpliwość. — Pukałam do tych drzwi!

— Nie należy tego robić...nie należy tego robić... — wymamrotała Żaba. — To sprawia im udrękę, wiesz. — Potem podeszła i wymierzyła jednym ze swych ogromnych buciorów

wściekłego kopniaka w drzwi. — Pozostaw je w spokoju — wyrzeźbiła kuśtykając na powrót ku drzewu — a one ciebie pozostawią w spokoju, wiesz.

W tejże chwili drzwi otwarły się na oścież i dał się słyszeć piskliwy głos:

Światu, który jest w Lustrze, tak Alicja dziś powie:
„O to w dłoni mam berło, a koronę na głowie;
Niech Lustrzane istoty mkną na ucztę tu śmiało:
Czekam tu, wraz z Królową ich Czerwoną i Białą!”

a setki głosów przyłączyły się do chóru:

Więc wzniescie puchary czym prędzej do gęby!
A niechaj stół cały umają otręby!
Wrzuć kota do kawy, w herbatę pomyje...
Trzy razy trzydzieści Alicja niech żyje!

Potem nastąpił hałas wznoszonych toastów i Alicja pomyślała: „Trzy razy trzydzieści, to razem dziewięćdziesiąt toastów. Ciekawa jestem, czy ktoś je liczy?” Po chwili znów zapanało milczenie i ten sam piskliwy głos odśpiewał drugą zwrotkę:

„O, Lustrzane istoty — tak Alicja im powie —
Jest to zaszczyt największy, mej przysłuchać się mowie!
Zbliźcie się, gdyż przywilej wielki to, daję słowo,
Siąść tu ze mną i z Białą, i Czerwoną Królową!”

I znowu rozległ się chór:

Więc wzniesmy puchary i pijmy inkaustem Jej zdrowie,
a jednym wychylmy je haustem;
Wrzuć piasek do piwa, do wina sitowie...
Sto trzy razy osiem Alicji wznies zdrowie!

— Sto trzy razy osiem! — powtórzyła zrozpaczona Alicja. — Nigdy tego nie przemnożę! Najlepiej zrobię, jeżeli od razu tam wejdę... — i weszła do środka, a w chwili gdy ukazała się, zaległo grobowe milczenie.

Alicja powiodła nerwowo oczyma wzdłuż stołu i przechodząc przez środek wielkiej sali zauważyła, że znajdowało się przy nim około pięćdziesięciu gości najrozmaitszych rodzajów: niektórzy byli zwierzętami, inni ptakami, a znajdowało się nawet pomiędzy nimi kilka kwiatów. „Cieszę się, że przybyły nie czekając zaproszenia — pomyślała. — Nigdy bym nie doszła, które z tych osobistości należy zaprosić”.

W głowach stołu postawiono trzy krzesła; Królowe, Czerwona i Biała, zajęły już dwa z nich, lecz środkowe było puste. Alicja usiadła na nim, zaniepokojona przedłużającym się milczeniem i stęskniona za tym, żeby ktoś wreszcie przemówił.

W końcu Czerwona Królowa rozpoczęła: — Spóźniłaś się na zupę i rybę — powiedziała. — Podajcie pieczeń! — i lokaje postawili udziec barani przed Alicją, która zerknęła nań z pewnym niepokojem, gdyż nigdy dotąd nie kazano jej kroić pieczeni.

— Wyglądasz, jakbyś była nieco onieśmielona — powiedziała Czerwona Królowa. — Pozwól więc, że przedstawię cię udźcowi baraniemu. Alicja — Baranina; Baranina — Alicja. — Udziec barani powstał z półmiska i skłonił się Alicji, która odwzajemniła ukłon nie wiedząc, czy ma ją to rozśmieszyć, czy zatrwożyć. — Czy mogę wam dać po kawałku? — zapytała biorąc nóż i widelec i przesunąwszy wzrokiem od jednej do drugiej Królowej.

— Z całą pewnością, nie! — powiedziała stanowczo Czerwona Królowa. — Krojenie kogoś, komu się było przedstawionym, jest niezgodne z etykietą. Zabierzcie pieczeń! — I lokaje wynieśli pieczeń, przynosząc w zamian wielki pudding śliwkowy.

— Proszę nie przedstawiać mnie puddingowi! — zawołała pospiesznie Alicja — bo nie pozostanie nam zupełnie nic z obiadu. Czy mogę was poczęstować?



Lecz Czerwona Królowa spojrzała spode łba i warknęła: — Pudding — Alicja; Alicja — Pudding. Zabierzcie pudding! — I lokaje zabrali go tak szybko, że Alicja nie zdążyła nawet odwzajemnić jego ukłonu.

Mimo to nie widziała najmniejszego powodu, aby Czerwona Królowa miała tu być jedyną osobą wydającą rozkazy, więc traktując to jako eksperyment zawołała: — Służba! Proszę przynieść z powrotem pudding! — i oto po chwili pojawił się ponownie, jak gdyby wyczarowany przez sztukmistrza. Był tak ogromny, że onieśmiał ją nieco, podobnie jak udziec barani; przewyciężyła jednak z największym wysiłkiem to onieśmienie, odcięła kawałek i podała Czerwonej Królowej.

— A cóż to za impertynencja! — powiedział pudding. — Ciekaw jestem, jak byś ty to zniosła, gdyby odcięto kawałek ciebie, ty kreaturo!

Mówił głosem gęstym i lepkiem jak syrop, a biedna Alicja nie umiała mu odpowiedzieć ani jednym słowem; patrzyła nań tylko w milczeniu oddychając urywanie.

— Zrób jakąś uwagę — powiedziała Czerwona Królowa. — Przecież to ośmieszające pozostawić całą konwersację puddingowi!

— Czy wiecie, jak wiele wyrecytowano mi dziś poezji — powiedziała Alicja, nieco zatrwożona wlepionymi w nią oczyma wszystkich i grobowym milczeniem, które zapadało natychmiast, ile razy odważyła się otworzyć usta — jedno było w tym, jak mi się wydaje, naj-

dziwniejsze...każdy utwór miał coś wspólnego z rybami. Czy nie wiecie, dlaczego wszyscy tu tak lubują się w rybach? Zwróciła się ku Czerwonej Królowej, której odpowiedź zabrzmiała



nieco ni w pięć, ni w dziewięć. — Jeśli chodzi o ryby — powiedziała bardzo powoli i uroczyście, zbliżywszy wargi do ucha Alicji — to jej Biała Królewska Mość zna piękną zagadkę...całą wierszem...i całą o rybach. Czy ma ją powtórzyć?

— Jej Czerwona Królewska Mość jest bardzo uprzejma, że zechciała to wzmiankować — wyszeptała Biała Królowa do drugiego ucha Alicji. — Byłaby to dla mnie prawdziwa ucztą! Czy mogę?

— Proszę bardzo — powiedziała jak najuprzejmiej Alicja.

Uradowana Biała Królowa roześmiała się i poklepała Alicję po policzku. Po czym zaczęła:

„Najpierw ryba musi być złowiona”.

To łatwe: rybę, jak sądzę, ułowi nawet głupi.

„Później ryba musi być kupiona”.

To łatwe: rybę, jak sądzę, za pensa każdy kupi.

„Teraz rybę ugotować należy!”

To łatwe i w minutę lub dwie się odbywa.

„Więc teraz niech w garnku już leży!”

To łatwe, oto ryba już w garnku spoczywa.
„Chcę ją zjeść! Więc na stół ją wnieście!”
To łatwe, oto garnek już na stole stoi.
„Więc pokrywkę garnka podnieście!”
Ach, ciężar tej pokrywy jest ponad siły moje!
Niesłuchanie to prosta zagadka,
O odpowiedź jednoznaczną chcę was prosić:
Czy można, nie podnosząc ryby z garnka,
Zalety ryby leżącej w garnku podnosić?

— Zastanów się nad tym przez minutę albo dwie i odgaduj — powiedziała Czerwona Królowa. — A my tymczasem wypijemy twoje zdrowie... Zdrowie Królowej Alicji! — wrzasnęła na cały głos, a wszyscy goście natychmiast zaczęli pić, lecz czynili to dość dziwnie: niektórzy z nich stawiali sobie odwrócone szklanki na głowie, jakby się chcieli ugasić, i zlizywali wszystko, co spływało im po twarzy... inni przewracali puchary i pili wino spływające w dół z krawędzi stołu... a trzej z nich (przypominający z wyglądu kangury) wgramolili się do półmiska pieczonej baraniny i zaczęli gorliwie chleptać sos, „zupełnie jak świny z koryta!” — pomyślała Alicja.

— Powinnaś podziękować w pięknie wygłoszonej mowie — powiedziała Czerwona Królowa, zwracając się ku Alicji i marszcząc brwi.

— Musimy cię podtrzymywać, jak wiesz — wyszeptała Biała Królowa, gdy nieco zatrwożona Alicja wstała posłusznie.

— Dziękuję bardzo — wyszeptała Alicja w odpowiedzi — ale doskonale się bez tego obejdę.

— To nie uchodzi — powiedziała stanowczo Czerwona Królowa, więc Alicja zgodziła się robić dobrą minę do złej gry.

(— Ależ mnie ścisnęły! — powiedziała później, opowiadając przebieg uczyty siostrze. — Mogłabyś pomyśleć, że chcą mnie zupełnie spłaszczyć!)

W rzeczywistości z najwyższym wysiłkiem udało się jej pozostać na miejscu w czasie przemówienia; obie Królowe napierały na nią tak bardzo z obu stron, że dźwignęły ją niemal w powietrze. — Zabieram głos, żeby podziękować za wydzwignięcie mnie do tej godności... — zaczęła Alicja i naprawdę wydzwignęła się w górę mówiąc, i to o kilka dobrych cali, lecz pochwyciła za krawędź stołu i udało jej się obniżyć na powrót. — Strzeż się! — krzyknęła Biała Królowa chwytając Alicję oburącz za włosy. — Coś się musi stać!

A wtedy (jak to Alicja później opisała) wiele zaczęło się dziać w jednej chwili. Świece urosły do sufitu i upodobiły do lasu trzciny zakończonych płomykami. Jeśli mowa o butelkach, to każda z nich pochwyciła dwa talerze, które pospiesznie przyczepiły sobie jako skrzydła, a dodawszy sobie widelce, aby służyły im jako nogi, zaczęły unosić się z trzepotem we wszystkich kierunkach; „i naprawdę wyglądają zupełnie jak ptaki” — pomyślała Alicja, o ile w ogóle mogła myśleć podczas okropnego zamieszania, które teraz nastąpiło. W tej samej chwili usłyszała obok siebie ochrypy śmiech i odwróciła się, żeby zobaczyć, co się stało z Białą Królową; lecz w miejsce Królowej na krześle siedział udziec barani. — Tu jestem zawołał głos dochodzący z wazy, w której znajdowała się zupa; Alicja odwróciła się ponownie i zdążyła jeszcze dostrzec szerokie, dobroduszne oblicze Królowej, uśmiechając się ku niej ponad krawędzią wazy nim zniknęło w zupie. Nie było ani chwili do stracenia. Wielu gości leżało już na półmiskach, a łyżka wazowa szła po stole w kierunku krzesła Alicji, dając jej niecierpliwe znaki, aby usunęła się z drogi.

— Nie mogę już tego znieść! — zawołała Alicja, skoczyła na równe nogi i pochwyciła obu rękami obrus; jedno silne pociągnięcie a talerze, półmiski, goście i świece runęli z trzaskiem na podłogę.

— A jeśli chodzi o ciebie — powiedziała Alicja, odwracając się z wściekłością ku Czerwonej Królowej, którą uważała za przyczynę całego zła...lecz Królowej nie było już u jej boku...skurczyła się niespodziewanie do wielkości małej laleczki i znajdowała teraz na stole, goniąc wesoło za swym szalem, który ciągnął się za nią jak tren.

W każdym innym czasie Alicja odczułaby zdumienie na ten widok, lecz teraz była za-
nadto podniecona, aby zdumiewać się czymkolwiek. — A jeśli chodzi o ciebie — powtórzyła,
chwytając małe stworzonko, w chwili gdy przeskakiwało przez butelkę, która właśnie wy-
lądowała na stole — tak długo będę tobą teraz potrząsała, aż się przemienisz w małego
kotka!

Rozdział X

Potrząsanie

Mówiąc to zdjęła ją ze stołu i zaczęła potrząsać nią z całej siły w tył i ku przodowi.

Czerwona Królowa nie stawiała najmniejszego oporu; jedynie twarz jej stała się bardzo mała, a oczy zrobiły się wielkie i zielone; a gdy Alicja potrząsała nią nadal, stawała się coraz mniejsza...i coraz grubsza...i coraz miększa...i coraz okrąglejsza...i...



Rozdział XI

Przebudzenie

...naprawdę okazało się, że jest to kotek.



Rozdział XII

Komu się to śniło?

Wasza Czerwona Królewska Mość nie powinna mruczeć tak głośno — powiedziała Alicja przecierając oczy i zwracając się do kotka z szacunkiem, lecz surowo. — Przebudziłeś mnie z...och! z takiego cudownego snu! I byłeś tam ze mną, Kiciu!...przez cały czas w tym Lustrianym Świecie. Czy wiesz o tym, kochanie?

Kocięta posiadają pewien kłopotliwy zwyczaj (jak zauważyła kiedyś Alicja), mianowicie, cokolwiek do nich powiesz, zawsze odpowiadają mruczeniem. — Gdyby tylko mruczały na „tak”, a miauczały na „nie” — powiedziała — tak żeby można było podtrzymywać konwersację! Lecz jak można rozmawiać z osobą, która ciągle mówi jedno i to samo?

Przy tej okazji kotek zamruczał tylko i nie sposób było powiedzieć, czy miał na myśli „nie”, czy „tak”.

Więc Alicja zaczęła przebierać pośród szachowych figur na stole, póki nie odnalazła Czerwonej Królowej; potem uklękła na dywanie przed kominkiem i ustawiła kotka i Królową tak, żeby musieli spojrzeć na siebie. — A teraz, Kiciu! — zawołała, klaszcząc tryumfalnie w dłonie. — Przyznaj się, że to właśnie w nią się przemieniłeś!

(— Ale nie chciał nawet na nią spojrzeć — powiedziała później, próbując wyjaśnić całą tę sprawę siostrze. — Odwrócił głowę i udał, że jej niedostrzega; ale wyglądał, jakby był trochę zawstydzony, więc myślę, że jednak to on był Czerwoną Królową).

— Usiądź trochę sztywniej, kochanie! — zawołała Alicja śmiejąc się wesoło — I dygnij, zanim zastanowisz się, co masz...co masz wymruczeć. Zyskuje się w ten sposób na czasie, pamiętaj! — Pochwyciła go i obdarzyła jednym malutkim pocałunkiem, „tylko dlatego, żeby uczcić go jako Czerwoną Królową”.

— Śnieżyczko, moja najmilsza! — ciągnęła, obejrzawszy się przez ramię i zobaczywszy Białego Kotka, który nadal cierpliwie znosił zabiegi toaletowe. — Kiedy wreszcie Dina ukończy pracę przy Waszej Białej Królewskiej Mości? To zapewne dlatego byłaś tak nieporządna w moim śnie...Dino! Czy wiesz, że myjesz teraz Białą Królową? Naprawdę, okazujesz jej zupełny brak szacunku!

A w co się przemieniła Dina? To ciekawe! — paplała dalej ułożywszy się wygodnie z łokciem opartym na dywanie i z ręką pod brodą, aby móc przyglądać się kociętom. — Powiedz mi, Dino, czy to nie ty przemieniłaś się w Humpty Dumpty’ego? Myślą, że tak...ale nie wspominaj o tym jeszcze przyjaciółom, bo nie jestem tego pewna.

A tak mimochodem, Kiciu, to gdybyś był ze mną rzeczywiście w moim śnie, jedno by cię naprawdę ucieszyło...tak wielka ilość utworów poetyckich, które mi opowiedziano...a wszystkie o rybach! Jutro rano będziesz miał prawdziwą ucztę. Przez cały czas, kiedy będziesz jadł śniadanie, będę ci recytowała *Morsa i Stolarza*, żebyś mógł udawać, że jesz ostrygi, kochanie!

A teraz Kiciu, zastanówmy się nad tym, komu się to wszystko śniło. Jest to poważne pytanie, kochanie, i nie powinienes zajmować się wyłącznie lizaniem łapki... jak gdyby Dina nie umyła ci jej dziś rano! Widzisz, Kiciu, musiał to być albo Czerwony Król, albo ja. On był, oczywiście, częścią mego snu... ale ja także byłam częścią jego snu! Czy to Czerwony Król śnił, Kiciu? Byłeś jego żoną, więc powinienes wiedzieć... Och, Kiciu, pomóż mi to ustalić! Jestem pewna, że twoja łapka może poczekać! — Ale ów irytujący kotek zaczął tylko lizać drugą łapkę, udając, że nie dosłyszał pytania.

A jak sądzicie wy, które z nich śniło?.

